

Lee Goldberg

**Detektyw Monk czystym
bankrutem**

Przełożył Paweł Laskowicz

Detektyw Monk i podstawy ekonomii

Przed domem sąsiada pojawili się niedawno robotnicy, którzy skosili poźółkły trawnik i pomalowali go sprayem na zielono. Banki robią tak z wieloma przejętymi od dłużników domami w moim sąsiedztwie. Ja na szczęście spłacam kredyt na bieżąco, więc przed moim domem trawa jeszcze nie uschła, niemniej jednak miałam ochotę zapytać tych robotników, czy nie pomalowałiby także mojego trawnika, aby wyglądał równie efektownie jak wszystkie inne na ulicy.

Wielki detektyw Adrian Monk, mój obsesyjny - - kompulsywny pracodawca, pomysł malowania trawników uznałby za genialny, ale tylko dlatego, że kocha wszelką uniformizację. Nie obchodziło go, że malowanie zwiędłej roślinności jest czymś zgoła absurdalnym i może być przejawem znacznie głębszego problemu niż wyschnięty trawnik.

Monk ma niebывały dar dostrzegania szczegółów, ale oczywiście nie zauważył, że na Dwudziestej Czwartej Ulicy splajtował nasz delikatesowy sklep ze wspaniałymi serami. Czarująco snobistyczny maitre fromager affineur wyjaśnił mi ze smutkiem, że jego biznes musiał upaść, ponieważ w świecie, gdzie ludziom coraz trudniej zaspokoić podstawowe potrzeby, ser stał się towarem luksusowym (jeśli nie liczyć produkowanych taśmowo plasterków serowych, osobno pakowanych i idealnie kwadratowych, które Monk wprost ubóstwia).

To zresztą świat, w którym ja, samotna matka wychowująca nastoletnią córkę, żyję już od lat. Nigdy nie było mnie stać na ser naprawdę dobrego gatunku. Ale teraz wydaje się, że zaczęli do mnie dołączać wszyscy inni. Właściwie cała Kalifornia wyglądała jak ja - wolna dusza z pogodnym nastawieniem do świata, pełna wolnościowych idei, chwiejąca się na krawędzi finansowej ruiny.

O ile jednak inni tracili posady i domy, o tyle ja miałam ten komfort (owszem, budzący pewne poczucie winy), że jak długo ludzie będą się zabijać, tak długo Monk będzie konsultantem Departamentu Policji San Francisco, a ja będę jego szczęśliwie zatrudnioną asystentką.

Monk zazwyczaj nie zauważał cierpienia innych, zaznawanego czy to z powodów ekonomicznych, czy jakichkolwiek innych, ponieważ bez reszty był zajęty wyłącznie sobą. W jego mniemaniu cierpienie było sposobem na życie, powołaniem, formą sztuki, czymś, w co należało się zanurzyć całym swoim nieszczęściem i, choć dziwnie to zabrzmiało, pogodą ducha. Cierpienie było mu tak bliskie i miłe jak reszcie ludzi szczęście.

Mimo to moim zadaniem jest jak największe łagodzenie cierpień Mońka, aby mógł funkcjonować w społeczeństwie i koncentrować się na łapaniu morderców.

To ja muszę pilnować, aby ludzie, których napotyka, i wszystkie miejsca, które odwiedza, dostosowały się do jego surowych zasad utrzymania porządku i czystości.

Nic nie wywołuje w Monku większego strachu niż zmiana. Na przykład każdego dnia ubiera się tak samo: brązowa sportowa marynarka i koszula ze stuprocentowej bawełny w złamanej bieli, niezmiennie zapięta po szyję. Każda koszula Mońka ma osiem guzików, a jego szyte na miarę spodnie z mankietami mają osiem szlufek, a nie zwyczajowych siedem.

Monk nieustannie dąży do tego, aby jego życie podlegało sztywnej strukturze, było symetryczne i sterylnie czyste, a ja robię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc mu dojść do tego nieosiągalnego i mało atrakcyjnego celu.

Choć Monk za wszelką cenę stara się zapanować nad swoim środowiskiem w sposób absolutny, to nie potrafił się odizolować od światowego kryzysu finansowego, który odkrył w swoim życiu pewnego pięknego poranka, w środku tygodnia, w pobliskim supermarkecie Safeway.

Pojechaliśmy tam uzupełnić jego zapas wody Summit Creek, jedyne napoju, jaki Monk pije. Wcale nie przesadzam - ta woda to jedyny płyn, jaki bierze do ust. Nawet płucze nią usta po myciu zębów.

Nic dziwnego, że z ogromnym rozczarowaniem musiał odnotować brak na półkach butelek z wodą Summit Creek. Na miejscu, które zwykle zajmowała jego woda, stały teraz butelki wody Arrowhead i Evian.

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Gdzie moja woda?

- Cóż, zapewne została wyprzedana.

Monk przekręcił głowę raz w jeden bok, raz w drugi, uważnie przyglądając się półce, jakby rozwiązywał zagadkę zabójstwa.

- Nie, to nie to - powiedział w końcu. - Z regału usunięto metkę produktu.

- Może Safeway nie zamawia już tej wody u dostawcy.

- Nie bądź śmieszna, Natalie. Butelka wody Sum - mit Creek to podstawowy artykuł pierwszej potrzeby każdego człowieka.

- Chyba dla pana.

- Dla całej ludzkości. Bez wody nikt nie przeżyje.

Skinęłam ręką w kierunku pozostałych marek.

- Mają tu mnóstwo wody na sprzedaż, panie Monk.

- To są pomyje, a nie woda.

- Dla mnie wygląda jak woda.

- Im właśnie chodzi o to, żebyś tak myślała.

- Im? - zapytałam. - Jakim i m?

- Natalie, nie daj się oszukać tylko dlatego, że widzisz przezroczysty płyn. To może być wszystko. Nawet plwociny.

- Nie sędzę.

- Ależ ty jesteś naiwna. Funkcjonują specjalne obozy pracy, w których głodujący niewolnicy pędzą swój nędzny żywot, wypełniając plwocinami butelki, sprzedawane później na świecie jako podróbki wody właśnie takim łatwowiernym ludziom jak ty.

- To, co pan mówi, nie ma najmniejszego sensu.

- Świat jest okrutny - westchnął Monk. - Deprawacjom nie ma końca.

- Niech pan pomyśli logicznie, panie Monk. Czy nie byłoby łatwiej napełniać tych butelek zwykłą wodą z kranu, zamiast ogromnym nakładem energii i finansów zmuszać ludzi do płucia w nie?

- Woda z kranu to oczyszczone ścieki, a budowa i utrzymywanie oczyszczalni ścieków kosztuje setki milionów dolarów. Naprawdę uważasz, że oni mają tam jakieś oczyszczalnie?

- Gdzie? - zapytałam zdziwiona. - Gdzie tam? Jacy oni?

- Dorośnij wreszcie, Natalie. - Monk potrząsnął tylko głową i ruszył alejką między regałami w kierunku zaplecza sklepu.

Rzuciłam się za nim.

- Dokąd pan idzie?

- Muszę znaleźć kierownika sklepu i poważnie z nim porozmawiać.

- Może lepiej pojedziemy do innego supermarketu?

- To mój sklep - stwierdził Monk. - Zajęło mi lata, aby odpowiednio go uporządkować.

- Lata?

- Przychodzę tu w nocy i układam towary na półkach według produktu i terminu przydatności do spożycia. To praca, która nie ma końca, ale sprawia mi wiele radości.

Nie wątpię. To żadna niespodzianka. Rewelacją jest natomiast to, że nic mi nie było wiadomo o jego nocnych eskapadach. Pracowałam u Mońka od wielu lat, a wciąż były rzeczy, o których nic nie wiedziałam. Wydaje się, że prowadzi jakieś drugie, nocne życie, jeszcze smutniejsze i nudniejsze niż to, które wiedzie otwarcie.

- Pozwalają panu na to? - zapytałam zdumiona.

- Usuwam ślady po gumowych kółkach z linoleum - wyjaśnił. - Kosze na kółkach, jeżeli są użytkowane w nieodpowiedni sposób, brutalnie się obchodzą z posadzką. Ludzie powinni być ostrożniejsi.

Teraz już wiedziałam, dlaczego nocni pracownicy sklepu pozwalali mu ustawiać towary na półkach. To niewygodna cena za darmowy serwis czyszczenia podłogi. Całą noc mogli sobie spędzić na jednej długiej przerwie.

Po niedługim czasie znaleźliśmy kierownika sklepu - korpulentnego mężczyznę w czerwonym fartuchu - który na końcu jednej z alejek wystawiał na półki pudełka z płatkami śniadaniowymi. Nazwisko na jego identyfikatorze brzmiało Arthur Upton.

- Arthurze - powiedział poważnym głosem Monk. - Musimy porozmawiać.

Kierownik odwrócił się z ciężkim westchnieniem.

- Mówiłem panu już tyle razy, panie Monk... Nie przestaniemy sprzedawać gumy do żucia tylko dlatego, że niektórzy wypluwają ją na ulicę.

- Co zrobiliście z wodą Summit Creek?

Arthur zamrugał.

- Myślałem, że pan wie. Już jej nie sprzedajemy.

- Ale musicie - powiedział Monk.

- Nie możemy. Nikt jej nie sprzedaje.

Monk potrząsnął głową i gwałtownie zamachał przed sobą rękami, jakby chciał odgonić tak niewiarygodne wieści.

- Nie, nie, nie. Tak nie wolno. Musicie ją sprzedawać.

- Firma Summit Creek wycofała się z rynku - wyjaśnił Arthur.

Monk wciąż potrząsał głową i machał rękami w jakimś obłądnym geście niezgody.

- To niemożliwe. To nie do pomyślenia.

- Parę lat temu Summit Creek pożyczył miliony dolarów, aby zainwestować w firmę produkującą napój energetyzujący - tłumaczył Arthur. - Ale pomysł z napojem skończył się kląpą, a Summit Creek pogрузzył się w jeszcze większych długach.

Szefowie wystawili spółkę na sprzedaż, ale nikt nie był zainteresowany kupnem. Więc musieli zamknąć działalność.

- Rząd nie interweniował, aby ratować firmę? - zapytał Monk.

- To tylko butelkowana woda, panie Monk - odparł Arthur.

- To esencja życia.

- Jest mnóstwo innej butelkowanej wody, co tam butelkowanej, przecież może pan odkręcić kran i napić się wody w domu.

Ta uwaga okazała się tak urągliwa, że Monk z wrażenia przestał machać rękami i potrząsać głową. Spojrzał Arthurowi prosto w oczy.

- Prędzej wypiłbym własny pot - powiedział Monk. - Ale to nie jest możliwe, bo wcześniej umarłbym z odwodnienia.

- Niech się pan napije jakiegoś soku - poradził kierownik sklepu. - Albo mleka.

- Mleka? Czy ty wiesz, skąd się bierze mleko, Arthurze?

- Mleko daje krowa.

- I naprawdę radzisz, abym się napił czegoś t a - kiego?

- Dlaczego nie?

- Arthurze, to płyn organiczny pochodzący z ciała zwierzęcia. Może przy okazji powinienem też wy - chleptać trochę krowich siuśków? Może śliny kapiącej z psiego pyska? A co powiesz na szklaneczkę chłodnego, wybornego śluzu ze świńskiego ryja? Mniam, mniam, smacznego.

- Mleko jest zdrowe - stwierdził Arthur.

- To, co mi proponujesz, jest ordynarne, niehigieniczne, perwersyjne i chore!

- W takim razie niech pan się napije po prostu coli. Albo Gatorade - rzucił Arthur. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Jak możecie pozbawiać ludzi prawa do picia wody, nakłaniać ich do picia zwierzęcych płynów organicznych i nazywać się Safeway? Nazwa waszego marketu znaczy „Bezpieczna droga”, a powinniście się nazywać „droga ku śmierci”!

Złapałam Mońka mocno pod ramię.

- Chodźmy już.

- Droga ku śmierci! - wykrzyknął, kierując oskar - życielski palec w osłupiałego kierownika sklepu. - Droga ku śmierci!

Odciągnęłam Mońka jak najdalej od kierownika.

- Niech pan tak nie krzyczy, panie Monk, bo kierownik wezwie policję.

- Jeśli tego nie zrobi, sami powinniśmy ją wezwać, ponieważ dopuszczono się tu haniebnej zbrodni - oświadczył i znowu zaczął wykrzykiwać: - Droga ku śmierci! Droga ku śmierci!

Wepchnęłam go we względnie pusty kąt w alejce z butelkowaną wodą i odwróciłam twarzą do siebie.

- Niechże pan się uspokoi, panie Monk - powiedziałam. - To nie wina Safeway, że firma Summit Creek zbankrutowała.

- To farsa - powiedział Monk. - To zbrodnia przeciw ludzkości.

- Może i zbrodnia, ale nic pan na to nie poradzi. Co się stało, już się nie odstanie. Summit Creek nie ma.

Monk przełknął głośno ślinę i spojrzał na mnie tak, jakby miał wybuchnąć płaczem. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był ledwie ton wyższy od szeptu.

- Jak ja przeżyję? Co ja teraz będę pił?

- Jestem przekonana, że uda się panu znaleźć inną markę butelkowanej wody, która jest równie dobra jak Summit Creek.

- Co wiesz o Summit Creek?

- To woda - odpowiedziałam. - W butelce.

- To coś wiele więcej - powiedział Monk. - To woda o nieporównywalnej z niczym czystości, pochodząca z okresu, gdy rodzaju ludzkiego nie było jeszcze na ziemi. To woda, która spłynęła z niebios dwadzieścia tysięcy lat temu i zastygła w wapiennych grotach głęboko pod skorupą gór Uinta, niczym nieskalana, niczym niezainfekowana, niczym nietknięta. Można powiedzieć, że to brylant czystej wody.

- Dziwię się, że pił pan taką starość - powiedziałam. - Termin ważności spożycia minął chyba przed wiekami, prawda?

- Na ziemi nie ma nic bardziej czystego od butelkowanej wody Summit Creek. To woda w pierwotnej postaci, w jakiej stworzył ją Bóg. Woda Boska, Natalie. Oto, czym ona jest. A ty chcesz, żebym zamiast niej pił... coś takiego?

Machnął pogardliwie ręką na szeregi butelek stojących po obu naszych stronach.

- Nie ma pan wyboru, panie Monk - stwierdziłam.

- Nawet nie dopuszczam takiej myśli. Muszą sprzedawać Summit Creek na czarnym rynku.

- Na jakim czarnym rynku?

- To takie miejsce, gdzie sprzedają bardzo rzadkie i nielegalne produkty - wyjaśnił. - Musimy je odnaleźć.

- Wiem, co to jest czarny rynek, panie Monk. Ale nie wiedziałam, że sprzedają na nim wodę.

- Teraz już sprzedają.

Zrozumiałam, że jeśli natychmiast nie wdrożę środków zapobiegawczych, Monk dozna skrajnego załamania nerwowego.

Jak najprędzej wyprowadziłam go z supermarketu. Monk zapewne pomyślał, że wyruszamy na poszukiwanie mitycznego czarnego rynku z butelkowaną wodą. Aleja postanowiłam zaprowadzić go do psychoterapeuty. Pomysł był prosty: doktor Neven Bell zajmie się problemem Mońka, a ja w tym czasie zrelaksuję się w poczekalni, gdzie napiję się gorącej herbaty i przeczytam sobie najnowszy numer „New Yorkera”.

Jednak ten genialny plan zawalił się w ułamku sekundy, kiedy zadzwonił mój telefon i zobaczyłam, kto do mnie telefonuje.

To była Śmierć.

Detektyw Monk i nieprawdopodobne morderstwo

No dobrze, ostatnia linijka zabrzmiała może nazbyt melodramatycznie, ale gdy dzwoni do mnie kapitan Leland Stottlemeyer, to najczęściej po to, żebym zawiozła Mońka na miejsce popełnienia morderstwa.

Kapitan pilnował się, aby wzywać Mońka wyłącznie w przypadku zabójstw, o których wiedział, że nie uda się ich rozwikłać ani szybko, ani łatwo, i które były nietypowe z racji okoliczności popełnionej zbrodni, złożoności sytuacji czy paraliżującego dochodzenie braku widocznych tropów.

Nieraz jednak Monk zjawiał się na miejscu przestępstwa nieproszony. Wówczas bardzo często, ku zdumieniu wszystkich detektywów, w okamgnieniu rozwiązywał zagadkę. Kapitan Stottlemeyer nieodmiennie pozostawał pod wielkim wrażeniem i zawsze był Monkowi wdzięczny. Ale wiedziałam też, że strasznie go to wkurzało. Były to bowiem zwykle sprawy, które on i jego detektywi rozwikłaliby bez pomocy Mońka, tyle że nieco później. Monk nie musiał przyjeżdżać i robić z nich bałwanów (choć oczywiście nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni).

To wyjaśnia, dlaczego kapitan Stottlemeyer chciał jak najrzadziej zatrudniać Mońka. Za każdą prośbą o pomoc kryło się dyskretne wyznanie, że sprawę otacza tajemnica, z którą policja nie potrafi sobie poradzić. Dla wizerunku departamentu było to coś gorszego niż umarzanie takich spraw.

Istniała jednak bardziej nieodparta, dość osobista przyczyna tego, że kapitan nie lubił wzywać Mońka na pomoc.

Po prostu Monk potrafił doprowadzić go do szału.

W każdym razie zanim jeszcze dotarliśmy na miejsce przestępstwa na skrzyżowaniu bulwaru Van Ness i Sutter Street, wiedziałam już, że będziemy mieli do rozwikłania bardzo trudną zagadkę.

Nie wiedziałam tylko jednego; czy Monk zdoła się skoncentrować na śledztwie, czy też będzie rozmyślał wyłącznie o tym, skąd weźmie następny łyk wody.

Wszystkie pasy zachodniej nitki Van Ness były zamknięte dla ruchu. Policjanci kierowali strumień samochodów w boczne ulice, co powodowało gigantyczne zatory. Działo się tak dlatego, że Van Ness nie była zwykłym bulwarem miejskim, ale arterią przelotową przez miasto, łączącą północny skraj autostrady 101, która urywała się gdzieś w okolicy Pałacu Sztuk Pięknych, z jej południowym skrajem przy skrzyżowaniu ulic Mission i Dwunastej, skąd autostrada biegła dalej na południe, aż do samego Los Angeles.

Na dachu swojego buicka nie miałam ani błyskającego koguta, ani wyjącej syreny, choć od dawna się tego domagałam, więc byłam pewna, że jeśli będziemy chcieli podjechać pod samo miejsce zbrodni, ugrzęźniemy w korku. Na szczęście przy Pine Street, dosłownie parę przecznic od skrzyżowania bulwaru Van Ness i Sutter Street, zauważyłam supermarket Safeway. Zostawiliśmy samochód na parkingu przed supermarketem i dalej poszliśmy pieszo.

Uwaga wszystkich zwrócona była na czterodrzwiowe bmw z zaciemnionymi szybami stojące za przejściem dla pieszych po lewej stronie jezdni, tuż przy trawiastym pasie oddzielającym obie nitki ulicy.

Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte, a szyba w oknie stłuczona. Wokół samochodu krzątali się technicy policyjni w białych kombinezonach, zdejmujący odciski palców i robiący zdjęcia.

Tuż za bmw stał zaparkowany ford crown victoria, służbowy samochód policyjny. Na sąsiednim pasie stały furgonetka pocztowa oraz toyota prius, oba auta także były szczegółowo badane przez ekipę dochodzeniową.

Kapitan Leland Stottlemeyer stał oparty o drzwi swojego crowna vie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przeżuwał leniwie wykałaczkę i patrzył spode łba na wszystko i wszystkich wokół, nie wyłączając porucznika Randy'ego Dishera, który rozmawiał z jakimiś ludźmi na chodniku i raz po raz zapisywał coś w notesie z charakterystycznym dla siebie zapałem.

Kapitan dostrzegł nas w tej samej sekundzie, w której Monk zauważył na rogu sklep monopolowy BevMo. Monk gwałtownie skręcił i zniknął w sklepie, zaskakując zarówno mnie, jak i Stottlemeyera, który rzucił wykałaczkę na ulicę i ruszył ze złością w naszą stronę.

Wbiegłam pośpiesznie do sklepu za Monkiem, który właśnie podchodził do młodej kobiety przy kasie.

- Macie butelkowaną wodę Summit Creek? - zapytał Monk.

- Niestety odpowiedziała kobieta z miłym uśmiechem. - Obawiam się, że tej wody już nie produkują.

- Słusznie się pani obawia. Każdy racjonalnie myślący człowiek miałby powody do obaw. Skąd więc uśmiech na pani twarzy?

- Ponieważ mam przyjemność pana obsługiwać.

- Ależ pani wcale mnie nie obsłużyła. A teraz wszyscy umrzemy.

Uśmiech na ustach kobiety nagle zgasł, a jej oczy się powiększyły.

- Umrzemy?

- Chodzi mu o to, że umrzemy z pani nadzwyczajnej uprzejmości - powiedziałam szybko, a na twarz kobiety powrócił uśmiech; chwyciłam Mońka za ramię i siłą wyciągnęłam go na ulicę. - Dręczenie sprzedawców niczego nie zmieni, panie Monk. Pan tylko pogarsza swoje położenie.

- Mojego położenia już nie można pogorszyć. Czy naprawdę nikt nie dostrzegł wcześniej, na co się zanosi? Nikt nie uświadamiał sobie grozy sytuacji?

- Wiem, że Summit Creek była pana ukochaną wodą, i straszna szkoda, że jej producent zbankrutował, ale przecież nie jest tak, że na całej kuli ziemskiej nie ma już nic do picia.

- Tak właśnie jest - stwierdził Monk. - Przejrzyj wreszcie na oczy, niewiasto. Azali nadciąga apokalipsa!

- Azali? Czyżbyśmy się cofnęli do średniowiecza?

- Widzę, że zaczynasz dostrzegać powagę sytuacji.

W tej chwili dotarł do nas kapitan Stottlemeyer.

- Mają w tym monopolowym coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie mają wody Summit Creek - powiedział Monk. - Nigdzie jej nie mają. Musisz z tym coś zrobić.

- To oczywiście ważna kwestia - chrząknął Stottle - meyer. - Jednak uznaję priorytet morderstwa.

- Ależ to właśnie jest morderstwo.

- Czyje? - zapytał kapitan.

- Moje - odparł Monk.

- Skoro jeszcze oddychasz, najpierw chodźmy przyjrzeć się pierwszemu morderstwu - powiedział Stottlemeyer. - Potem zajmiemy się twoim.

- Co to ma za znaczenie? - zapytał Monk. - I tak wszyscy umrzemy.

- To się nazywa wola walki - powiedział Stottlemeyer. - Zawsze patrzysz na wszystko z jasnej strony.

Kapitan wcale nie ironizował. Dla Mońka nie mogło już być jaśniejszej strony.

- Co się stało? - zapytałam kapitana.

- Nie mam pojęcia, choć wszystko działo się na moich oczach.

Stottlemeyer ruszył z powrotem do swojego samochodu, a my poszliśmy jego śladem, choć Mońka musiałam ciągnąć niemal siłą.

- Nie rozumiem, byliście z Randym świadkami morderstwa?

- I tak, i nie - odpowiedział Stottlemeyer. - Mike Clasker, były dyrektor finansowy kasy kredytowej Big Country, jechał do sądu złożyć zeznania jako świadek, a my z Randym jechaliśmy za nim w eskorcie. Clasker nalegał, żeby mógł jechać sam, ponieważ bał się, że w towarzystwie radiowozów lub policjantów byłby postrzegany przez media jako przestępca.

- Przecież jest przestępcą.

- Clasker dostał gwarancję nietykalności w zamian za zeznania przeciwko swojemu szefowi - wyjaśnił Stottlemeyer.

- To nie czyni go mniej winnym - stwierdziłam. - To znaczy tylko tyle, że wszystko ujdzie mu na sucho.

- Co mu ujdzie na sucho? - zapytał Monk.

Oboje spojrzeliśmy na niego zdziwieni.

- Nie czytasz gazet? Nie oglądasz telewizji? - zapytał kapitan.

Monk pokręcił głową.

- To zbyt straszne i zbyt przygnębiające, a ja jestem wystarczająco wystraszony i przygnębiony. Nie potrzeba mi więcej powodów, aby się bać i przygnębiać.

- Ale wiesz chyba o krachu wysoko oprocentowanych kredytów typu „subprime”? Słyszałeś o załamaniu rynku nieruchomości w Stanach, które pociągnęło za sobą światowy kryzys gospodarczy?

- Nie wiem - odpowiedział rozbrajająco szczerze Monk.

- Jak możesz nie wiedzieć o takich rzeczach? - zdziwił się Stottlemeyer. - Czy ty już w ogóle nie wychodzisz z domu? Nie rozmawiasz z ludźmi?

- Staram się tego unikać. Wy też powinniście.

Stottlemeyer westchnął ciężko, zatrzymał się przy swoim samochodzie i potarł nerwowo skronie.

- W porządku, Monk, opowiem ci w paru słowach, co się dzieje. Kasa kredytowa Big Country udzielała nisko oprocentowanych pożyczek o zmiennej stopie procentowej, aby

ludzie mogli sobie kupić domy, na które tak naprawdę nie było ich stać. Wielu z tych ludzi, aby kupić sobie jeszcze więcej rzeczy, na które nie było ich stać, brało potem drugą, jednorazową pożyczkę pod zastaw domu, w wysokości większej niż wzrost jego wartości od czasu pierwszej pożyczki.

- Czy oni padli ofiarą zbiorowego obłądu? - zapytał Monk.

- Padli ofiarą oszustwa - odpowiedział Stottlemeyer. - Kasa przekonała ich, że nie ma żadnego ryzyka, a spłata kredytu leży w zasięgu ich możliwości zarobkowych. Jednak wkrótce stopa procentowa poszła w górę, a wartość nieruchomości w kraju drastycznie spadła i skończyło się na tym, że ludzie byli dłużni Big Country więcej pieniędzy, niż wynosiła faktyczna wartość ich nieruchomości. Setki tysięcy ludzi potraciło swoje domy, swoje oszczędności i cały dorobek życia.

- O mały włos byłabym jedną z nich - przyznałam. - Niemal dałam się oczarować pożyczce typu „subprime”.

Monk spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Ty? Jak mogłaś?

- Bo zarabiam marny grosz i uważałam, że mogę skorzystać z drugiej pożyczki pod dom, aby zdobyć szybko trochę gotówki.

- Na co ci te pieniądze, Natalie?

- Och, nie wiem - odpowiedziałam. - Coś do jedzenia, coś do ubrania, opłacenie elektryczności, wie pan, trochę luksusu nigdy nie zaszkodzi.

- Cóż robisz z pieniędzmi, które zarabiasz u mnie? zapytał Monk.

- Spłacam nimi kredyt hipoteczny - odparłam.

- Ale co robisz z resztą pieniędzy?

- Nie ma żadnej reszty, panie Monk.

- Najwyraźniej nie wiesz, jak się obchodzić z pieniędzmi. Może gdybyś prasowała banknoty, nauczyłaś się je szanować.

- Sam wzięłam jedną z takich pożyczek, Monk - Stottlemeyer pospieszył mi na ratunek. - Jedyne w taki sposób mogłem kupić sobie mieszkanie po rozwodzie.

- Ty też nie prasujesz swoich banknotów - orzekł Monk.

- Nikt nie prasuje pieniędzy - stwierdził kapitan. - Tylko ty.

- Może właśnie dlatego wszyscy tracą domy, oszczędności i pracę, a ja jeden nie.

- Wrażliwy z ciebie człowiek, Monk.

- Jak pan sobie radzi, kapitanie? - zapytałam.

- Z trudem wiązę koniec z końcem. Zwłaszcza teraz, kiedy miasto dla oszczędności zmusiło nas do trzech tygodni bezpłatnego urlopu. Ale jakoś przeżyję. - Stottlemeyer westchnął i odwrócił się znów do Mońka. - Wracając do sprawy Big Country, Jack Moggridge, facet, który zarządzał firmą, doskonale wiedział, jaką zarazę niosą ze sobą te kredyty, ale okłamywał inwestorów i kontrolerów, a tuż przed krachem sprzedał za gotówkę wszystkie akcje swojej firmy.

- To defraudacja i korzystanie z poufnych informacji giełdowych - stwierdził Monk. - Po prostu oszustwo.

- Oczywiście - powiedział Stottlemeyer. - Clasker miał nam pomóc przyskrzynić Moggridge'a.

- W nagrodę Clasker mógł odejść wolny jak ptak, ze swoimi milionami i piękną willą w Pacific Heights - rzuciłam. - Nic dziwnego, że to wkurzyło mnóstwo osób naciągniętych przez Big Country.

- Właśnie dlatego jechaliśmy za nim do sądu, mieliśmy zapewnić mu ochronę - tłumaczył kapitan. - Wszystko było w porządku, dopóki nie zatrzymaliśmy się tutaj na czerwonym świetle. Kiedy zapaliło się zielone, Clasker nie ruszył ze skrzyżowania. Kierowcy zaczęli trąbić. Wysiedliśmy, żeby zobaczyć, co się stało. - Stottlemeyer odwrócił głowę i spojrzał na bmw, a my podążyliśmy za jego wzrokiem. Zaciemnione szyby były tak nieprzeniknione, że z miejsca, gdzie stał samochód kapitana, nie można było nic zobaczyć. - Nie byłem w stanie nic dostrzec, dopóki wręcz nie przycisnąłem twarzy do okna - powiedział Stottlemeyer. - Dopiero wtedy coś zobaczyłem, wszędzie była krew. Drzwi kierowcy były zablokowane od wewnątrz. Aby dostać się do środka, musiałem zbić szybę kolbą pistoletu.

- Jak zginął Clasker? - zapytał Monk.

- Został uduszony struną fortepianową.

- Był ktoś jeszcze w samochodzie? - zapytałam.

- Clasker był zupełnie sam - odpowiedział kapitan. - Osobiście prowadziliśmy go z domu do samochodu, więc dobrze wiem, że w środku nie było nikogo. Od chwili, kiedy ruszyliśmy spod willi, aż do teraz, nie widzieliśmy nikogo, kto wchodziłby do auta bądź z niego wychodził. I nie ruszaliśmy się stąd od czasu zdarzenia.

Monk przeszedł za bmw i przykucnął, przyglądając się czemuś ciekawie pod samochodem.

- Samochód nie stanął nad wjazdem do kanału, jeśli o tym myślisz - powiedział kapitan.

- To była pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem.

- Nie chodziło mi o wjazd. Szukałem tego.

Monk podniósł coś z ziemi i odwrócił się do Stottlemeyera. Była to wykałaczką, którą przed chwilą wyrzucił kapitan.

- Moja - przyznał Stottlemeyer.

- Wiem. - Monk dał mi znak ręką.

Wyjęłam z torebki foliowy woreczek, otworzyłam go i podsunęłam Monkowi.

- Zaśmieszanie ulic to przestępstwo - stwierdził Monk. - Dajesz bardzo zły przykład podwładnym.

- Przepraszam.

- Śmieczenie to początek - mówił dalej Monk. - Potem rozkład szybko postępuje, jeszcze trochę i zaczniesz podkładać fałszywe dowody winy, żądać łapówek i pić mocne trunki.

Monk wrzucił wykałaczkę do woreczka, który zamknęłam i włożyłam z powrotem do torebki. Mam bardzo pojemną torebkę. Muszę pomieścić w niej dezynfekujące chusteczki higieniczne Wet Ones, woreczki foliowe, maść antyseptyczną, gumowe rękawiczki, wodę w butelce, płyn do mycia szyb Windex, antidotum na ukąszenie grzechotnika i całą resztę rzeczy, które Monk każe mi ze sobą wszędzie taszczyć. Gdyby moja torebka była choć trochę większa, musiałyby mieć kółka.

Z tylnego siedzenia samochodu ofiary wyszedł niski, tęgi technik kryminalistyczny, z białymi woreczkami na butach, w białym kombinezonie i białym czepku na głowie. Wyglądał jak kuchcik Pillsbury. Miałam ochotę dźgnąć go palcem w brzuch, żeby sprawdzić, czy zacznie chichotać jak w reklamie.

- W podłodze nie ma żadnego przejścia, kapitanie - powiedział, ściągając z rąk parę białych roboczych rękawiczek. - Do samochodu można się dostać wyłącznie przez któreś z drzwi lub przez szyberdach.

- Mimo to chcę, żebyście odholowali auto do laboratorium i rozłożyli je na czynniki pierwsze, Pete - powiedział Stottlemeyer. - Odpowiedź musi się kryć w środku.

- Tak jest - powiedział kuchcikowy Pete i odszedł do policyjnej furgonetki omówić sprawę z pozostałymi technikami.

Monk przeszedł pod drzwi kierowcy i zajrzał do środka samochodu. Ciało Claskera już nie było, ale fotel, tablicę rozdzielczą i przednią szybę wciąż pokrywała rozbryzgana krew. Ponury widok. W jednej chwili straciłam wszelki apetyt.

- To zapewne głupie pytanie - powiedziałam. - Ale czy mogło to być samobójstwo?

- Struna fortepianowa niemal odcięła mu głowę - rzekł Stottlemeyer. - Nawet gdybyś mogła coś takiego sobie zrobić, w co szczerze wątpię, to jest mnóstwo łatwiejszych i mniej bolesnych sposobów na to, aby pozbawić się życia.

- Twierdzi pan więc, że ktoś udusił Claskera stalową linką, w zamkniętym od wewnątrz samochodzie, w świetle dnia, na zatłoczonej ulicy, niemal na oczach dwóch oficerów policji i wymknął się z auta niezauważony?

- Na to właśnie wygląda - przyznał kapitan.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to, co pan mówi, jest nieprawdopodobne? - zapytałam.

- Owszem - stwierdził Stottlemeyer. - Dlatego zadzwoniłem po Mońka.

Detektyw Monk na czarnym rynku

Monk okrążył kilka razy samochód z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby wszystko, co widzi, ujmował w kadrze między palcami.

Staliśmy obok ze Stottlemeyerem, przypatrując się w milczeniu tym rytuałom. Setki razy oglądaliśmy Monkowy taniec, ale niezmiennie przykuwał on naszą najwyższą uwagę. Może po prostu budził w nas poczucie ufności? W końcu wiedzieliśmy, że prędzej czy później Monk znajdzie odpowiedzi, które nam umknęły. To był jego pierwszy krok.

Gdyby z taką samą pewnością potrafił rozwiązać największe tajemnice w naszym i swoim życiu.

Dołączył do nas porucznik Disher. Przez jakiś czas patrzył na Mońka, a potem odezwał się do kapitana:

- Żaden z przechodniów niczego nie widział, kapitanie.

- Jakoś wcale nie jestem zaskoczony - mruknął Stottlemeyer. - Obaj jesteście wykwalifikowanymi stróżami prawa. Wpatrywaliśmy się w samochód, który stał przed naszym nosem, i też niczego nie zauważyliśmy.

- To klasyczna zagadka przestępstwa w pokoju zamkniętym od środka na klucz. Tyle że w tym przypadku chodzi o zamknięty samochód - stwierdził Disher.

- Można tak powiedzieć - zgodził się kapitan.

- Może zabójcą była małpa? - wyraził przypuszczenie Disher.

Stottlemeyer odwrócił głowę i spojrzał na niego spode łba.

- Dlaczego uważasz, że to mogła być małpa? - zapytał kapitan.

- Ponieważ najslynniejszym kryminałem tego gatunku jest nowela Edgara Allana Poeego Zabójstwo przy rue Morgue. Tam mordercą okazała się właśnie małpa - wyjaśnił porucznik.

- Dzięki za zepsucie mi lektury - powiedziałam.

- Zamierzałaś czytać opowiadania Poego? - zapytał Stottlemeyer.

- Nie. Ale gdybym kiedyś zechciała, nie mam już po co.

- Randy, przez cały czas znajdowaliśmy się za samochodem Claskera - powiedział kapitan. - Widziałeś gdzieś jakąś małpę?

- Nie. Ale przy rue Morgue też nikt nie widział małp. Dopiero później się o nich dowiedzieli. Może też jeszcze dowiemy się o małpie.

- Nie sądzę - stwierdził Stottlemeyer.

- Powinniśmy być jednak otwarci na takie rozwiązanie - zasugerował Disher.

Stottlemeyer znowu spojrzął na Mońka, który po raz czwarty czy piąty obchodził samochód.

- Co myślisz, Monk? - zapytał.

Monk zatrzymał się, westchnął i spojrzął w niebo, marszcząc brwi.

- Zostało mi trzydzieści butelek wody Summit Creek. Jeśli będę jadł dużo owoców i wypijał najwyżej parę łyżeczek wody dziennie, to zapasów wystarczy mi na dwa miesiące.

- Pytałem, co myślisz o tym morderstwie.

Uwagę Mońka zwróciło coś po drugiej stronie ulicy. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam trzech bezdomnych stojących na rogu ulicy i przyglądających się z daleka czynnościom śledczym.

- Co się stało, panie Monk? - zapytałam.

- Widzisz tych trzech włóczęgów? Muszę z nimi porozmawiać.

- Już ich przepytałem - wtrącił się Disher. - Nic nie wiedzą.

Ale Monk go nie słuchał. Już szedł na drugą stronę ulicy. Chciałam zaraz ruszyć za nim, kiedy Stottlemeyer delikatnie pociągnął mnie za rękaw.

- Natalie, to dla nas bardzo ważne. Claskera zabito pod nosem dwóch policjantów. Prasa zrobi z nas imbecyli. Musimy szybko załatwić tę sprawę. Proszę, pomóż Monkowi się skoncentrować.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecałam.

Kapitan puścił mój rękaw i popędziłam za Monkiem, który czekał na chodniku po drugiej stronie ulicy, mierząc trzech mężczyzn badawczym spojrzeniem.

- Oni posiadają tajemnicę - powiedział, gdy do niego dołączyłam.

- Jaką tajemnicę?

- Tajemnicę czarnego rynku - wyjaśnił. - Robią tam zakupy. Patrz i ucz się.

Monk poruszył lekko ramionami, rozpiął kołnierz koszuli i nonszalanckim krokiem ruszył w kierunku mężczyzn, strzelając po drodze palcami.

- Siemanko ziomki. Jak leci?

Bezdomni wlepili w niego oczy.

- Luzik, co nie? - rzucił Monk i znowu strzelił palcami. - Nie wiecie, gdzie tu skołować pół literka prima sort wody?

Mężczyźni odeszli.

- W porzo! - rzucił za nimi Monk, machając ręką. - Tak trzymać, chłopaki.

- Bardzo pouczające - powiedziałam. - Czego się nauczyłam?

- Widzieli nas z kapitanem i myśleli, że jesteśmy glinami - wyjaśnił. - Musimy trzymać dystans do szefa.

Monk ruszył na wschód Sutter Street, kierując się w samo serce Tenderloin, dzielnicy cieszącej się złą sławą, jednej z najbardziej niebezpiecznych i przesiąkniętych przestępczym elementem części miasta, choć znajdowała się między tętniącym śródmieściem a tłumami i bogactwem Union Square. Podobno swój barwny przydomek „Połudwiczka” zyskała sobie dzięki temu, że policjanci delegowani do patrolowania jej ulic otrzymywali wysoki „wojenny żołd” i jeśli tylko udawało im się przeżyć, stać ich było wieczorem na stek z połędwicy, a nie tylko na drobiowy kotlecik.

Sama nie wiem, czy wierzyć w tę historię, ale z pewnością pasuje do charakteru San Francisco.

W Tenderloin roiło się od wszelakiego rodzaju bezdomnych, pomyleńców, prostytutek i handlarzy narkotyków. Jeśli jednak człowiek przemierzał dzielnicę szybkim krokiem i nie szukał guza, nie spotykały go problemy. Monk, rzecz jasna, nie zamierzał się stosować do tak prostych zasad.

- Panie Monk, chyba nie chce się pan zapuszczać w te okolice - powiedziałam, ale tak naprawdę to ja sama nie miałam najmniejszego zamiaru się tam zapuszczać, w każdym razie nie z Monkiem i jego osobliwym planem działania.

- Wyluzuj, Natalie, bo spalisz moje incognito. Rób to co ja i staraj się nie zwracać na siebie uwagi.

- To znaczy tak mam robić?

Zaczęłam strzelać palcami, sadić wielkie kroki i obracać głową w tę i we w tę niczym zbudzony kogut - czyli zachowywać się jak Monk, tyle że z lekką przesadą, co wyglądało już zupełnie absurdalnie. Komuś postronnemu mogłoby się wydawać, że próbujemy naśladować Steve'a Martina i Dana Aykroyda z filmu, w którym grają „dwóch zwariowanych typków”.

Monk tymczasem skinął głową z pełną aprobatą.

- Całkiem nieźle. Teraz możemy się wtopić w tłum.

Żartowanie z Monkiem nigdy nie było zabawne, ponieważ on kompletnie nie znał się na żartach i nigdy nie łapał dowcipu. Był niezdolny do tego, aby ujrzeć siebie oczami innych. Mimo wszystko żartowałam przy nim, bo sama wtedy czułam się lepiej.

Monk podszedł do starszego mężczyzny siedzącego u wylotu jakiejś ślepej alejki. Mężczyzna był zaniedbany i potwornie brudny. Miał na sobie łachmany, na głowie starą czapkę narciarską i popijał coś z butelki ukrytej w papierowej torebce. Włosy miał skudlone i pozlepiane w tłuste kosmyki. Jego długie wąsiska przypominały niewypłukaną gąbkę do mycia naczyń. Cuchnął jak uliczny ustęp.

- Siema brachu, co tankujesz? - zagadnął go Monk.

- Co jest? - zacharczała nieprzyjaźnie niewypłu - kana gąbka.

- Potrzebny mi namiar na H2O. Łykam tylko czystą.

- O czym pan gadasz?

- Spoko. Nie jestem dilerem. Jestem spragnionym kloszardem jak ty. Luz blues.

- Podejdz pan tu, a pokłuję. - Wolną ręką Gąbka wyciągnął z kieszeni nóż, a drugą mocniej przycisnął butelkę do piersi. - Wara od buteleczki.

Monk natychmiast się cofnął, podnosząc rękę.

- Kumam, kolo, kumam. Bardzo w porządku, bardzo antyseptycznie.

Gąbka obrzucił nas ciężkim wzrokiem, podniósł się i odszedł wolno za śmietnik w głębi alejki, gdzie usadowił się na legowisku z koców i kartonów.

- Panie Monk, to nie ma sensu - powiedziałam. - Ludzie żyjący na ulicy nie piją wody Summit Creek.

- Ponieważ jest zbyt wartościowa - odarł Monk, przyuważając chudego Murzyna w długiej, skórzanej kurtce i skórzanych spodniach, który szedł wyniosłym krokiem przez ulicę.

- On to wie najlepiej.

- Kto to jest?

- Huggy Bear we własnej osobie. - Monk pobiegł w jego kierunku, a gdy zbliżył się na pewną odległość, zwolnił i zaczął strzelać palcami, dyskretnie zwracając na siebie uwagę.

Jęknęłam głucho i dobiegłam do Mońka w chwili, kiedy stał już przy facecie, który istotnie przypominał Huggy'ego Beara z serialu Starsky&Hutch.

- Witam szefcia, zaliczymy rundkę? - zapytał Monk.

Huggy Bear odwrócił się zaskoczony.

- Masz ochotę coś zaliczyć, koleś?

- W rzeczy samej. Kotka chciałaby zatańczyć twista.

Mężczyzna sięgnął za pazuchę i wydobył woreczek foliowy pełen różnobarwnych pigułek.

- Prochy, proszki, proszeczki - rzucił wesoło Monk. - Ale odpał.

- Mam wszystko, czego ci, gościu, trzeba, tobie i twojej cizi. - Huggy Bear posłał mi wstrętny uśmiech. - Jaki smaczek?

- Każdy jest w dechę - odparł Monk. - Byle było jeszcze coś na popitkę.

- Na co? - zdziwił się Huggy Bear.

Monk podszedł do niego i szepnął mu blisko ucha:

- Szukam czegoś specjalnego. Boskiej wody.

Mężczyzna zdawał się nie rozumieć.

- Chodzi o „złoty deszczyk”?

- Właśnie - ucieszył się Monk. - Złoty deszczyk!

Wtrąciłam się czym prędzej do rozmowy, potrząsając energicznie głową i stając między Monkiem a Huggym Bearem.

- Nie, nie, nie. Ten pan nie jest zainteresowany „złotym deszczykiem”.

- Jestem.

- Nie, nie jest pan - upierałam się.

- Zdecydowanie tak!

- Nie, absolutnie nie!

- Pan wybaczy - powiedział Monk do Huggy’ego Beara, odciągnął mnie na bok i zniżył głos do szeptu. - Co ty wyprawiasz? Psujesz mi transakcję!

- Czy pan wie, co to jest „złoty deszczyk”?

- To zapewne czarnorynkowa nazwa Summit Creek, wody wartej deszczu złota.

- To siki, panie Monk.

- Summit Creek to nie si...si...si... - Twarz Mońka stężała z gniewu. - To nie to!

- Mam na myśli to, o co pan prosi - powiedziałam. - Złoty deszczyk ma pan wtedy, gdy ktoś na pana robi siusiu.

Monk otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Usilnie szukał słów, ale jego umysł najwyraźniej nie radził sobie z tak przerażającym pomysłem. Dla niego potworne było samo zastanawianie się nad tym, co właśnie usłyszał.

Jego źrenice uciekły nagle do tyłu i Monk zaczął się osuwać na pół omdlały. W ostatniej chwili złapałam go w pasie i zaczęłam się obniżać razem z nim, aż w końcu usiadłam na ziemi. Monk przysiadł obok mnie z głową wtuloną w mój brzuch.

Huggy Bear oddalił się pośpiesznie, za co mogłam być mu tylko wdzięczna. Wyjęłam z torebki chusteczkę i zaczęłam wycierać Monkowi mokre od potu czoło. Nic go tak nie koilo jak delikatny dotyk dezynfekującej chusteczki.

- Już dobrze, panie Monk. Wszystko jest w porządku. Nic się nie stało - uspokajałam go.

- Stało się w mojej głowie - odpowiedział. - To obraz, który będzie mnie straszył do ostatnich chwil mojego życia, czyli jeszcze przez sześćdziesiąt dni.

- Jesteśmy w Tenderloin, panie Monk - przypomniałam. - Tu się sprzedaje właśnie takie rzeczy, a nie źródlaną wodę w butelkach.

- Musimy aresztować tego człowieka.

- Już go tutaj nie ma, panie Monk.

- Huggy Bear to psychopata.

- Tak, to psychopata. - Jeszcze raz przetarłam Monkowi czoło.

- Rozpowszechnia si...siki i handluje narkotykami. Założę się, że nie mył dzisiaj rąk.

- Musi się pan uspokoić, panie Monk.

- Co z moją wodą? - zapytał płaczliwie.

- Znajdziemy dla pana nową wodę - obiecałam. - Na razie jednak musi się pan wziąć w garść.

- Nigdy nie piłem nic innego.

- Niech pan to potraktuje jak ciekawą przygodę.

- Nienawidzę przygód.

- W takim razie jak nowe doświadczenie życiowe.

- Nienawidzę nowych doświadczeń życiowych.

- To niech pan w ogóle o tym nie myśli.

Siedzieliśmy w milczeniu. Po drugiej stronie ulicy widziałam, jak technik podszedł do zaparkowanego nieopodal chevroleta malibu, wyrwał zza wycieraczki mandat, zmiął go ze złością i rzucił na ulicę, a potem wsiadł do samochodu i odjechał.

To wyrwało Monka z odrętwienia. Jakby nadało mu jakiś nowy cel. Wstał i strzelił palcami, prosząc mnie o chusteczkę. Sięgnęłam do torebki i podałam mu ją.

Monk przeszedł na drugą stronę ulicy, podszedł do rzuconego na ziemię mandatu i podniósł go przez chusteczkę. Kiedy wrócił, miałam już przygotowany woreczek foliowy.

- Pete naśmiecił - powiedział Monk. - Na dodatek nie jest to zwykły papierek. To wezwanie do zapłaty mandatu, urzędowy dokument policyjny. Pete objawił wyjątkowo arogancki brak szacunku dla prawa.

- Oczywiście, panie Monk.

Wyciągnęłam przed siebie otwarty woreczek, a on wrzucił do niego zmięty mandat razem z chusteczką.

- To zawodowy policjant, który ma stać na straży prawa. Oto, co się dzieje, kiedy z góry idzie zły przykład - mówił Monk. - Szkoda, że kapitan Stottle - Meyer nie widział, do czego się przyczyniła jego wykałaczką.

- Pokażę mu woreczek - zapewniłam.

- Bardzo dobrze. Kapitan spali się ze wstydu.

Ta myśl i pewność, że może dowieść swojej racji, ożywiła Mońka. Równowaga świata została przywrócona.

Poruszył niezgrabnie ramionami i skierowaliśmy się z powrotem w kierunku Van Ness Street.

- Siedzieliśmy przez chwilę na chodniku, prawda? - zapytał, idąc zwawym krokiem.

- Tak, to prawda.

- Po powrocie do domu będziemy musieli spalić ubranie, które mam na sobie.

- Wystarczy je wyprać.

- Prałabyś swoje rzeczy, gdyby zostały napromieniowane?

- Pańskie rzeczy nie są radioaktywne.

- I wielka szkoda. Zabiłyby niektóre zarazki. Ty też powinnaś spalić ubranie.

- Nie stać mnie na palenie swoich ubrań - odpowiedziałam. - Chyba że da mi pan podwyżkę.

- Zawrzyjmy kompromis - powiedział.

- Dobrze. Jaki?

- Ty spalisz swoje ubranie, a ja nie dam ci podwyżki.

- To pan nazywa kompromisem?

- Godzisz się na pewne ustępstwo.

- A pan?

- Ja też się na nie zgodziłem.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Choć był taki wkurzający, to przynajmniej był wreszcie sobą, w każdym razie dopóki nie czuł pragnienia.

Detektyw Monk i psychoterapia

Poradnia doktora Nevena Bella w North Beach umeblowana była w ciemnym drewnie i ciemnej skórce; taki wystrój wydawał się bardziej męski niż Suspensorium. Czułam się tu zawsze, jakbym siedziała w poczekalni prywatnego, snobistycznego klubu towarzyskiego dla panów.

Jednak wystrój wnętrza pozostawał w ostrym kontraście z mężczyzną, który zajmował główny gabinet. Doktor Bell, siwy, lekko łysiejący mężczyzna, który chodził zwykle w swetrze i tweedowych spodniach, promieniał takim ciepłem i łagodnością, że każdy, kto się znalazł w pobliżu niego, od razu nabierał poczucia bezpieczeństwa i psychicznego komfortu. Jakikolwiek miałbyś problem, doktor Bell wyglądał na tego, który rozwiąże go w okamgnieniu.

Zdażyłam przejrzeć ledwie połowę historyjek komiksowych w ostatnim „New Yorkerze”, kiedy doktor Bell wyszedł z gabinetu, zamknął za sobą drzwi i podszedł do mnie.

- Będziemy potrzebowali z Adrianem reszty popołudnia - stwierdził.

- Co z innymi pacjentami? - zapytałam zaskoczona.

- Na szczęście nie mam dziś innych wizyt.

To była niespodzianka - nie dlatego, że Monk wymagał dla siebie większej uwagi, ale dlatego, że doktor Bell bez uprzedzenia mógł znaleźć dla niego czas. Psychoterapeuta Mońka miał zazwyczaj tak wiele umówionych spotkań, że nie mógł sobie pozwolić na przedłużenie sesji choćby o minutę. Cóż, najwyraźniej kryzys gospodarczy zastukał także do psychoterapeutów.

- To dobrze, bo pan Monk zupełnie stracił głowę - powiedziałam. - Jego reakcja na ten głupi problem z wodą jest grubo przesadzona, nawet jak na niego.

- Tu nie chodzi o wodę, Natalie - powiedział doktor, przysiadłszy na brzegu stolika. - Chodzi o to, co ona symbolizuje.

- Oczywiście pan wszystko rozumie. Pan jest psychiatrą.

- Dla mnie i dla ciebie to zwykła butelka wody, ale dla Mońka to olbrzymia, wręcz niepowetowana strata, która wymaga teraz od niego fundamentalnego przystosowania się do nowych warunków, psychologicznego i emocjonalnego.

- Wystarczy, jeśli zmieni markę - stwierdziłam. - Jestem pewna, że są firmy równie dobre i równie stare.

- Nie rozumiesz, Natalie. Monk widzi w tym brutalną napaść na swoje dogłębnie uporządkowane i pieczołowicie utrzymywane życie. Traci w ten sposób jedną z ostatnich więzi z matką, z przeszłością, ze swoim trybem życia.

- Dysfunkcyjnym trybem życia - dodałam. - Większość problemów Mońka to wina jego zbziko - wanej matki.

- I kto teraz mówi jak psychiatra? - zapytał doktor Bell z uśmiechem.

- Cóż, jest jakiś powód tego, że Monk ma zaburzenia obsesyjnokompulsy wne, a jego brat Ambrose boi się wyjść z domu.

- Niemniej jednak utrata wody, którą tak pokochał, oznacza teraz dla niego, przynajmniej do pewnego stopnia, konfrontację z niemożnością zapanowania nad własnym światem - tłumaczył doktor. - Monk najpierw musi się pogodzić ze swoją stratą, a dopiero potem stawić czoło niepewnej przyszłości i konieczności zmian.

- W międzyczasie jednak musi pić.

- O to się nie martw. Adrian nie umrze z pragnienia. Przejdzie przez to i będzie silniejszym człowiekiem.

- Dwie godziny wam wystarczą? - zapytałam.

- Sądzę, że tak - odparł doktor Bell, wstając. - Choć Adriana trudno będzie do tego przekonać.

Miałam wielką ochotę na latte w Starbucksie, jednak przeważyło poczucie finansowej odpowiedzialności i poszłam ma czarną kawę do McDonalda, a za zaoszczędzone pieniądze kupiłam małą porcję frytek i ostatni numer „San Francisco Chronicle”.

Wzięłam kawę, frytki i gazetę i poszłam do Washington Park, by nacieszyć się świeżym powietrzem i bezchmurnym, błękitnym niebem.

Miałam szczęście, bo znalazłam w parku miejsce dla VIPów - ławkę umiejscowioną tak doskonale, że w którąkolwiek stronę obróciłabym głowę, zawsze roztaczała się przede mną fantastyczna, pocztówkowa panorama miasta.

Naprzeciwko mnie wznosiła się ponad korony drzew i dachy domów przy Stockton Street surowa sylwetka Coit Tower. Po prawej stronie, na południe od Columbus Avenue, widziałam trójkątny czubek drapacza chmur Transamerica Pyramid, z kolei po lewej mogłam podziwiać biały jak tort weselny kościół Świętych Piotra i Pawła na Filbert Street.

Nie rozkoszowałam się jednak wspaniałymi widokami, gdyż nie mogłam się oderwać od gazety. Było to jak oglądanie równocześnie wraku rozbitego pociągu, katastrofy lotniczej i nagiej celebrytki.

Niemal wszystkie artykuły nawiązywały w jakiś sposób do sytuacji gospodarczej, co normalnie byłoby nudne jak flaki z olejem, ale nie teraz, w najczarniejsze dni kryzysu.

Obszerny artykuł poświęcony był Jackowi Mogg - ridge'owi, trwającemu procesowi sądowemu i dziesiątkom milionów dolarów, które zdefraudował z kont Big Country. Ale to

nie była żadna nowość. Interesujące były natomiast rewelacje na temat tego, co Moggridge zrobił ze swoim zyskiem.

Niemal wszystko włożył w fundusz inwestycyjny Reinier należący do Boba Sebesa, co jeszcze sześć miesięcy temu mogło się wydawać znakomitym posunięciem, Sebes bowiem uważany był za finansowego geniusza branży bankowej, a jego wart dwa miliardy dolarów fundusz gwarantował inwestorom zyskowe zwroty, niezależnie od dobrej czy złej passy światowej gospodarki.

Jednak kryzys, który teraz nastąpił, był tak głęboki, że wielu inwestorów Sebesa, pogrążonych w kłopotach finansowych, na gwałt potrzebowało pieniędzy i zaczęło wypłacać środki z funduszu.

Problem polegał na tym, że Sebes nie dysponował tak olbrzymią gotówką, aby obsłużyć wszystkie wypłaty, i parę tygodni temu zmuszony był dokonać przerażającego wyznania.

Jego fundusz okazał się jednym wielkim szwindlem, gigantyczną piramidą w systemie argentyńskim, a dwa miliardy dolarów praktycznie nie istniały. Gdzie zniknęły, tego już Sebes nie wyjaśniał.

Jack Moggridge był zatem bankrutem.

O ile można powiedzieć, że za nieczne czyny spotkała go zasłużona, słodka i poetycka kara, o tyle trudno znieść świadomość, że jego ofiary nigdy nie otrzymają żadnej rekompensaty za poniesione z jego winy straty.

Tymczasem Bob Sebes, odpowiedzialny za jedną z największych afér finansowych w historii, na rozpoczęcie procesu miał czekać w areszcie domowym we własnej willi w Pacific Heights. Wiadomością dnia była informacja, że sędzia, wbrew protestom opinii publicznej, podtrzymał wczoraj areszt domowy, uzasadniając decyzję tym, że Sebes oddał swój paszport, a na nodze ma elektroniczną obrozę z nadajnikiem GPS. Poza tym, będąc obecnie najbardziej znieawidzonym człowiekiem na kuli ziemskiej, i tak nie miałby dokąd uciekać.

Od biedy mogłam zrozumieć orzeczenie sędziego, ale i tak mnie wkurzył.

Gdybym napadła na staruszkę w Washington Park i ukradła mu z portfela sto dolarów, poszłabym siedzieć. Bob Sebes przywłaszczył miliardy dolarów z wielu banków, funduszy emerytalnych, kont organizacji dobroczynnych i tysiocy zwykłych ludzi, ale siedział cały dzień w domu, paradując w satynowych piżamach, objadając się kawiozem i zapijając szampanem.

Dlaczego zamknęli go w willi, a nie w więziennej celi? Dlatego, że był bogaty? Że był kiedyś grubą rybą na Wall Street? Że pokazywał się z gwiazdami filmowymi, sławnymi sportowcami i przywódcami rozmaitych państw i państweczek?

Oczywiście, że dlatego.

Jeszcze trudniej było mi się pogodzić z tym, że nawet gdyby Sebes został skazany i trafił do więzienia, to na pewno nie byłoby to więzienie, do którego trafiłabym po napaści na staruszkę. Mnie wysłaliby do jakichś kazamatów w zapadłej dziurze na końcu świata, gdzie siedziałabym w ciemnej, małej celi ze śliniącym się pedofilem. Sebes na pewno zostałby wysłany do zakładu penitencjarnego typu RitzCarlton, z osobistymi pokojami dla więźniów, grubą pierzyną, telewizją satelitarną i ekspressem ciśnieniowym do kawy.

Artykuł w „San Francisco Chronicle” ilustrowała fotografia, na której Sebes odpoczywa z żoną, Anną, niegdyś znaną skrzypaczką koncertową, na jachcie w Marinie. Sebesowie byli parą już w college’u i tak się do siebie upodobnili, że, jak wiele długoletnich par małżeńskich, przypominali dwujajowe bliźniaki. A może po prostu mieli jednego chirurga plastycznego?

Oboje wyglądali na opalonych, zdrowych i wypoczętych ludzi, a poza tym na znacznie młodszych niż te pięćdziesiąt z hakiem lat, które mieli. Wyglądali też na nadzwyczaj zadowolonych z siebie i zapewne właśnie dlatego redakcja wybrała do publikacji właśnie tę, a nie inną fotografię. Cóż, gdybym miała parę miliardów dolarów na koncie w banku, letnie domy we Francji i na Hawajach, jacht, osobistych trenerów i pełnoetatowego kucharza w domu, z pewnością również wyglądałabym młodo, byłabym pełna zadowolenia i tętniłabym życiem.

Pozostałe artykuły na stronie tytułowej były równie radosne i krzepiące. Mogłam przeczytać o trzydziestu miliardach deficytu w budżecie stanowym albo o plajcie historycznej restauracji, która upadła, choć przetrwała takie kataklizmy, jak trzęsienie ziemi w 1906 czy groźbę zamknięcia „San Francisco Chronicle”, co zostawiłoby miasto bez żadnego dziennika.

Sfrustrowana zmiełam gazetę i wrzuciłam ją do kosza na śmieci. Byłam tak wściekła i przygnębiona, że myślałam już, aby zapytać doktora Bella, czy także dla mnie nie znalazłby dwóch wolnych godzin.

Nic dziwnego, że Monk nie zawracał sobie głowy śledzeniem bieżących wydarzeń. Poważnie rozważałam, aby pójść jego śladem i żyć w błogiej nieświadomości, tyle tylko że w jego przypadku nie była ona wcale taka błoga.

W drodze powrotnej do gabinetu zatrzymałam się w sklepie spożywczym i kupiłam kilka butelek wody różnych marek, aby Monk mógł coś sobie wybrać w zastępstwie Summit

Creek. Wcale się nie spodziewałam, że zaraz dokona wyboru, ale przynajmniej tyle mogłam zrobić na dobry początek.

Kiedy podjechałam pod gabinet, Monk czekał na mnie na chodniku przed wejściem. Nie wydawał się tak szczęśliwy jak wtedy, gdy dostrzegł kulkę mandatu rzuconą na ulicę, ale z drugiej strony nie był już tak niespokojny i rozdrażniony jak wtedy, gdy przybyliśmy na miejsce przestępstwa. Wsiadł do samochodu, zapiął pasy i wydał długie, żalodne westchnienie.

- Doktor Bell trochę panu pomógł? - zapytałam.

Monk wzruszył ramionami.

- Czy wizyta u psychiatry może pomóc, kiedy wiesz, że na Ziemię pędzi świetlisty meteor i wkrótce zmiecie ze wszechświata rodzaj ludzki?

- Nie sądzi pan, że to jednak lekka przesada?

Monk skinął głową.

- Bardzo lekka.

- To tylko zwykła butelka wody, panie Monk.

- To meteor. Chodzi o to, że on już uderzył w Ziemię, tyle że my jeszcze żyjemy.

W domu Monk wystawił na stół w jadalni wszystkie pozostałe butelki z wodą Summit Creek i przeliczył je kilka razy. Potem zapisał liczbę na kartce. A potem jeszcze raz przeliczył.

- Liczba butelek się nie zmienia, panie Monk - zapewniłam go. - Nie zmieni się, dopóki pan którejś nie wypije.

- To poważna sprawa, Natalie. Muszę być skrupulatny i ostrożny. Od tego zależy moje przetrwanie.

Na drugim końcu stołu wystawiłam butelki z wodą, które kupiłam w sklepie spożywczym.

- Powinien pan spróbować jakiejś innej butelkowanej wody, którą można dostać na rynku - powiedziałam, wskazując wystawioną kolekcję.

- Summit Creek jest nie do zastąpienia.

- Nie ma pan wyboru - stwierdziłam. - Chyba że rzeczywiście chce pan umrzeć powolną, straszną śmiercią.

- Robię to od narodzin.

Wzięłam do ręki butelkę wody Arrowhead.

- Co pan powie na Arrowhead? Pochodzi ze źródeł w górach San Bernardino.

- To są bardzo brudne góry.

- Brudne góry?

- Widziałem je. Są osypane ziemią.

- Wszystkie góry pokrywa ziemia.

- Te sąbrudniejsze niż inne.

- Rozumiem. - Sięgnęłam po inną butelkę. - Co pan powie na wodę Hawaiian Springs?

Czyściutka woda deszczowa, spływająca z hawajskich szczytów Mauna Loa, przesączająca się przez porowatą skorupę zastygłej lawy.

- Od chwili, w której woda spada z chmur na ziemię, przebijając się przez grube warstwy zanieczyszczonego powietrza, do chwili, w której trafia do butelek, mija trzydzieści dni - powiedział Monk. - Nie będę pił smogu, samolotowych spalin i ptasich gazów.

- Ptasich gazów?

- Ptaki mają odrażające nawyki żywieniowe. Zwykle jedzą, co popadnie. Ich jelita tego nie wytrzymują.

Odsunęłam butelkę na bok i sięgnęłam po kolejną.

- W takim razie może Crystal Greyser? Woda pochodzi ze źródeł w trzech miejscach; w Mount Shasta w Kalifornii, w parku narodowym Cherokee National Forest w Tennessee oraz w górach Blue Ridge w Karolinie Południowej. W jednej butelce ma pan najlepszą wodę ze wszystkich stron kraju.

- Naprawdę chcesz, żebym pił mieszaną wodę? Co ty sobie myślisz? To tak, jakbym pił mieszankę orzeszków.

Miał rację. Powinna była się tego domyślić, zanim mu podsunęłam tę wodę, choć nie powiem, żeby jego rozumowanie miało dla mnie jakiś sens.

Wzięłam do ręki ostatnią butelkę.

- O Evian nie może pan powiedzieć nic złego. To woda dla najbardziej wybrednych smakoszy, bierze się z deszczów i tającego śniegu najwyższych, pierwotnych szczytów majestatycznych Alp francuskich. - Łgałam na potęgę, ale chciałam dobrze sprzedać swoją Evian, byłam Billym Maysem butelkowanej wody. - Zanim trafia do butelek, przez piętnaście lat filtruje się przez wodonośne warstwy piasku polodowcowego.

- Piętnaście lat? Nie rozśmieszaj mnie. - Monk wziął do ręki butelkę Summit Creek. - To jest woda pierwotna, z epoki lodowcowej, sprzed ery człowieka. Po prostu nie ma porównania.

Odrzucił wszystkie cztery marki, ale to mnie nie zniechęciło. To była tylko pierwsza runda, a w tej grze od początku byłam skazana na zwycięstwo. W sklepach była jeszcze cała

masa różnych marek butelkowanej wody i wiedziałam, że prędzej czy później będzie musiał się na którąś zdecydować.

Monk polizał wargi i wydał z siebie suchy, char - kliwy kaszel. Rozmowa o wodzie z pewnością pobudziła w nim pragnienie. Zaniósł swoją butelkę do kuchni, wziął do ręki łyżeczkę i ostrożnie napełnił ją ukochaną wodą.

Wolno wysączył wodę z łyżeczki i z zamkniętymi oczami delektował się naturalnym smakiem prahistorycznej Ziemi.

- Co pan robi w sprawie zabójstwa? - zapytałam.

- Jakiego zabójstwa?

- Mike'a Claskera.

- Kogo?

- Mężczyzny, który został uduszony struną fortepianową w zamkniętym od środka samochodzie na zatłoczonym skrzyżowaniu Sutter i Van Ness, w środku dnia, pod nosem kapitana Stottlemeyera i porucznika Dishera.

- Widzieli, kto to zrobił? - zaciekawił się Monk.

- Nie, nie widzieli - odparłam, niemal krzyżąc. - Nie słuchał pan, co mówiono na miejscu zbrodni?

- Docierały do mnie tylko strzępki rozmów - odparł. - Kiedy jestem spragniony, nie potrafię się skoncentrować.

- Pił pan wodę półtorej godziny przed naszym przybyciem na miejsce przestępstwa.

- Od parkingu do skrzyżowania musieliśmy odbyć forsowny, wyczerpujący marsz w pięknym słońcu.

- To było ledwie parę przecznic. Takiemu spacerkowi daleko do batańskiego marszu śmierci.

- Szybko się wysuszam.

- Kapitan Stottlemeyer na pana liczy. Musi się pan skupić na tej sprawie.

- Zaraz się nią zajmę - obiecał. - Jak tylko spalimy moje ubranie.

Detektyw Monk i idealna równowaga

Kiedy weszłam do mieszkania, taszcząc ze sobą pękaty plastikowy worek na śmieci, moja córka leżała z podwiniętymi nogami na kanapie w salonie i pisała SMSa na iPhone.

Julie już mnie przerosła, więcej było w niej kobiety niż małej dziewczynki i trochę niezręcznie się z tym czułam. Dziecko widziałam w niej tylko wtedy, kiedy się uśmiechała. Jednak uśmiech na jej twarzy nie pojawiał się tak często jak kiedyś.

Julie przechodziła ten ponury, nastrojowy i hormonalny etap dorastania, gdy wszystko, co robi matka, jest nieracjonalne, niesprawiedliwe, kapryśne, oburzające, dyktatorskie, niemoralne, nieetyczne i kłopotliwe. Miała w zanadru tyle przymiotników, opisujących, jak bardzo nie mam racji, że zastanawiałam się czasem, czy przed każdym kolejnym sporem ze mną nie studiuję słownika. To jednak wymagałoby zdobycia się na wysiłek otwarcia książki, czego nie widziałam u niej od bardzo dawna. Większość czasu spędzała przed komputerem, rozmawiając z przyjaciółmi na komunikatorach i surfując po sieci.

Kiedy weszłam, ledwie podniosła wzrok.

- Co tam masz? - zapytała.

- Cztery butelki wody i rzeczy, które pan Monk miał dzisiaj na sobie.

- Dlaczego masz jego rzeczy?

- Chciał, żebym je spaliła, a u niego nie ma pieca do spopielania.

- U nas też nie.

Jej słowa zabrzmiały bardziej jak ostrzeżenie niż proste stwierdzenie faktu.

- Nie, ale możemy zrobić ognisko za domem albo spalić je w kominku.

- Chyba nie masz takiego zamiaru?

- Dlaczego nie? - powiedziałam, żeby się troszkę podroczyć.

- Ktoś może cię zobaczyć i pomyśleć, że zwariowałaś - odpowiedziała. - Chcę dobrze żyć z sąsiadami.

- Oczywiście, że nie będę ich palić. - Postawiłam worek obok drzwi wejściowych, wyjęłam butelki z wodą i podeszłam z nimi do kanapy. - Naprawdę pomyślałaś, że mogłabym coś takiego zrobić?

- Robisz dla niego różne zwariowane rzeczy, a ja się potem wstydzę.

- Wstydzić mogę się najwyżej ja, ty nie musisz.

Wystawiłam butelki na stolik, usiadłam przy

Julie i otworzyłam sobie wodę Hawaiian Springs.

- Tak? A przybornik pierwszej pomocy, który kazał mi nosić codziennie do szkoły? - zapytała. - A kwadratowe kanapki, których wszystkie składniki też były przycięte w kwadrat?

Pociągnęłam łyk wody. Nie wyczułam w niej smaku Hawajów, zanieczyszczeń ani ptasich gazów, jednak na podniebieniu woda wydała się bardziej świeża i krystaliczna od tej, która leci z kranu w kuchni.

- W kwadratowych kanapkach nie ma chyba nic niezwykłego - stwierdziłam.

- Ale kwadratowe ciasteczka i kwadratowe chrupki ziemniaczane są już niezwykle. Ludzie myśleli, że jestem niepoczytalna i przez cały wieczór wycinałam z chrupek kwadraciki.

- Fakt, że pan Monk poświęcił ci tyle czasu i wysiłku, świadczy tylko o tym, jak bardzo mu na tobie zależy.

- To świadczy o czymś zupełnie innym - stwierdziła wymownie Julie. - I co zamierzasz zrobić z tymi ciuchami?

- Rano w drodze do pracy podrzucę je do Good - willa.

- Chciałabym jeszcze, żebyś zawiozła do naprawy mój rower. Coś się zepsuło w przerzutkach.

Prowadziłyśmy rozmowę, ale Julie nie patrzyła na mnie. Cały czas pisała do kogoś SMSa. Nie pojmowałam, jak może prowadzić dwie konwersacje naraz, nawet jeśli jedna była werbalna, a druga nie.

- Dlaczego sama nie weźmiesz roweru do warsztatu?

- Bo to jest... tak strasznie daleko.

- Jest lato, są wakacje, Julie. Masz coś do roboty?

- Ale dlaczego mam prowadzić rower taki kawał drogi, skoro o wiele prościej i szybciej będzie, jeśli podrzucisz go samochodem.

- Dlatego, że nie jestem twoim niewolnikiem. Co będzie, jeśli zaplamie smarem spodnie? Będę musiała wrócić do domu i się przebrać, bo w przeciwnym razie pan Monk zacznie się upierać, żebym je spaliła.

- Gdybym miała własny samochód, nie musiałabyś wszystkiego za mnie załatwiać - powiedziała Julie.

Nasze spory zazwyczaj kończyły się nagabywaniem o kupno samochodu. Julie nie znosiła pokazywać się w moim czterodrzwiowym buicku i uważała za upokarzające, że „wszędzie mnie podwozi i odbiera mamusia”.

- To kup sobie samochód.

- Nie mam pieniędzy.

- Znajdź pracę.

Moje słowa oderwały ją na chwilę od iPhonea. Spojrzała na mnie, jakbym kazała jej przebiec nago ulicą, wyśpiewując melodie filmowe.

- Mamy lato - powiedziała. - Właśnie skończyłam długi i ciężki rok szkolny. Muszę się doładować. Tak jak misie muszą zimą zapaść w stan hibernacji.

- Więc skąd miałby się wziąć twój samochód? - zapytałam.

- Ty możesz mi go kupić.
- Za co?
- Nie masz odłożonych oszczędności?
- Nie stać nas na oszczędności.
- Ale chyba masz coś odłożone na czarną godzinę?
- Na czarną godzinę też nas nie stać.

Julie westchnęła głośno i przeciągle, z całą mocą swojej nastoletniej złości i frustracji. To było naprawdę niezłe westchnienie, niemal Monkowe, z całego dramatyczną, teatralną przesadą. Ręce same się składały do oklasków.

- Nie możesz zażądać podwyżki? - zapytała Julie.

Zaśmiałam się.

- Od Adriana Mońka?

- Dlaczego nie?

- Chyba już poznałaś tego człowieka, prawda? On nie jest zwykłym dusigroszem, jego portfel jest hermetycznie zamknięty i zapieczętowany. Dosłownie.

- Możesz poprosić rodziców o pieniądze.

- Moi rodzice to nie bankomat i powinnaś wreszcie przestać ich tak traktować.

- W takim razie możesz wziąć pożyczkę z banku pod zastaw domu.

- Masz mnóstwo pomysłów na to, skąd ja mam wziąć pieniądze - stwierdziłam. - Nie masz pomysłów na to, co ty mogłabyś zrobić?

- Ty jesteś rodzicem, a ja dzieckiem. To ty musisz mnie utrzymywać na tym świecie i zapewniać mi środki na odpowiedni rozwój.

- Ciekawe. Kiedy chodzi o pieniądze, nagle stajesz się dzieckiem, ale gdy w grę wchodzi impreza w piątek wieczorem, domagasz się, aby traktować cię jak osobę dorosłą. Nie dostrzegasz żadnej sprzeczności? Nie ma w tym hipokryzji?

- Ależ skąd - odparła Julie.

- Teraz się wygłupiasz - powiedziałam, wstając z kanapy. - Zawiozę ci ten rower do warsztatu. Dzięki temu unikniemy kolejnych konwersacji na temat samochodu.

- Któregoś dnia będzie mi niezbędny - krzyknęła za mną Julie, gdy wychodziłam z pokoju.

- Z całą pewnością - zgodziłam się. - Mam nadzieję, że kiedy ten dzień nastanie, będziesz miała odłożone jakieś oszczędności.

Nie powiedziałam jej, że kiedy ja byłam w jej wieku, rodzice rzeczywiście kupili mi samochód, i nie zamierzałam jej o tym mówić w najbliższym czasie.

Nie miałabym żadnej korzyści, gdyby Julie się dowiedziała, że hipokryzja to u nas cecha rodzinna.

Rano złożyłam w samochodzie tylne siedzenia i z niemałym trudem wcisnęłam rower Julie przez bagażnik do wnętrza. Podczas zmagania z rowerem otarłam się nogą o jedną z opon, co zostawiło na spodniach czarną smuzkę, która nie chciała zejść. Gdybym nie miała spotkania z Monkiem, nie zwróciłabym na nią uwagi i zajęłabym się swoimi sprawami. Ale był to dzień roboczy i Monk oczekiwał mnie punktualnie o dziesiątej pod swoimi drzwiami.

Miałam ochotę wyciągnąć rower z samochodu i kazać Julie samej zabrać go do warsztatu, ale nie jestem taka mściwa. W każdym razie nie wtedy, kiedy się śpieszę.

Pobiegłam więc z powrotem do domu i zmieniłam szybko spodnie, przez co ledwie zdążyłam podrzucić rzeczy Mońka do sklepu Goodwill. Odwiezienie roweru do warsztatu musiało poczekać do południa.

Kiedy weszłam do mieszkania Mońka, mój pracodawca leżał na kanapie, oblizując wargi i łapiąc ciężko powietrze przy każdym oddechu.

- Dzwonił Stottlemeyer - sapnął. - Chce, żebyśmy przyjechali na posterunek.

- Jest przełom w sprawie?

- Nie wiem. Ale ja nie mogę jechać.

- Dlaczego?

- Nie widzisz? - zapytał. - Jestem wysuszonym trupem.

- Trupem jeszcze pan nie jest.

- Czuję się martwy. Jesteś pewna, że jeszcze żyję?

- Trupy nie jęczą.

- Ale jestem wysuszony. Jeszcze trochę, a zostanie ze mnie pobieleły szkielet.

- Nie wiem, w jaki sposób pańskie kości miałyby się wybielić w zaciemnionym pokoju.

- Zostawię ci przy kanapie butelkę wybielacza i dokładną instrukcję, co masz zrobić, gdy znajdziesz mój szkielet.

- Nie mam zamiaru wybielać pańskiego szkieletu, panie Monk.

- Co z ciebie asystentka - oburzył się. - Za co ci płacę?

- Skoro o tym mowa, to nie płacił mi pan od miesiąca. Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał.

Monk jęknął. Sapnął. Chwycił powietrze w płuca.

Całkowicie zignorowałam przedśmiertne drgawki dogorywającego Mońka, podeszłam do biurka, wyciągnęłam z szuflady jego książeczkę czekową i wróciłam do kanapy.

- Nie rozumiesz, że ginę? Jak możesz myśleć o pieniądzach w takiej chwili?

Wręczyłam mu długopis.

- Ponieważ je zarobiłam.

- Może jutro - jęknął. - Jeśli będę się czuł bardziej zawilgocony.

- Jeżeli nie wypisze mi pan czeku, nie wstanie z kanapy i nie pojedzie ze mną na spotkanie z kapitanem, wypiję łyżeczkę wody z jednej z pańskich butelek Summit Creek.

- Nie odważyłabyś się - przeraził się Monk.

- Tak się składa, że mam przy sobie butelkę Summit Creek - powiedziałam, sięgając do torebki.

- Dobrze! Spokojnie. Nie rób nic, czego miałbym żałować. - Monk usiadł i wypisał czek. - Zdajesz sobie sprawę, że przystawienie pistoletu do skroni człowieka i zmuszenie go siłą do podpisania bankowego dokumentu praktycznie unieważnia ten dokument.

- Nie przystawiam panu pistoletu do skroni - zauważyłam. - To tylko butelka wody.

- To jedno i to samo. - Oderwał czek z książeczki i podał mi go.

- Niech pan wypije łyżeczkę wody i ruszamy w drogę - powiedziałam. - Ma pan do złapania groźnego mordercę.

W ciągu następnych kilku minut udało mi się postawić go na nogi, nawodnić łyżeczką Summit Creek i wyciągnąć z domu. Jeszcze wieczorem tego dnia musiałam zapłacić rachunki domowe, więc po drodze zatrzymaliśmy się w banku, żebym mogła zdeponować czek. Dopiero potem pojechaliśmy do śródmieścia. Monk zerknął przez ramię na leżący z tyłu rower Julie i zmarszczył brwi.

- Co to tutaj robi?

- Zepsuły się przerzutki. Kiedy wieczorem będę wracała do domu, podrzucę rower do warsztatu naprawczego.

- Umyłaś go przed włożeniem do samochodu?

- Nie.

- Zdajesz sobie sprawę, po czym te opony jeździły?

- Po drogach, panie Monk. Po ścieżkach rowerowych. Czasem po chodniku.

Monk pokiwał tylko głową, wyjął z kieszeni chusteczkę i zakrył nią usta i nos.

- Te koła moczyły się w zgniliznie, chorobach i śmierci.

- Mocne słowa.

- Będziesz musiała odkazić wnętrze auta.

- Nie będę odkażała samochodu z powodu roweru, panie Monk.

- Sam rower nie stanowi problemu. Kocham rowery. Chodzi o koła. Są wyjątkowo niehigieniczne.

- Nikt nie każe panu z nich jeść obiadu. Nie wiedziałam, że kocha pan rowery.

- Jazda na rowerze to jedna z nielicznych chwil w życiu, w których człowiek może doświadczyć idealnej równowagi.

- W takim razie dlaczego nigdy nie widziałam pana na rowerze?

Westchnął smutno i zapadł się w fotelu.

- Nie tak miało być. Zanim nauczyłem się jeździć, przeżyłem coś traumatycznego.

- Dla pana każde doświadczenie jest czymś traumatycznym - rzuciłam. - Dlaczego akurat to okazało się jeszcze gorsze?

- Dzieci śmiały się ze mnie, bo korzystałem z bocznych kółek do nauki jazdy.

- Każde dziecko uczy się jeździć z bocznymi kółkami, panie Monk. Nie ma w tym nic niezwykłego.

- Ja też tak sądziłem, ale dzieci potrafią być potwornie okrutne i bez serca - mówił Monk. - Za każdym razem, kiedy próbowałem uczyć się jeździć na rowerze, dzieci wytykały palcami obie pary kółek i rzucały w moją stronę najgorsze obelgi.

- Obie pary?

- Obie pary bocznych kółek - powiedział Monk. - Przednich i tylnych.

- Miał pan zamontowane kółka z przodu i z tyłu rowerka?

- Oczywiście. W przeciwnym razie nie byłoby ani symetrycznie, ani bezpiecznie. Każde inne rozwiązanie było samobójstwem.

- Nie zauważył pan, że inne dzieci miały boczne kółka tylko przy tylnym kole?

- Mają szczęście, że przeżyły - powiedział Monk. - Dziś zapewne nie ma ich już na świecie, chyba że zarzuciły ryzykowny styl życia z dzieciństwa.

Mogłam zrozumieć, dlaczego dzieci się naigrywały z Mońka. Gdybym jako dziecko znalazła się wtedy na jego ulicy, zapewne również pękałabym ze śmiechu.

- Nigdy nie jest za późno, żeby nauczyć się jeździć na rowerze, panie Monk - powiedziałam zachęcająco.

- Dla mnie za późno - odparł. - Dla mnie jest za późno na wszystko, co warto w życiu zrobić.

Nie było sensu spierać się dłużej z Monkiem. Spieranie się z nim nigdy nie miało sensu. Monk miał swój ustalony punkt widzenia i nic nie było w stanie go zmienić, zwłaszcza gdyby zmiana miała wyprowadzić go z lamentów i słodkiej nędzy. W porównaniu z Monkiem fistaszkowy Charlie Brown był okazem szczęścia i radości.

Detektyw Monk i kiepska powtórka

Kiedy weszliśmy na posterunek, Disher siedział przy swoim biurku przed oszklonym gabinetem kapitana Stottlemeyera. Żaluzje w gabinecie były opuszczone, co zwykle oznaczało, że kapitan albo drzemie, albo kryje się z papierosem, albo rozmawia przez telefon z byłą żoną.

- Co ma dla nas kapitan? - zapytałam Di - shera.

- Nie wiem. Siedzi tam, odkąd rano pojawił się w biurze.

Monk oblizwał wargi.

- Mam suche gardło.

- To niech się pan napije - powiedział Disher.

- Nie drwij sobie ze mnie - odparł Monk. - To zbyt okrutne.

- Nie rozumiem, mówię serio. Niech się pan napije. - Disher ruszył w kierunku butli z wodą. - Mamy Alhambrę.

- To woda destylowana - powiedział Monk.

- Nie jest czysta i zdrowa? - zapytał Disher.

- To zwykła woda z kranu, tyle że przemieniona w parę wodną, potem schłodzona, skondensowana i skroplona z powrotem w wodę.

- Na tej samej zasadzie działa transporter teleportujący w Star Treku - rzekł odkrywco Disher. - Tyle tylko, że w odniesieniu do oddziałów desantowych statku Enterprise.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził Monk. - Chcę ci jedynie uświadomić, że to wciąż tylko woda z kranu. Równie dobrze mógłbyś mnie poczęstować szklaneczką chłodnego płynu akumulatorowego.

Disher podszedł do butli z wodą i napełnił papierowy kubeczek. Wypił dwa łyki wody.

- Nie wiedziałem, że to woda ze Star Treka. Faktycznie smakuje przyszłością.

- Czy technicy złożyli już raport z oględzin samochodu Claskera? - zapytałam, zmieniając temat.

- Tak. - Disher wrócił z papierowym kubkiem wody do biurka. - W bmw nie znaleziono ukrytych schowków ani żadnych tajnych mechanizmów, ale za to mamy mnóstwo odcisków palców. Większość należy do Claskera, jego rodziny oraz osób niezidentyfikowanych, ale mamy parę interesujących trafień. Są odciski Moggridge'a, człowieka, przeciwko któremu Clasker miał zeznawać.

- Gdzie przebywał Moggridge, gdy popełniono morderstwo? - zapytał Monk.

- Siedział na sali sądowej i czekał na Claskera - odrzekł Disher. - Ale pan już nie takie alibi obalał, panie Monk.

- Moggridge mógł jechać samochodem Claskera kilka miesięcy temu - stwierdził Monk.

- Może dowodzi to tego, że Moggridge przygotował wcześniej samochód Claskera, dla faceta, którego najął do morderstwa - zasugerował Disher.

- W takim wypadku trzeba jeszcze znaleźć mordercę - powiedziałam.

- Chyba go mamy - pochwalił się Disher. - Jedne z odcisków należą do niejakiego Armanda Alvareza poszukiwanego w Meksyku za wykonanie dziesiątek egzekucji na zlecenie kartelu narkotykowego Juareza. Właśnie go aresztowaliśmy.

- Jak go znaleźliście? - zainteresował się Monk.

- Niektóre z odcisków palców znalezionych w samochodzie należą do pracowników myjni samochodowej, która znajduje się kilka przecznic od miejsca, gdzie zginął Clasker. Wysłałem tam paru mundurowych, żeby sprawdzili, czy nie znajdą tam kogoś od innych niezidentyfikowanych odcisków. Kiedy zjawili się na miejscu, jeden z facetów myjących samochody nagle rzucił się do ucieczki. Policjanci szybko go dopadli i zatrzymali. To był właśnie Alvarez. Po prostu sfuszerował sprawę, zostawiając w samochodzie odciski palców, gdy mordował Claskera.

- Chyba że Clasker jeździł myć samochód właśnie do tej myjni - powiedział Monk. - A fakt, że jeden z jej pracowników jest poszukiwanym przestępcą, to zwykły zbieg okoliczności.

- Albo Alvarez wybrał tę myjnię, bo znajduje się blisko Van Ness i Sutter - mówił dalej Disher. - Łatwo mógł się stamtąd wymknąć, zamordować Claskera i szybko wrócić na miejsce pracy. Myjnia to jego alibi.

- Ale jak niezauważony dostał się do samochodu Claskera i jak z niego wyszedł? - zapytałam.

- Tego nie wiem. Ale to Alvarez. Musimy tylko dojść, w jaki sposób tego dokonał. - Disher przypatrywał się przez chwilę kubeczkowi z wodą. - Może odkrył, jak można się wydestylować z ulicy do samochodu, a potem z powrotem na ulicę?

Stottlemeyer otworzył drzwi swojego gabinetu. Wyglądał na kogoś, kto spędził na nogach całą noc i nie miał z tego bynajmniej żadnej uciechy.

- Wejdźcie, musimy porozmawiać.

Disher zaczął się podnosić, ale kapitan podniósł dłoń w powstrzymującym geście.

- Tylko Monk i Natalie - wyjaśnił. - To prywatna sprawa.

- Och, rozumiem - rzucił Disher z szelmowskim uśmiechem. - Chodzi o moje urodziny, prawda?

- Masz niedługo urodziny? - zapytał kapitan, gdy wchodziliśmy z Monkiem do jego gabinetu. - Kiedy?

- Jakby pan nie wiedział, kapitanie - zachnął się Disher. - Rozumiem. To ma być absolutna niespodzianka, bo nigdy jeszcze nie przygotowano tu dla mnie przyjęcia, tak?

Stottlemeyer posłał Disherowi przeciągłe, mordercze spojrzenie, potem zamknął drzwi i odwrócił się w moją stronę.

- Wiesz, kiedy Randy ma urodziny?

- Za dwa dni.

- Do diabła... Lepiej będzie, jak coś dla niego wymyślę. Co on lubi?

- Skąd mam wiedzieć?

- Kobiety wiedzą takie rzeczy - stwierdził Stottlemeyer.

- Pracuje pan z człowiekiem tyle lat i nie wie pan, co on lubi?

- Pracujemy ze sobą. Nie chodzimy.

Westchnęłam ciężko. Zadziwiająco, jak ślepy może być człowiek, który zarabia na życie, obserwując innych i prowadząc przenikliwe śledztwa.

- O czym chciał pan z nami porozmawiać, kapitanie? - zapytałam.

- Jak to, nie rozmawiamy o przyjęciu urodzinowym Randy'ego? - zapytał Monk.

- Nie, Monk, nie o przyjęciu. - Kapitan przysiadł na krawędzi biurka i spojrzał na nas posepnie. - Niestety, mam bardzo złe wiadomości.

- Nie może być gorszej wiadomości od tej, jaką usłyszałam wczoraj - stwierdził Monk, ale jego oczy natychmiast rozszerzyły się w śmiertelnym przerażeniu. - Mój Boże! Przestali produkować chusteczki Wet Ones? Windex? Lizol? Lepiej będzie, jak strzelę sobie w łeb i skończy się cały ten koszmar.

- Spokojnie, panie Monk - powiedziałam. - Na pewno nie jest tak źle.

- Nie byłbym tego taki pewny, Natalie. - Stottle - meyer głęboko westchnął. - Ciężko mi to powiedzieć i przykro, że akurat na mnie spada taki obowiązek. Zostałeś zwolniony, Monk. W trybie natychmiastowym.

- Co takiego zrobiłem?

- Nic nie zrobiłeś. Jesteś świetny. To nie ma nic wspólnego z tobą, wszystkiemu jest winna gospodarka. Departamentu policji nie stać już na konsultantów. Nie stać ich nawet na mnie.

Poczułam okropne déja vu. Raz już przez to przechodziliśmy parę miesięcy wcześniej. Stottlemeyer wyrzucił Mońka z pracy rzekomo dlatego, że departament miał poczynić jakieś oszczędności, aby zarobić parę politycznych punktów wśród niechętnie nastawionych związkowców i szeregowych policjantów. Mnie jednak nie opuszczało dziwne przekonanie, że jego decyzja bardziej wiązała się wtedy z poczuciem własnej nieudolności po tym, jak na krajowej konferencji służb policyjnych publicznie skrytykowano Stottlemeyera za to, że nadmiernie polega na Monku w uzyskiwaniu znakomitych rezultatów prac wydziału. Nie wiedziałam, jaki tym razem był rzeczywisty powód zwolnienia Mońka, ale nie miałam zamiaru się z tym godzić.

- Kapitanie, zapomniał pan już, co było, kiedy ostatnim razem zwolnił pan Mońka? Nastąpiła katastrofa. Znowu będzie pan żałował.

- Już żałuję, ale tym razem decyzje przyszły z góry, nie mam z tym nic wspólnego. Miasto nie ma pieniędzy, więc departament zmuszony jest brutalnie ciąć wydatki. Dam wam przykład. O dwadzieścia procent redukujemy obecność radiowozów na ulicach, ponieważ brakuje pieniędzy na benzynę, serwis i ludzi na patrolach.

- Ale na ulicach będzie jeszcze niebezpieczniej, a wielu ptaszkom ich przestępstwa ujdą płazem - powiedział Monk.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie ma wyjścia, Monk. Po prostu nie ma pieniędzy na opłacenie pracy, którą powinniśmy wykonywać.

To była bardzo kiepska powtórka odcinka, który już raz oglądaliśmy i który już za pierwszym razem okrutnie mi się nie podobał.

- Wtedy też pan tak mówił, kapitanie, a potem wróciła koza do woza.

- Tym razem rzeczy mają się inaczej, Natalie. Sama to wiesz. Wystarczy wyjrzeć za okno. Widziałaś, ile firm plajtuje? Ilu ludzi traci domy? Wyszły źródła dolarów płynących z podatków. Władze drenują budżety wszystkich publicznych jednostek stanowych, miejskich czy nawet okręgowych. Szkolnictwo, opieka socjalna, co tylko przyjdzie ci do głowy. Wszyscy to odczuwamy na własnej skórze.

Wiedziałam, że ma rację, ale przez to nie było mi łatwiej zaakceptować zwolnienia Mońka. Jeśli Monk straci pracę, ja również. Nie mogłam się poddać bez walki.

- Pan Monk sam jeden potrafi rozwikłać więcej morderstw niż wszyscy detektywi na pana wydziale razem wzięci - powiedziałam. - Dobrze pan to wie, kapitanie.

- Czego się spodziewasz? Mam zwolnić wszystkich detektywów i zostawić Mońka? Coś ci powiem, Natalie. Wyjdź z gabinetu, rozejrzyj się i wybierz chłopaków, którzy mają

stracić etat tylko dlatego, żeby zewnętrzny konsultant mógł zachować swój kontrakt. Może wybierzesz Randy'ego? Może mnie?

- Chciałam tylko powiedzieć, że sprawność pana Mońka pozwala zaoszczędzić wydatki. Przecież o to właśnie chodzi, prawda? Chyba że chodzi o coś innego?

- Kapitan ma rację - odezwał się Monk. - Żaden funkcjonariusz policji nie może z mojego powodu stracić pracy.

- Pan jest najlepszym detektywem w mieście, panie Monk. Jeśli mają robić redukcje, to czy nie powinni zostawić najlepszych?

- Oni są policjantami. Ja nie.

- To niesprawiedliwe - stwierdziłam.

- Witaj w moim życiu - powiedział Monk i zwrócił się do kapitana: - Wiesz, że o każdej porze dnia i nocy możesz zadzwonić i poprosić mnie o pomoc. Przyjadę niezależnie od tego, czy dostanę zapłatę czy nie.

- Wiem - rzekł Stottlemeyer.

- Czy będę mógł przyjechać nawet wtedy, gdy nie zadzwonisz?

- Nie - sprzeciwił się stanowczo Stottlemeyer. - Poradzisz sobie z tym?

- Nigdy z niczym sobie nie radzę - odpowiedział Monk i ruszył w kierunku drzwi, przed którymi się zatrzymał, i zanim je otworzył, zastanawiał się nad czymś przez krótką chwilę. - Qtips - powiedział w końcu.

- Słucham? - Stottlemeyer nie zrozumiał.

- Kup Randy'emu waciki do uszu Qtips - powiedział Monk. - To idealny prezent na urodziny.

Kiedy wyszliśmy z gabinetu Stottlemeyera, Disher posłał nam zza biurka szeroki uśmiech. Wydawało się, że w ogóle nie dostrzegł mojego przygnębienia ani smutku w oczach Mońka. Muszę jednak uczciwie oddać Randy'emu, że smutek nigdy nie zniknął z oczu Mońka. Jedynie ktoś, kto spędzał z nim tyle czasu co ja, był w stanie zauważyć subtelne zmiany w intensywności Monkowego smutku.

- Jeśli wciąż nie wiecie, co mi kupić na urodziny, problem macie już z głowy - powiedział zadowolony z siebie Disher. - Właśnie otworzyłem w Nordstro - mie listę prezentów weselnych, które mogą kupować wszyscy moi goście.

- Przecież się nie żenisz - powiedziałam.

- W Nordstromie nie muszą o tym wiedzieć.

Kiedy wychodziliśmy z Monkiem z pokoju detektywów, wyjęłam z torebki woreczki z wykałaczką i mandatem za parkowanie i wrzuciłam je do stojącego przy drzwiach kosza na śmieci.

- Nie będą nam już potrzebne - powiedziałam.

Monk zatrzymał się w pół kroku. Poruszył niezgrabnie ramionami, przechylił głowę w jedną i w drugą stronę, a potem wyciągnął do mnie rękę i strzelił palcami.

- Chusteczka, chusteczka.

Podalam mu dwie chusteczki higieniczne. Monk wziął po jednej w każdą dłoń, zanurzył ręce w koszu i wyciągnął z niego oba woreczki. Podniósł je do oczu i przez pewną chwilę bacznie się im przyglądał.

- Chyba nie chce pan teraz udzielić reprimendy kapitanowi, że śmieci na ulicy i daje zły przykład podwładnym? - zapytałam. - To nieodpowiedni moment.

Kiedy opuścił ręce, na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

Właściwie nie sam uśmiech był dziwny. Dziwne było to, że parę minut po zwolnieniu z pracy Monk znalazł powód ku temu, aby się uśmiechnąć.

Ale był to uśmiech, który znałam aż nadto dobrze. Nie miałam żadnych wątpliwości, co mógł oznaczać.

Monk właśnie rozwiązał zagadkę morderstwa.

- Muszę obejrzeć samochód Claskera - powiedział.

Detektyw Monk i czarodziejska sztuczka

Kapitan Stottlemeyer usiłował wytłumaczyć Monkowi, że jest zwolniony z pracy, wyłączony ze śledztwa i nie ma najmniejszego powodu, aby wpuszczać go do laboratorium policyjnego na oględziny samochodu Claskera.

Jednak tłumaczył to Monkowi bez większego przekonania, ponieważ ciężąca na nim presja rozwikłania pozornie nieprawdopodobnego morderstwa znanej osoby była dużo silniejsza niż wyrzut sumienia, że z premedytacją wykorzystuje zachowania kom - pulsywne przyjaciela.

Ja również nie protestowałam zbyt mocno, bo wiedziałam, że Monk nie będzie potrafił się powstrzymać od doprowadzenia tego śledztwa do końca, niezależnie od tego, czy otrzyma za to zapłatę i czy szefostwo departamentu doceni jego wysiłek.

Miałam poza tym świadomość, że każdy, kto posiada informacje mogące prowadzić do schwytania sprawcy morderstwa, zobowiązany jest przedstawić je policji nawet wtedy, gdy policja zwolniła właśnie z pracy jego i jego urodziwą asystentkę.

Chwilę później Stottlemeyer, Disher, Monk i ja schodziliśmy do garażu laboratorium policyjnego, które mieściło się w tym samym budynku po drugiej stronie parkingu.

Gdyby był to jeden z kolejnych odcinków CSI Zagadek kryminalnych, garaż byłby oświetloną neonami salą z nierdzewnej, odczyszczanej stali, w której piękne kobiety hojnie obdarzone przez naturę i przystojni mężczyźni o płowych włosach, ubrani w białe fartuchy od Versace, pochylaliby się zmysłowo nad lśniąco krzywiznami auta, operując technologią najwyższej jakości w rytm pulsującego cicho hip-hopu.

Szara rzeczywistość nie była ani tak pełna luzu, ani tak seksowna. Ściany garażu stanowiły gołe pustaki, podłoga była betonowa, a z wystających belek pod sufitem zwisały na łańcuchach oślepiające jarzeniówki. Samochód Claskera stał na płachcie białego brezentu na samym środku dużego pomieszczenia. Całą technologię stanowiły tu zwykłe narzędzia samochodowe, wózek na kółkach, bezprzewodowy odkurzacz, parę latarek, mnóstwo foliowych woreczków na dowody rzeczowe i zupełnie niezła cyfrowa kamera.

Z samochodu wymontowano wszystkie drzwi, a kłapa bagażnika i maska silnika były szeroko otwarte.

Pete Pillsbury, w białym kombinezonie i gumowych rękawiczkach, klęczał przed samochodem, wydobywał szczypczykami z kraty chłodnicy drobne owady i jakieś paprochy, a potem wkładał je ostrożnie do foliowych woreczków.

- Jak sądzisz, dowiemy się czegoś z tych drobiazgów, Pete? - zapytał kapitan.

- Gdzie ten samochód ostatnio się znajdował i kiedy to było - odpowiedział Pete. - Niewykluczone, że taka informacja okaże się pomocna w śledztwie.

- Do niczego się nie przyda - powiedział Monk, podchodząc do miejsca pasażera za kierowcą i zaglądając do środka.

- Ja tylko zbieram dowody - stwierdził Pete. - Jak je wykorzystacie czy też jak ich nie wykorzystacie, to już wasza sprawa.

- Załóżmy, że chciałbym przewieźć tym samochodem zepsuty rower z brudnymi, skażonymi oponami, ale rower nie mieści się w bagażniku - powiedział Monk. - Mógłbym złożyć tylne siedzenia?

- Oczywiście - odparł Pete. - To typowe siedzenie, składane w dwóch trzecich długości, więc gdyby pan chciał, zmieściłby się pan jeszcze na tylnym siedzeniu obok roweru.

Pete wyciągnął rękę ponad Monkiem, wcisnął przycisk i złożył większą część tylnego oparcia.

- Co z tą sprawą może mieć wspólnego brudny rower? - zapytał Stottlemeyer.

- Nie wiedziałem, że w sedanie można złożyć siedzenie, dopóki nie zobaczyłem dziś rano samochodu Natalie, która włożyła do niego zepsuty rower Julie.

Disher spojrzał na Mońka z niedowierzaniem w oczach.

- Jak pan może nie wiedzieć takich rzeczy?

- Nie mam samochodu, a poza tym z reguły nie wsiadam do auta, jeżeli kierowca przewozi w nim brudne przedmioty.

- Ale jest pan częścią nowoczesnego świata, w którym wszyscy żyjemy - stwierdził Disher.

- Zapominasz, do kogo mówisz? - napomniął go Stottlemeyer. - Jedyną osobą, która prowadzi bardziej pustelnicze życie od Mońka, jest jego brat.

Monk wskazał ręką bagażnik samochodu.

- Oto nasza kryjówka - oznajmił.

Pete się usunął, a Stottlemeyer postąpił krok naprzód.

- Mówisz, że morderca ukrywał się w bagażniku? - zapytał kapitan.

- Wszedł tam już poprzedniego dnia - wyjaśnił Monk. - Kiedy samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu, zabójca opuścił oparcie, wyskoczył nagle i zaatakował Claskera od tyłu.

Stottlemeyer odwrócił się do Pete'a.

- Znalazłeś w bagażniku jakieś ślady?

- Znaleźliśmy parę włosów, ale mogły odpaść z walizek, ubrań, kijów golfowych, plażowych krzesełek, krótko mówiąc, z każdego przedmiotu przewożonego autem, a należącego do kierowcy czy jego rodziny. Przeprowadzamy badanie DNA, ale to trochę potrwa.

Kapitan westchnął i spojrzał na Mońka.

- Nawet jeśli założymy, że zabójca ukrywał się w bagażniku, nie wyjaśnia to, jakim cudem wymknął się potem z samochodu. Nie ruszaliśmy się z miejsca, dopóki nie zjawił się lekarz medycyny sądowej i technicy policyjni. Przez cały ten czas nie widziałem, aby ktokolwiek wychodził z samochodu.

- Owszem, widziałeś.

- Nie widziałem.

- Widziałeś - upierał się Monk. - Wszyscy widzieliśmy.

- Ty nie mogłeś niczego zobaczyć. Kiedy dotarłeś na miejsce przestępstwa, ciało dawno już zabrano, a samochód oglądała armia techników.

- Właśnie wtedy zabójca dokonał swojej śmiałej ucieczki - wyjaśnił Monk.

Jestem pewna, że Monk nie zdawał sobie z tego sprawy, ale nie żalił się już na odwodnienie. Za bardzo był pochłonięty podsumowywaniem śledztwa, aby dawać upust lękom i fobiom, aby pogrążyć się w otchłani swojej rozpacz, rzeczywistej, oczekiwanej czy tylko wyimaginowanej.

- W takim razie musiał mieć czapkę niewidkę - orzekł Disher.

Monk potrząsnął głową.

- Patrzyliśmy na niego.

- Jak to możliwe? - zdziwiłam się.

- To się niczym nie różni od zwykłej sztuczki czarodziejskiej, pokazywanej przez magika przed publicznością. Jak każdy dobry magik, zabójca dokonał swojej sztuki, odwracając uwagę widzów w chytry i nadzwyczaj subtelny sposób - wyjaśnił Monk.

- Co takiego zrobił? - zapytał Stottlemeyer.

- Wsiadł z samochodu.

- Tak, tyle już wiemy. - W głosie kapitana brzmiało zmęczenie. - Nie wiemy natomiast, jak z niego wyszedł.

- Otworzył tylne drzwi, wyszedł i opowiedział nam, co robił. - Monk odwrócił się do Pete'a. - Powiedziałeś, że z samochodu można się było wydostać jedynie przez drzwi lub lufcik w dachu. Zapomniałeś wspomnieć o bagażniku.

- To prawda, mój błąd - przyznał Pete. - Wciąż jednak nie rozumiem, kto miałby być zabójcą?

- Spójrz w lustro. To ty nim jesteś.

Wszyscy spojrzeliśmy w osłupieniu na Pete'a. Monk wytoczył potworne oskarżenie. Ale ostrość oskarżenia stępsiał fakt, że dotychczas Monk nigdy się nie mylił. Wiedział, że ma rację. Widziałam to w jego postawie, w pewności, z jaką wypowiadał każde słowo. Cała jego strachliwość, zamartwianie się i poczucie nieszczęścia, które zwykle zabarwiały wszystko, co robił, tym razem zniknęły.

To właśnie w czasie takich podsumowań, kiedy zamykał śledztwo, kiedy likwidował nierównowagę świata wytworzoną przez morderstwo i mroczną tajemnicę zagadki kryminalnej, Monk najpełniej mógł panować nad sobą i otaczającym go światem.

Kochałam te momenty, ponieważ były to jedne z rzadkich chwil, w których Monk czuł się naprawdę szczęśliwy. Żałowałam tylko, że nie mogły one trwać wiecznie, i dlatego

nie zazdrościłam mu tej małej przyjemności, lecz pozwalałam mu ciągnąć swoje wywody jak najdłużej, nawet jeśli dla innych stawały się irytujące i trudne do zniesienia.

- To absurd - zachnął się Pete. - Jestem szefem zespołu techników policyjnych. Przyjechałem dopiero po telefonie kapitana.

- Nie jechałeś na miejsce przestępstwa prosto z posterunku wraz z resztą zespołu, prawda? - zapytał Monk.

- Prawda. Zawiadomienie otrzymałem w drodze do pracy, więc od razu pojechałem tam własnym samochodem. Nie ma w tym nic dziwnego. Tak się często dzieje - odpowiadał Pete. - Sami wiecie, jak to jest.

Stottlemeyer przytaknął.

- Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy zrywano mnie ze snu w środku nocy, żebym pojechał obejrzyć jakiegoś trupa.

- Proszę. - Pete spojrzał na Mońka triumfująco. - Równie dobrze może pan oskarżyć o morderstwo kapitana Stottlemeyera albo porucznika Dishera. Cały czas jechali za samochodem Claskera, a potem nie oddalili się od niego na krok. Skąd pewność, że to nie oni zabili, a teraz kłamią, że samochód był zamknięty od środka?

- Od tej chwili nie wypowiem ani słowa bez adwokata i przedstawiciela związków zawodowych - oznajmił zaniepokojony Disher.

- Pete nas nie oskarża, Randy - uspokoił go kapitan. - Stawia tylko pewną tezę i trzeba przyznać, że zyskał parę punktów.

- U mnie nie zyskał ani jednego - stwierdził Disher. - U mnie stracił punkty.

- Staram się tylko wykazać, że taki tok rozumowania jest śmieszny - ciągnął Pete. - Gdybyśmy przyjęli pokręconą argumentację Mońka, to wy dwaj powinniście być bardziej podejrzani niż ja czy ktokolwiek inny.

Postanowiłam wtrącić swoje trzy grosze.

- Ale oni przez cały czas jechali z tyłu, za samochodem Claskera. Wielu kierowców może to zaświadczyć. Gdyby na skrzyżowaniu wyszli z samochodu, aby udusić Claskera, mielibyśmy dziesiątki świadków, którzy by to zauważyli. Taka hipoteza nie ma sensu.

- Podobnie jak hipoteza Mońka - stwierdził Pete.

- Ty byłeś w samochodzie Claskera - upierał się Monk. - Dopiero potem z niego wysiadłeś.

- Oczywiście, że w nim byłem. Jestem technikiem policyjnym. Zbieram dowody rzeczowe na miejscu przestępstwa. To mój zawód. Tysiące razy widzieliście, jak to robię. Wyszedłem z samochodu, żeby zdać wam relację ze wstępnych oględzin.

- Właśnie tak mieliśmy myśleć - powiedział Monk.

- Boże, czuję się, jak w kafkowskim świecie. - Pete spojrział na Stottlemeyera błagalnym wzrokiem. - Długo będziemy tak stali i słuchali tych nonsensów?

- Na razie trochę sobie postoiemy - odpowiedział kapitan.

- On twierdzi, że jestem zabójcą tylko dlatego, że wykonywałem swoje obowiązki służbowe. To szaleństwo.

- Oto, co się stało - zaczął Monk. - Znałeś trasę, którą Clasker miał jechać z domu do sądu. Zaparkowałeś więc w połowie drogi, kilka przecznic od Van Ness i poszedłeś pieszo do domu Claskera. Włożyłeś czysty kombinezon i wślizgnąłeś się do bagażnika jego bmw. Czysty kombinezon służył dwójakemu celowi: po pierwsze zabezpieczał cię przed nieświadomym pozostawieniem w bagażniku, a także przed przyłgnięciem do twojego ubrania śladów, które mogłyby cię zdradzić, a po drugie pozwalał ci zostać w samochodzie po dokonaniu morderstwa bez wzbudzania niczyich podejrzeń. Poczekałeś na właściwy moment i kiedy zespół techników zaczął pracę na miejscu, wypełzłeś z bagażnika na tylne siedzenie. Każdy, kto w tym momencie dostrzegł cię na czworakach we wnętrzu samochodu, w sposób naturalny założył, że zbierasz tam dowody przestępstwa, a nie, że już od dawna tam przebywałeś.

- To oburzające! To hipoteza, na której poparcie nie ma żadnych dowodów - oznajmił Pete. - Mówię to jako ekspert od spraw dowodowych.

- Słuszna uwaga, Monk - powiedział Stottle - meyer.

- Nietrudno będzie udowodnić, że Pete zaciągnął w Big Country kredyt hipoteczny - powiedział Monk. - I z pewnością właśnie stracił dom.

- Podobnie jak tysiące innych ludzi, nie wyłączając połowy funkcjonariuszy w departamencie policji - stwierdził Pete.

- To jest jednak motyw - upierał się Monk.

- To wszystko, co pan na mnie ma? - zapytał Pete. - Bo jeśli tak, to jest to śmiechu warte.

- Zauważyłem, że masz na rękach gumowe rękawiczki - dodał jeszcze Monk.

- Oczywiście, mam na rękach gumowe rękawiczki - odparł Pete protekcyjnym tonem, dając jasno do zrozumienia, że traktuje swojego rozmówcę jak idiotę. - Dochodzeniowcy zakładają je po to, żeby podczas pracy nie zostawiać na miejscu przestępstwa własnych odcisków palców.

- Jednak na miejscu przestępstwa nie miałeś gumowych rękawiczek - powiedział Monk. - Miałeś skórzane rękawiczki robocze. Włożyłeś je, ponieważ gumowe rękawiczki są

cienkie i obawiałeś się, że przy duszeniu Claskera struna fortepianu mogłaby je przeciąć i wpić się w palce.

- Nie. Włożyłem je dlatego, że nie chciałem się zaciąć niewidocznymi, ostrymi przedmiotami lub krawędziami podczas sięgania pod siedzenia samochodowe - powiedział Pete, tracąc cierpliwość i cedząc każde słowo z widoczną irytacją. - Jak widać, jest też i inny powód, dla którego profesjonaliści pracujący na miejscu przestępstwa noszą skórzane rękawiczki, otóż noszą je dla ochrony. Jeśli moje rękawiczki mają być tak zwanym dowodem rzeczowym w tej nedorzeczej hipotezie, to sądzę, że czas najwyższy zakończyć tę farsę i przejść do bardziej wiarygodnych tropów w śledztwie.

Wiedziałaś jednak, że Monk tylko przygotował fundament pod najcięższe argumenty, i byłem pewna, że Stottlemeyer i Disher również to wiedzą.

- Aha, mam coś jeszcze. Poznajesz to? - zapytał Monk, wyciągając z kieszeni woreczek i podsuwając go Petebwi pod oczy.

- Jakaś wykałaczką.

- To nie jakaś wykałaczką - odrzekł Monk. - To wykałaczką, którą kapitan Stottlemeyer wyrzucił na ulicę w akcie rozpusty.

- To niemożliwe. Trzymaliśmy się z dala od dzielnicy uciech - odezwał się Disher.

- Monk mówi o innego rodzaju rozpuszcie, Randy - wtrącił Stottlemeyer. - Choć nie mam pojęcia, dlaczego o tym mówi.

- Zupełnie się pogubiłem - powiedział Disher zrezygnowanym głosem. - Nie moglibyśmy zacząć od początku?

Monk utkwiał wzrok w źrenicach Pete'a.

- Dlaczego zaparkowałeś samochód trzy przecznice od miejsca zbrodni?

- Ponieważ był straszny korek, a nie mam w samochodzie syreny policyjnej. Musiałem jechać okrężną drogą i zaparkować tam, gdzie znalazłem pierwsze wolne miejsce.

- Zaparkowałeś niezgodnie z przepisami, prawda?

- Nie zwracałem uwagi na przepisy dotyczące parkowania, ponieważ byłem w tym momencie funkcjonariuszem policji na służbie.

- Kiedy wróciłeś do samochodu, znalazłeś za wycieraczką mandat za złe parkowanie. Pogmiotłeś go i wyrzuciłeś na ulicę. Zaśmieciłeś miejsce publiczne. Widziałem to na własne oczy.

- Byłem zmęczony pracą i zirytowałem się. To prawda, nie powinienem był rzucać mandatu na ulicę, nawet jeśli nie musiałem za niego zapłacić, ale to jeszcze nie robi ze mnie mordercy, co najwyżej śmieciarza.

- Przed wyrzuceniem mandatu trzeba było rzucić na niego okiem - stwierdził Monk. - Nie wolno parkować pojazdów w centrum miasta bez specjalnego pozwolenia. Zwłaszcza w nocy. Mandat został wypisany o godzinie czwartej czterdzieści dwie rano, kilka godzin przed twoim rzekomym przyjazdem na miejsce przestępstwa. - Monk wyjął drugi woreczek, podniósł go i pokazał tkwiący w nim mandat. - Gdybyś nie wziął złego przykładu z kapitana i nie rzucił go na ziemię, ale schował do kieszeni, prawdopodobnie nigdy nie nabrałbym podejrzeń, że to ty możesz być mordercą.

Pete spuścił głowę. Wpadł i dobrze o tym wiedział. Jego zachowanie z miejsca się zmieniło.

- Wszystko straciłem. Dom, samochód, oszczędności. Nawet żona mnie opuściła - mówił złamanym głosem. - Clasker zrujnował setki ludzi, jednak sam ma wszystko to, co inni przez niego utracili. Nie potrafię z tym żyć.

- Ale potrafisz żyć z morderstwem na sumieniu? - zapytał Stottlemeyer.

- Nie uznaję tego za zwykłe morderstwo.

- Ty może nie, ale ja tak. I założę się, że ława przysięgłych również. Zabierz go, Randy.

Disher wystąpił, zakął Pete'a w kajdanki, odczytał mu prawa i wyprowadził z garażu.

- To go nauczy raz na zawsze, że nie wolno śmiecić - powiedział Monk.

- Sądzę jednak, że większą zbrodnią było zamordowanie człowieka - zauważył Stottlemeyer, odbierając od Monka woreczki z dowodami rzeczowymi.

- Jedno prowadzi do drugiego.

- Technicznie rzecz biorąc, Pete najpierw dokonał zabójstwa, a dopiero potem naśmiecił - powiedział Stottlemeyer. - Tak więc moja wykałaczką nie ma z tym nic wspólnego.

- Ależ ma - zaproponował Monk. - Kiedy Pete zobaczył za wycieraczką mandat, miał świeżo w pamięci twój przestępczy akt. Gdyby nie ten zły przykład, zapewne zastanowiłby się dwa razy, zanim rzuciłby zmięty mandat na ulicę. Zdradził go twój brak odpowiedzialności.

- Niech ci będzie, Monk - zgodził się kapitan. - W takim razie powinieneś mi podziękować.

- Za przyznanie się do winy?

- Za akt rozpusty. Gdybym nie naśmiecił, nie złapałbyś przestępcy - mówił kapitan. - Ale niech tam. Nie ma o czym mówić. Najważniejsze, że można zamknąć sprawę. Dzięki

tobie, Monk. Niezła robota. Wręcz niewiarygodna. Czuję się jeszcze większym głupcem niż zwykle, że dałem się tak nabić w butelkę.

- Czy to znaczy, że mogę wrócić do pracy? - zapytał Monk.

- Gdyby to zależało ode mnie, to oczywiście tak. Ale tym razem nie mam nic gadania - odpowiedział Stottlemeyer. - Przykro mi.

Kapitan poklepał Mońka po plecach i odszedł.

Monk odprowadzał go smutnym wzrokiem. Radość z rozwiązania zagadki prysła jak bańka mydlana. W jednej sekundzie wróciło przygnębienie. A nawet coś więcej. Monk zwiesił ramiona, oblizął wargi i zachrypiął cicho:

- Mam zupełnie suchą krtań.

Detektyw Monk tnie wydatki

W ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin Monk stracił swoją ulubioną wodę pitną i źródło dochodów. Bałam się, że znalazł się na skraju załamania nerwowego. Zadzwoiłam więc na wszelki wypadek do doktora Bella i umówiłam pilną wizytę.

Podczas gdy Monk odbywał sesję terapeutyczną, ja usiadłam przy telefonie i zaczęłam dzwonić do rozmaitych instytucji strzegących prawa, poczynawszy od departamentów policji w okolicznych miasteczkach, a skończywszy na Kalifornijskim Departamencie Ryb i Zwierzyny Łownej, aby zapytać, czy ktoś nie jest zainteresowany usługami konsultacyjnymi. Najczęściej słyszałam, że w zwykłych okolicznościach jak najbardziej, ale dzisiaj wszyscy pogrążeni są w takich samych kłopotach finansowych jak Departament Policji San Francisco albo i gorszych.

Zaczęłam więc dzwonić do prywatnych firm ochroniarskich.

Kiedy ostatnim razem Monk stracił pracę, natychmiast zaproponowano mu niezwykle intratne stanowisko w Intertekcie, nowoczesnej agencji detektywistycznej, dysponującej najbardziej zaawansowaną technologią. Dostał tam nawet kartę płatniczą na własne wydatki, samochód do dyspozycji i pełne ubezpieczenie medyczne.

Niestety Intertect zamknął działalność, a inne agencje detektywistyczne w okolicach San Francisco stawały na głowie, aby ciąć koszty. Próbowałam przekonywać, że jeden Adrian Monk wart jest pięćdziesięciu Samów Spade'ów, ale nikt nie chciał słuchać moich wywodów.

Kiedy po dwóch godzinach sesji z Monkiem doktor Bell wyszedł z gabinetu na chwilę przerwy, byłam niemal równie załamana jak jego pacjent, o czym nie omieszkałam wspomnieć.

Doktor Bell usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

- To zrozumiałe, że czujesz niepokój, Natalie. Tu chodzi nie tylko o zapewnienie Adrianowi środków do życia. Chodzi również o twoje zarobki.

- Jak się miewa pan Monk?

- Dużo lepiej. Leży na kanapie w pozycji embrionalnej, przyciska do piersi butelkę Summit Creek i szłocha, nie roniąc łez.

- Pan to nazywa poprawą?

- Wyszedłem cię zapytać, czy są jakieś widoki na pracę, aby wlać w niego więcej nadziei.

- Pan Monk nie wierzy w nadzieję.

- Mówi, że nie wierzy, ale w rzeczywistości bardzo w nią wierzy. Sam tego nie przyzna, ale to właśnie nadzieja jest tym, co pozwala mu brnąć przez życiowe przeciwności.

- Niestety, panie doktorze, nie mam dla niego żadnych słów nadziei. Nie ma posady dla detektywa bez pracy, choćby był geniuszem nad geniuszami.

- Coś mu znajdziesz. Musisz poszerzyć zakres poszukiwań i wyjść poza jego strefę życiowego komfortu.

- Wszystko, co znajduje się poza progiem jego domu, leży poza jego strefą życiowego komfortu. Właściwie nie jestem nawet pewna, czy pan Monk w ogóle ma strefę życiowego komfortu. Pan powinien to wiedzieć lepiej ode mnie.

- Jestem przekonany, że dla człowieka o tak wyjątkowych umiejętnościach jest praca, a ty na pewno będziesz potrafiła ją znaleźć. Do tego czasu Adrian będzie musiał polegać na tobie. Bardziej niż dotychczas.

- Nie wiem, czy podołam, doktorze.

- Wystarczy, że będziesz przy nim. Wokół niego wszystko się zmienia, ale Adrian wie, że na tobie zawsze może polegać.

- Tak powiedział?

- Nie musi tego mówić - zapewnił mnie doktor Bell. - I podejrzewam, że ty żywisz podobne uczucia wobec niego.

- Proszę mnie nie poddawać psychoanalizie. Nie stać mnie na to. Skoncentrujmy się na panu Monku.

- Słusznie. W końcowym efekcie ten kryzys może się dla niego okazać pozytywnym doświadczeniem. Adrian może z niego wynieść naukę, że zmiana niejednokrotnie oznacza nowe możliwości.

- To może ładnie zabrzmieć w ciasteczku szczęścia w chińskiej restauracji, ale nie jestem pewna, czy to prawda, w każdym razie nie w moim życiu.

Monk wyszedł z gabinetu, przyciskając kurczowo do piersi butelkę Summit Creek.

- To chyba dobry pomysł, abyśmy spędzili tutaj noc? Może nawet tydzień?

- Mam innych pacjentów, Adrianie - powiedział doktor Bell.

- Nie będą mieli nic przeciwko temu.

- Owszem, będą mieli.

- W takim razie to już ich problem - westchnął Monk. - Jestem dla pana ważniejszy od nich.

- O wszystkich pacjentów troszczę się w równej mierze, Adrianie - stwierdził doktor Bell.

- Ale o mnie w równiejszej.

- Poza tym mam swoje prywatne życie.

- Och, może je pan spokojnie wieść dalej - zapewnił go Monk. - Nawet mnie pan nie zauważy.

- Nie potrzebujesz mnie, Adrianie. - Doktor wstał. - Jestem pewien, że świetnie dasz sobie radę do następnego spotkania.

- Prawdopodobnie ma pan rację - stwierdził Monk. - Do piątej jakoś wytrzymam.

- Następnie spotkanie mamy umówione na pojutrze.

Monk wydał z siebie jakiś cichy, skrzekliwy dźwięk. Doktor Bell podszedł do wyjścia i otworzył szeroko drzwi.

- Potraktuj to jak detektywistyczne śledztwo, Adrianie - powiedział. - Tyle że zamiast rozwiązywać zagadkę kryminalną i szukać przestępcy, szukać będziesz nowych możliwości, a w ostatecznym rezultacie odnajdziesz siebie.

Wyszliśmy na ulicę. Przez chwilę staliśmy w milczeniu obok siebie. Wreszcie Monk spojrzał na mnie.

- Czy to, co mówił doktor Bell, miało według ciebie jakiś sens? - zapytał.

- Żadnego - odparłam.

- Miło wiedzieć, że nie jestem w tym sam.

- Zdecydowanie nie jest pan sam, panie Monk.

Ujęłam go pod ramię i ruszyliśmy w kierunku samochodu.

Gdy wróciliśmy, Monk natychmiast zabrał się do gruntownego sprzątnia. Wyszorował podłogi i blaty, odkurzył każdą półeczkę, wymył każde okno, zdezynfekował każdą klamkę, wypolerował każdą żarówkę i odkurzył wszystkie sufity w mieszkaniu. W ten sposób radził sobie ze stresem. W porządkach odnajdywał prawdziwie kojący spokój.

Podczas gdy on zajmował się sprzątniem, ja usiadłam z telefonem w ręku i zaczęłam dzwonić do wszystkich firm, jakie tylko przychodziły mi do głowy, które prowadziły jakiegokolwiek rodzaje śledztw, od firm ubezpieczeniowych po najrozmaitsze inspektoraty.

Zadzwoiłam nawet do „San Francisco Chronicle” i powiedziałam, że po prostu muszą zatrudnić Adriana Mońka w sprawie Boba Sebesa, ale dziennikarze nie byli zainteresowani jego usługami.

Nikt nie był nimi zainteresowany.

Siłą rzeczy poszłam więc za radą doktora Bella i poszerzyłam zakres poszukiwań pracy, wychodząc poza krąg detektywistyczny. Zatelefonowałam do dyrekcji firmy Diaper Genie, produkującej pojemniki na zużyte pieluszki, i gorąco namawiałam ją do zatrudnienia Mońka, ich wielkiego wielbiciela, który mógłby znakomicie reklamować ich genialny produkt. To w końcu on był tym, który wynalazcę pojemnika zgłosił do nominacji do Nagrody Nobla.

Dyrekcja Diaper Genie z najwyższym uznaniem doceniła entuzjazm Mońka i jego niewzruszoną wiarę w to, że techniczne cudo do workowania brudnych pieluszek powinno być szeroko wykorzystane do utylizowania śmieci, jednak nie dysponowała żadnym wolnym etatem.

Kiedy skończyłam tę rozmowę, dochodziła szósta i ponieważ nie było już żadnego morderstwa do rozwikłania, mój dzień pracy dobiegł właściwie końca.

Monk przyszedł do jadalni, niosąc ostrożnie dwie łyżeczki wody. Przysiadł się do mnie i zaoferował mi jedną z nich.

- Nie, dziękuję - powiedziałam.

Monk wypił wodę najpierw z jednej łyżeczki, a potem z drugiej.

- Znalazłaś jakąś pracę?

- Niestety nie, panie Monk.

- To możesz dalej nie szukać. Obmyśliłem już plan działania.

- Jaki plan?

- Zgłoszę się do policji jako konsultant wolontariusz i będę pracować gratis, dopóki departament nie będzie mógł sobie pozwolić na moje usługi.

- Omawialiśmy tę kwestię, gdy zwolniono pana ostatnim razem - przypomniałam. - Jeśli będzie pan pracował za darmo, nigdy nie znajdą dostatecznego powodu, aby zacząć panu płacić.

- Jednak zaryzykuję. Mam trochę oszczędności.

- Może upłynąć sporo czasu, zanim zaczną zatrudniać konsultantów z zewnątrz - uprzedziłam. - Z tego, co wiem, może to potrwać nawet rok, jeśli nie dłużej. Ma pan odłożonych tyle pieniędzy, żeby utrzymać siebie i mnie?

- Ależ skąd! Dlatego będziesz musiała zaaprobować znaczną obniżkę płac.

- Jak bardzo znaczną?
- Będziesz moją asygentkapro publico bono.
- Rozumiem - odpowiedziałam, starając się trzymać nerwy na wodzy. - W jaki sposób będę opłacała swoje rachunki?

- Przypuszczam, że będziesz musiała pracować dorywczo nocami.
- Potrzebny mi pełny etat, panie Monk.
- Ja jestem twoim pełnym etatem.
- W to nie wątpię - stwierdziłam. - Ale pan nie będzie mi już płacił.
- Nie bądź taką egoistyczną materialistką, Natalie. W życiu są ważniejsze rzeczy od pieniędzy.

- Na przykład praca asygentki u pana?
- Właśnie - ucieszył się. - To wyższe powołanie.
- Co z moimi powinnościami rodzicielskimi? Mam na utrzymaniu córkę.
- Julie nie jest już dzieckiem. Ma prawie osiemnaście lat. Czas, żeby znalazła pracę, zaczęła się cieszyć niezależnością i nauczyła się prowadzić samodzielne życie. Za długo ją rozpuszczasz.

Monk miał zupełną rację, co nie znaczy, że miał jakiegokolwiek pojęcie o wychowywaniu dzieci lub choćby o samodzielnym życiu. Poza tym, choć trudno mi to przyznać nawet przed sobą samą, również co do mnie miał słuszność.

Byłam wdową, a Julie była moim jedynym dzieckiem i lubiłam mieć ją przy sobie. Nie chciałam, by szybko się usamodzielniała. Rozpieszczałam ją, trzymałam za blisko siebie, ograniczałam jej niezależność dla własnej potrzeby.

Julie, bardzo bystre dziecko, prawdopodobnie to wszystko wiedziała i chociaż drażniła ją moja nad - opiekuńczość, to potrafiła umiejętnie wykorzystywać taką sytuację. Nasza wczorajsza rozmowa była tego najlepszym dowodem.

Musiałam się zgodzić z Monkiem. Czas, aby Julie znalazła sobie pracę, choćby po to, żeby zacząć zdobywać doświadczenie zawodowe i rozumieć, że pieniądze nie leżą na ulicy.

Nie znaczyło to jednak, że uległam argumentacji Mońka i miałam teraz zamiar zostać niewykwalifikowaną siłą roboczą na nocnej zmianie, tylko po to, żeby w ciągu dnia niańczyć swojego pryncypała.

Wiedziałam, jak bardzo Monk mnie potrzebuje, zwłaszcza teraz, ale rodzinę musiałam stawiać na pierwszym miejscu. Jeżeli Monk nie będzie w stanie wypłacać mi pensji, będę musiała znaleźć inną pracę, niezależnie od konsekwencji, jakie go wtedy spotkają.

Teraz jednak nie chciałam roztrząsać tej kwestii. Mieliśmy za sobą trudny dzień. Nic się nie stanie, jeśli odsunę decyzję o dzień czy dwa, dopóki nie zobaczę, jak się ułożą sprawy.

- Jutro o tym porozmawiamy - powiedziałam. - Muszę już jechać, bo zamkną mi warsztat rowerowy.

- Dobrze. Ale ja już postanowiłem.

- Jak zwykle.

Wyszłam z mieszkania Mońka, pojechałam do warsztatu, a w drodze do domu zatrzymałam się w „Mama Petrocelli”, żeby kupić pizzę na obiad.

Za każdym razem, gdy przychodziłam do tej uroczej pizzerii, Warren Horowitz, jej czterdziesto - paroletni właściciel, wesoło ze mną flirtował i namawiał mnie, żebym znowu podjęła u niego pracę. Piętnaście lat temu, krótko po tym, jak kupił restauracyjkę od rodziny Petrocellich, pracowałam u niego jako kelnerka. Warren nadal wykorzystywał ich tradycyjne przepisy, choć dodał do menu specjalność zakładu, pizzę Matzorella, aby nadać miejscu własny charakter.

- Jeśli nie chcesz u mnie pracować, to chociaż wyjdź za mnie za męża - powiedział Warren.

- Kusząca propozycja. Ale na razie skuszę się tylko na dużą pizzę z salami.

- Żydowską, Amerykańską czy Włoską?

- Włoską.

- Łamiesz mi serce, Natalie.

- Poświęcam się, żebyś mógł się ożenić z przyzwoitą, piękną żydowską dziewczyną.

- Rozmawiałaś ostatnio z moją mamą?

Udało mi się wyjść z pizzerii, nie zaręczając się z jej właścicielem, a po powrocie do domu położyłam pizzę na stole i poszłam po Julie, która siedziała w pokoju przed swoim makiem i rozmawiała na wi - deoczenie z trzema przyjaciółkami.

Wymieniała się z nimi klipami filmowymi, a potem oglądały je równocześnie, będąc daleko od siebie. Hm, może nie tak bardzo daleko. Dwie z tych dziewcząt mieszkały tuż za rogiem.

Wolałabym, żeby Julie spotykała się z koleżankami osobiście, a nie za pomocą głośników, kamery i komputera, na którego ekranie widzi ich twarze. Wideoczat pozbawia ludzi bliższych więzi emocjonalnych i jest chyba całkowicie niepotrzebny, skoro bez problemu można się spotykać osobiście. Oczywiście Julie się z tym nie zgadza. Wiem, bo rozmawialiśmy na ten temat dziesiątki razy.

- Obiad gotowy, Julie - powiedziałam, stając w progu jej drzwi.

- Mogę zjeść tutaj?

- Musimy porozmawiać. Osobiście. Siedząc twarzą w twarz, jak czyniono to w czasach króla Ćwiczka.

- Nie możemy porozmawiać później? Jestem zajęta.

- Nie możemy.

Mówcie sobie, że jestem staroświecka, ale jeśli tylko jest możliwość, to staram się spożywać posiłek przy wspólnym stole.

Julie powlokła się niechętnie do kuchni, jakby czekało ją tam leczenie kanałowe przedniego zęba. Taka postawa tylko ułatwi mi powiedzenie tego, co miałam zamiar jej powiedzieć.

- Dzięki za obciach przy koleżankach. - Julie usiadła ciężko na krześle przy stole.

Spojrzała na pizzę takim wzrokiem, jakby to była psia kupka.

- Był ktoś w pokoju? Przepraszam, nie zauważyłam - odparłam, gryząc z apetytem kawałek pizzy.

Nie miałam zamiaru dopuścić, żeby Julie zmarnowała mi wieczorny posiłek.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziała Julie. - Wiesz, że były w sieci. Wszystko mogły zobaczyć i usłyszeć. Musisz być świadoma takich rzeczy, kiedy wchodzisz do mojego pokoju.

- Ty musisz być tego świadoma. Nie ja - odparłam. - Gdybyś spotykała się z nimi osobiście, a nie za pośrednictwem komputera, mogłabym swobodnie rozmawiać w twoim pokoju, nie narażając nikogo na obciach.

- Mogłabyś po prostu nie wchodzić do mojego pokoju. To rozwiązałoby problem.

Wciąż miałam w pamięci, jaką słodką i kochającą córeczką była Julie, zanim zaczęły buzować w niej hormony. Nadal potrafiła być miłą, ale takie chwile należały już do rzadkości. Coraz częściej musiałam odwoływać się do siły rodzicielskiego autorytetu, choć tego nie znosiłam.

- Nie mów do mnie takim tonem - powiedziałam. - Jestem twoją matką. Mogłabym rozwiązać ten problem, zabierając ci z pokoju komputer.

- Jest mój.

- Ale ja opłacam energię, którą pochłania, i połączenia internetowe, które pozwalają ci czatować z koleżankami. Jeśli przestanę płacić, komputer na niewiele ci się przyda, prawda? Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Będziemy musiały dokonać cięć w naszych domowych wydatkach.

- I tak przecież na nic nie wydajemy.

- Chodzi o to, że może trzeba się będzie obejść bez niektórych rzeczy - wyjaśniłam. -
Departament policji ma kryzys budżetowy i pana Mońka zwolniono z pracy.

- Super.

Nagle pizza zaczęła jej smakować. Nałożyła sobie na talerz duży kawałek i zaczęła ją
zajadać dużymi kęsami.

Jej reakcja nieco mnie zaskoczyła.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytałam.

- Kiedy poprzednio wyrzucili pana Mońka z pracy, jeździłaś służbowym lexusem.

Więc o to chodzi.

Julie dostrzegła w tym szansę przejęcia mojego nędznego buicka.

Myślała, że zwolnienie Mońka z pracy w policji oznacza lepiej płatną posadę w dużej
agencji detektywistycznej (jak się zdarzyło poprzednim razem) i rozwiązanie jej problemów
motoryzacyjnych.

Oj, bardzo się myliła i jeśli miał ją spotkać srogi zawód, to zasłużyła sobie na niego
jak nigdy, bo w tej kwestii potrafiła myśleć tylko o sobie. Chodziło jej wyłącznie o własne
potrzeby. A co z naszymi wspólnymi potrzebami jako rodziny? Co z potrzebami Mońka?

Przemknęło mi przez głowę, że nastolatki są jak Monk. Myślą, że cały świat kręci się
wokół nich, ich problemów i ich potrzeb. Cóż, tego wieczoru czekała Julie nieprzyjemna
pobudka odtrąbiona przez samo życie.

- Tym razem rzeczy mają się inaczej - wyjaśniłam. - Na pana Mońka nigdzie nie czeka
posada. Pan Monk jest bez pracy i ja także. Najbliższe dni musimy przeżyć na mojej ostatniej
wypłacie.

- Więc ciebie też zwolnili?

- Tak jest. Nie będzie nowego samochodu. Nie będzie nic nowego. Ponieważ nie ma
pieniędzy.

Julie odłożyła kawałek pizzy na talerz i podniosła wzrok. Dostrzegłam w jej oczach
autentyczną troskę. Na moment zniknęła ponura, zbuntowana, buzująca hormonami Julie i
wróciła do mnie kochana córeczka.

- To była praca, którą udało ci się najdłużej utrzymać - powiedziała.

- To była również najbardziej interesująca, ekscytująca, zaskakująca, wymagająca,
frustrująca, wyczerpująca i irytująca praca ze wszystkich, jakie miałam.

- I najbardziej niebezpieczna - dodała Julie.

- I najmniej płatna.

- Co teraz zrobisz?

- Znajdę coś innego.

- Co z panem Monkiem?

- Będę próbowała znaleźć taką pracę, którą moglibyśmy wykonywać wspólnie. Jeśli jednak to się nie uda, pan Monk będzie zdany na siebie. A ja na siebie.

- Czy on w ogóle potrafi bez ciebie funkcjonować?

- Nigdy go nie zostawię tak do końca. Już zawsze będzie częścią naszej rodziny, bez względu na to, co się stanie.

- I bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie - dodała.

- Mnie się podoba - powiedziałam, zaskakując tym wyznaniem nie tylko Julie, ale też samą siebie. - Myślę, że gdyby mi się nie podobało, nie wytrzymałabym z nim tak długo. Podoba mi się, kim jestem, kiedy przy nim jestem. Właściwie to nie wiedziałam, kim jestem, dopóki nie zaczęłam z nim pracować.

- Mówisz trochę bez sensu - stwierdziła Julie.

Wróciła ponura, zbuntowana, hormonalna Julie.

Zupełnie jakby moja córka cierpiała na rozszczepienie osobowości.

- Krótko mówiąc, dla ciebie oznacza to tyle, Julie, że będziesz musiała znaleźć sobie pracę - oznajmiłam.

- Słucham?

- Tego lata będziesz musiała pracować. Zaciskamy pasa, a utrzymanie ciebie niemało kosztuje. Sama zaczniesz więc ponosić niektóre swoje wydatki. Ja będę opłacała wyżywienie, rachunki domowe, ubezpieczenie zdrowotne i wszystkie rzeczy pierwszej potrzeby. Jeśli jednak będziesz chciała się wybrać do kina, kupić sobie ciuch, który nie jest ci niezbędny, wysłać z komórki dwieście pięćdziesiąt SMSsów czy ściągnąć na komputer kolejne piosenki z iTunes, to sama będziesz musiała za to zapłacić.

- Czym?

- Pieniędźmi, które zarobisz. Pracując.

Julie wstała, czerwona ze złości.

- Nie możesz mi tego zrobić.

- Dlaczego?

- Jest lato.

- Właśnie latem dzieciaki szukają zarobku. Dlatego nazywają to letnią pracą.

- Może tak było w średniowieczu, ale nie dzisiaj - stwierdziła Julie.

- Dla nas nastało średniowiecze. Właśnie staram ci się to wytłumaczyć.

- Dzieciom nie można kazać pracować.

- Dlaczego?

- Bo nie wolno - wycedziła. - Prawo zabrania. Mamy program przeciwdziałania wyzyskowi dzieci.

- Nie jesteś dzieckiem, Julie, i nikt cię nie wyzyskuje. Od jutra rana zaczniesz szukać pracy. To nie jest propozycja do rozważenia. To edykt.

- Co będzie, jeśli ktoś zobaczy, jak pracuję? - zapytała Julie. - Ludzie pomyślą, że jesteśmy biedne.

- Jesteśmy biedne. Właśnie próbuję ci to uświadomić.

Julie wymierzyła we mnie wyprostowany sztywno palec niczym pistolet.

- To twoja wina. To ty nie dałaś sobie rady, więc musisz teraz sama cierpieć.

- Nie masz pojęcia o cierpieniu - stwierdziłam. - Ale będziesz miała okazję się dowiedzieć, czym jest poświęcenie, czym jest ciężka praca i co naprawdę znaczy być niezależnym dorosłym. Przecież ciągle się domagasz, żebym traktowała cię jak dorosłą. Cóż, kochanie, gratuluję, twoje marzenie wreszcie może się ziścić.

- Jesteś najgorszą matką na świecie - oznajmiła.

Wyrzuciła z siebie całą złość, próbując mnie zranić za wszelką cenę. Ale musiałyby podjąć ostrzejszą grę.

- Już od dawna noszę tę koronę na głowie - odpowiedziałam.

- Straciłaś pracę, nie mamy pieniędzy, nie potrafisz utrzymać domu, a ja muszę znaleźć pracę, żebyśmy miały co do garnka włożyć - mówiła Julie. - Ciekawe, co tata pomyślałby o tobie.

Julie wybiegła z kuchni jak wicher i dobrze zrobiła, bo gdyby nadal stała obok mnie, trzepnęłabym ją w policzek, czym rzeczywiście zasłużyłabym na swoją koronę.

Detektyw Monk czystym bankrutem

Następnego dnia rano Julie nie zeszła do kuchni na śniadanie. Wiedziałam jednak, że wstała z łóżka, bo słyszałam zza jej zamkniętych drzwi, jak chodzi po pokoju.

Nie wiedziałam, czy jest obrażona, bo kazałam jej szukać pracy, czy też unika mnie, bo żałuje ciężkich słów rzuconych pod moim adresem.

W każdym razie jedzeniem płatków GrapeNuts, picciem rozpuszczalnej kawy Trader Joe i czytaniem „San Francisco Chronicle” musiałam się zadowolić w zupełnej samotności, bez ostrego sporu czy też lodowatego milczenia.

Rozpostarłam gazetę, spodziewając się na stronie tytułowej artykułu na temat złapania mordercy Mike’a Claskera, który miałam nadzieję dołączyć do dossier Mońka, szukając dla niego pracy. Artykuł na temat Claskera rzeczywiście znalazł się w gazecie, ale niedługo,

zagubiony gdzieś u dołu, bez jednego słowa o tym, że zagadkę zabójstwa rozwiązał Adrian Monk. Stottlemeyer jeszcze coś o tym ode mnie usłyszy.

Głównym tematem na stronie tytułowej, i na znakomitej części pozostałych stron, był jednak fundusz Boba Sebesa i wywołany przez niego skandal finansowy, porównywany przez prasę do afery Berniego Madoffa.

Podczas gdy Bob Sebes siedział zamknięty w swojej prywatnej posiadłości, jego żona Anna każdego dnia wyprawiała się do miasta, w ogóle nienagaby - wana przez rzeszę wypatrujących jej męża papa - razzich. Mijała ich wyniosłym krokiem i wsiadała do czarnego mercedesa niczym supermodelka demonstrująca najnowsze kreacje mody, które zresztą rzeczywiście, bez cienia zażenowania, demonstrowała.

Anna Sebes ubierała się nadzwyczaj szykownie, w stylu wielkich gwiazd filmowych minionego stulecia, przywołując z pamięci obrazy Bette Davis czy Joan Crawford u szczytu sławy. Na głowie zawsze nosiła szal albo kapelusz, na nosie duże okulary przeciwsłoneczne, a na rękach charakterystyczne, nieodłączne rękawiczki, w których kryła zmienione artretyzmem dłonie.

- To mąż jest aresztowany - mówiła reporterom. - Nie ja. Dlaczego mam siedzieć w ponurym domu? Nie jestem o nic oskarżona.

Niby prawda, ale prokuratorzy dążyli do tego, by jak najszybciej zamrozić jej osobisty majątek, twierdząc, że są to łupy z nielegalnych transakcji męża. Nic dziwnego, skoro nowy jacht Sebesów zapisany był tylko na jej nazwisko, a parę dni przed ujawnieniem afery finansowej na jej konto wpłynęło raptem 10 milionów dolarów.

Oprócz najnowszych wiadomości gazeta opisywała także długie pożycie małżeńskie Anny i Boba Sebesów, ich aktywne działanie na rzecz lokalnych organizacji charytatywnych, a nawet alergiczne reakcje Boba na alkohol, co niedawno nieomal przyplacił życiem, kiedy urządził na jachcie zakrapianą imprezę, na pełnym morzu, setki kilometrów od najbliższego szpitala.

Domyślałam się, że takie historie miały przedstawić Sebesów jako zwykłych ludzi, ale we mnie nie wywołały ani cienia sympatii i jestem pewna, że wśród innych czytelników gazety również nie.

Zaspokoiwszy w ten sposób głód plotek i sprośnych skandali, dokończyłam śniadanie, odłożyłam dla Julie dodatek z ofertami pracy i wyruszyłam do Mońka. Zabrałam ze sobą laptopa, żebym mogła szukać pracy również przez Internet.

Gdy byłam już pod drzwiami Mońka, odezwał się mój telefon komórkowy. Dzwonił Ted Drysdale, kierownik mojego banku.

Kilka lat temu chodziliśmy ze sobą przez krótki czas. Teddy był ciepły i słodki, ale po prostu nie zaskoczyliśmy jako para. Zerwanie nie okazało się dla nas bolesne, a Teddy od tego czasu trochę się o mnie troszczy; udaje, że nie zauważa, jeśli zdarzy mi się przekroczyć nieco limit debetu, lub nie obciąża mnie karą, gdy czasem spóźnię się nieznacznie ze spłatą raty za dom.

Po wymianie miłych uprzejmości Teddy przeszedł do rzeczy.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałem ci powiedzieć, że pojawił się pewien problem z twoim rachunkiem rozliczeniowym.

- Wiem, niewiele zostało na koncie, ale bez obaw, Teddy. Nie przekroczę limitu. Wczoraj wpłaciłam czek z moją wypłatą.

- Właśnie dlatego dzwonię. Czek nie miał pokrycia.

- Czek od Adriana Mońka? Jesteś pewny?

- Oczywiście, że jestem pewny. Monk ma niepowtarzalne чеki, wszystkie liczby są parzyste, numer porządkowy, numer rachunku bankowego i kwota przelewu. Nie wypisuj na razie czeków, Natalie. Używaj karty kredytowej.

Na karcie kredytowej miałam już tak wysoki dług, że niespłacone odsetki dawno już chyba przewyższyły zasadniczą pożyczkę.

- Dziękuję ci, Teddy. Jestem ci wdzięczna - powiedziałam. - Masz u mnie kawę w McDonalddie.

- Starbucks też już zbankrutował?

- Nie. Po prostu na Starbucksa już mnie nie stać.

Rozłączyłam rozmowę i przed spotkaniem z Monkiem zrobiłam parę głębokich wdechów. Nie chciałam wchodzić sina ze wściekłości i wypalić coś, czego bym potem gorzko żałowała. Być może nie jest to jego wina. Może istnieje zupełnie rozsądne, absolutnie niewinne wyjaśnienie tego, że Monk wypisał mi czek bez pokrycia. Jeśli jednak takiego wyjaśnienia nie ma, Monk nie będzie się musiał więcej martwić, że skona z odwodnienia. Wcześniej zabiję go gołymi rękami.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, jak zawsze obwieszczając głośno swoje przybycie.

- To ja, panie Monk.

Monk stał przy zlewie w kuchni i starannie obmywał wrzątkiem szczoteczkę do zębów. Należało to do szeregu jego porannych rytuałów, tyle że tym razem cichutko kwilił.

- Co się stało? - zapytałam.

- Musiałem użyć czterech łyżeczek wody Summit Creek do czyszczenia szczoteczki.

W ten sposób jestem cztery łyżeczki bliżej śmierci.

- Zanim pan umrze, niech mi pan zapłaci za moją pracę w ubiegłym miesiącu.

- Przecież zapłaciłem - powiedział Monk. - Na łożu śmierci.

- Leżał pan na kanapie.

- Aha! - Wymierzył we mnie oskarżycielski palec, jakbym była mordercą, którego właśnie przyłapał na mimowolnym przyznaniu się do winy. - Zatem sama przyznajesz, że wypisałem czek. Próbujesz wykorzystać moje odwodnienie i wyłudzić drugą zapłatę. To nadużycie zaufania, to prawdziwe sprzeniewierzenie. Dziwię ci się, Natalie.

Ja też potrafiłam rozegrać swoją partię poczuciem winy.

- Boli mnie, że choć przez milisekundę potrafił pan pomyśleć, że mogłabym pana w taki sposób wykorzystać. Jak pan może? Po tylu wspólnych latach i wszystkim, co razem przeżyliśmy? Powinien się pan wstydzić!

- W takim razie dlaczego żądasz ode mnie, aby ci drugi raz zapłacił?

- Ponieważ czek, który mi pan wypisał, nie miał pokrycia.

- Jak czek może nie mieć pokrycia?

- To proste, albo zatelefonował pan do banku i zlecił unieważnienie czeku - o co Mońka podejrzewałam - albo brakuje na pana koncie środków w wysokości sumy, na jaką wypisał pan czek.

- Nie telefonowałem do banku, a na koncie mam mnóstwo pieniędzy - zapewnił Monk, ale zaraz się poprawił: - Mówiąc „mnóstwo”, mam na myśli tyle, by ledwie przetrwać kolejny dzień.

- W takim razie mamy poważny problem - stwierdziłam. - Musimy natychmiast pojechać do banku, żeby go wyjaśnić.

Carly Tran ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w ekran komputera.

Była młodą, energiczną kobietą, która przedstawiła się nam jako nasz osobisty doradca bankowy. Monk wytłumaczył jej, że czek, który wypisał na moje nazwisko, został cofnięty, mimo że na koncie znajduje się odpowiednia, a nawet wcale pokaźna suma pieniędzy. Kobieta uśmiechnęła się do nas szeroko i oświadczyła, że z wielką przyjemnością zajmie się naszą sprawą.

Teraz jednak w napięciu marszczyła brwi, co wzięłam za bardzo zły znak.

- Przykro mi to powiedzieć, panie Monk, ale aktualny stan pańskiego konta wynosi zero - oznajmiła w końcu i obróciła w naszą stronę monitor, na wypadek gdyby Monk nie chciał wierzyć jej słowom.

- Jak to możliwe? - zapytał Monk.

- Od kilku lat w pierwszy parzysty roboczy dzień każdego miesiąca regularnie otrzymywałem pan przelew od swojego doradcy inwestycyjnego - powiedziała Carly Tran. - Od trzech miesięcy nie mieliśmy ani jednego przelewu, a pańskie zasoby uległy w końcu wyczerpaniu.

Odwróciłam się do Mońka.

- Pan ma doradcę inwestycyjnego?

- Tak. On opłaca też moje bieżące rachunki, czynsz, prąd, gaz i tak dalej.

- Nigdy mi pan o tym nie mówił.

- Nie omawiam z podwładnymi swoich spraw finansowych.

- Musimy porozmawiać z tym człowiekiem - oświadczyłam. - Kto to jest?

- Jego nazwisko brzmi Bob Sebes - powiedział Monk.

Wstrząśnięta Carly Tran wbiła w niego osłupiały wzrok. Ja również. Monk spojrzał raz na mnie, raz na nią, i uśmiechnął się.

- Robi wrażenie, prawda? - powiedział wyraźnie zadowolony z siebie. - Zapewne nie sądziłaś, że poruszam się w tak elitarnych kręgach. Nie każdy jest zapraszany do uczestnictwa w funduszu inwestycyjnym Reinier. Tylko osoby wyjątkowe, takie jak ja.

Wymieniłyśmy spojrzenia z Carly Tran, a potem odwróciłam się do Mońka.

- Naprawdę nic pan nie wie? - zapytałam.

- Nie wiem o czym?

- Sebes został aresztowany pod zarzutem zorganizowania jednego z największych oszustw finansowych w historii kraju.

- Z pewnością mylisz go z inną osobą - odpowiedział pewnym głosem. - Bob Sebes cieszy się wielkim szacunkiem, jest członkiem światowej fi - nansjery i absolutnym geniuszem, jeśli chodzi o liczby. Przez długie lata regularnie wypłacał klientom funduszu dwunastoprocentowe odsetki.

- To było zwykłe szachrajstwo, panie Monk - wyjaśniłam. - Sebes zorganizował klasyczną piramidę w systemie argentyńskim. Do wypłaty dywidend starym klientom wykorzystywał pieniądze wpłacane przez nowych inwestorów. Kiedy załamała się gospodarka i wszyscy zaczęli wycofywać swoje środki, fundusz Sebesa przestał być wydolny, a dwa miliardy dolarów gdzieś się nagle ulotniły.

- Piramidy finansowe zawsze się załamują, to nieuchronne. Bob Sebes jest na coś takiego zbyt inteligentny. - Monk pokręcił głową i spojrzał na Carly. - Pani zajmuje się zawodowo finansami. Proszę to wytłumaczyć Natalie.

- Natalie ma rację, panie Monk. Piszą o tym gazety i mówią wszystkie stacje. Bob Sebes okradał organizacje charytatywne, uniwersytety, banki i prywatne osoby na całym świecie, w tym również nasz bank - wyjaśniła Carly Tran. - Czy pan przebywał ostatnio w jakimś odosobnieniu?

- Nie bardziej niż zwykle.

- Ile pieniędzy powierzył pan Sebesowi? - zapytałam.

- Wszystkie.

Carly chrząknęła.

- Nie powinien pan wypisywać czeków, dopóki nie uzupełni pan stanu konta. Obawiam się jednak, że w tych okolicznościach każdą pańską wpłatę na konto będziemy musieli zamrozić na dziesięć dni. - Carly znowu uśmiechnęła się szeroko. - Czy mogłabym czymś jeszcze państwu służyć?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam.

Nie miałam pojęcia, za co jej dziękuję. Miała dla nas tylko złe wiadomości, a do tego nałożyła na konto Mońka nową restrykcję.

- Nie ma za co. Możecie państwo zostać tu, jak długo chcecie.

Carly Tran wstała zza biurka i odeszła, aby dać nam trochę prywatności.

Monk potrząsnął głową.

- To musi być nieporozumienie. Bob Sebes nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił.

- Dlaczego powierzył mu pan pieniądze?

- Miałem ku temu dobre powody. Byłem pod wrażeniem stabilności w funduszu Reinier, a nawet stopy zwrotu. Ponadto zaufałem jego znakomitemu nazwisku.

- Znakomitemu nazwisku? Wiedział pan coś o jego obrotach wielkimi pieniędzmi, o jego funduszach hedgingowych?

- Nic - przyznał.

- Więc dlaczego jego nazwisko cokolwiek dla pana znaczyło?

Dopiero wtedy mnie olśniło. Monk nie wiedział nic o Sebesie i jego reputacji.

- Mój Boże, pan w sensie dosłownym pojmuje „znakomite nazwisko”, prawda? - powiedziałam. - Wierzyć mi się nie chce, panie Monk. Zainwestował pan u tego człowieka swoje pieniądze, bo jego nazwisko i nazwa jego fundacji to palindromy, słowa brzmiące tak samo czytane z lewej do prawej, jak z prawej do lewej.

- To zasadniczy sygnał, że można zaufać takiemu człowiekowi - oświadczył Monk. - Wiesz, że jego żona ma na imię Anna?

- To przecież o niczym nie świadczy, panie Monk.

- Widziałem też spis jego klientów, zawierał największe instytucje i szereg bardzo zamożnych osób prywatnych.

- Wszystkich ogołocił do ostatniego centa.

- Jestem przekonany, że to wielkie nieporozumienie. - Monk wstał. - Muszę się z nim zobaczyć.

- Sebes jest przetrzymywany w areszcie domowym, panie Monk, a przed drzwiami jego willi koczuje tłum fotoreporterów i rozwścieczonych inwestorów. Nie sądzę, aby chciał się z panem widzieć.

- Na pewno będzie chciał - powiedział Monk i odszedł.

Dopiero po paru chwilach wstałam z krzesła. Czu - tam, jak drżą mi kolana. Właściwie również zainwestowałam swój majątek u Boba Sebesa. Jeśli Monk Jest czystym bankrutem, to znaczy, że ja też.

Detektyw Monk odwiedza swoje pieniądze

Przed willą Boba Sebesa w zamożnej dzielnicy Pacific Heights ciągnął się wzdłuż ulicy rząd zaparkowanych wozów transmisyjnych, samochodów reporterskich i przyczep kempingowych. Dziennikarze, kamerzyści i fotoreporterzy siedzieli w grupach na składanych krzeselkach turystycznych i leżakach. Czekali na pojawienie się Sebesa, a w międzyczasie nadawali na tle willi relacje radiowe i telewizyjne na temat afery finansowej.

Odkąd zwolniono go za kaucją, z elektroniczną obrozą na nodze, która monitorowała jego ruchy, Sebes wyszedł z domu tylko raz. Było to wtedy, gdy musiał stawić się w sądzie na przesłuchaniu. Z trudem dojechał wówczas do swego mercedesa, otoczony hordą dziennikarzy próbujących zrobić zdjęcie lub nagrać parę słów wypowiedzi nieskruszonego oszusta.

Za to Anna wychodziła z domu niemal codziennie. Początkowo reporterzy jeździli za nią w nikłej nadziei, że przyłapią panią Sebes, jak kupuje sobie jakieś luksusy, lub że się zapomni na moment i rzuci w ich stronę głupią uwagę. Ale kobieta była na to zbyt inteligentna, więc szybko przestali się nią interesować.

Przed domem kręciło się mnóstwo policjantów w cywilu i zastępców szeryfa, a nawet paru agentów FBI, na wszelki wypadek, gdyby Bob Sebes spróbował jednak uciec lub gdyby ofiary jego oszustw postanowiły dokonać na nim linczu.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi, kiedy podchodziliśmy pod dom. Posiadłość Sebesów, piękna willa w stylu Tudorów, stała się już atrakcją turystyczną. Ze wszystkich stron zjeżdżali ludzie, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie przed wielką bramą z kutego żelaza, w środku której lśniły złote inicjały sławnego właściciela domu.

Od dnia wybuchu afery finansowej złote litery subtelnie nabrały nowego znaczenia.

Ze zdumieniem zauważyłam po drugiej stronie bramy dwie znajome twarze, a i one ze zdumieniem spojrzały na mnie.

Stottlemeyer i Disher ruszali właśnie główną alejką w kierunku domu, ale widząc nas, zawrócili i podeszli bliżej żelaznej bramy.

- Co wy tu robicie? - zapytał kapitan.

- Przyjechałem zobaczyć się z Bobem Sebesem - wyjaśnił Monk.

- Sebes nie będzie z tobą rozmawiał.

- Będzie.

- Dlaczego miałby z tobą rozmawiać?

- Mój bank twierdzi, że Sebes zagarnął wszystkie moje pieniądze - wyjaśnił Monk. -

Chciałbym to wyjaśnić.

Stottlemeyer wbił w Mońka przerażony wzrok.

- Zainwestowałeś pieniądze w fundusz Sebesa?

Monk przytaknął.

- Sebes wyczyścił panu Monkowi konto - powiedziałam.

- Boże... - jęknął kapitan.

- Nie wiem, co gorsze. Okradanie ludzi czy profanowanie tak uświęconego słowa jak „czyścić” - stwierdził Monk.

- Ja wiem - powiedziałam.

- Straszna wiadomość - odezwał się Disher. - Mam nadzieję, że dotarła do pana, zanim jeszcze kupił mi pan prezent urodzinowy.

- Randy, mógłbyś okazać trochę wrażliwości - upomniałam go.

- Masz rację, Natalie. To okropne, co mówię. Przepraszam - przyznał Disher. - Chcę, żeby pan wiedział, panie Monk, że może pan wymienić kupiony prezent na jakiś tańszy z mojej listy w Nordstro - mie. To będzie nasz sekret. - Skinął głową na mnie i na kapitana. - Oczywiście ich także. Ale przyjęcie urodzinowe nie jest odwołane, prawda?

Stottlemeyer potarł skroń i westchnął.

- Myślę, że Randy próbuje w ten sposób powiedzieć, jak bardzo nam jest przykro, Monk. Wiem, że to ci się przytrafia w najgorszym momencie.

- Żaden moment nie jest dobry na utratę całego majątku - zauważyłam.

- Moment jest bez znaczenia, Natalie - powiedział Monk. - Dla mnie zawsze jest najgorszy moment. Od momentu narodzin, które są odrażającym sposobem przyjścia na świat. Do dziś nie mogę się z tego otrząsnąć.

Monk skrzywił się ze wstrętem i zadygotał cały od stóp do głów.

- Nie rozumiem, jak mogłeś zainwestować w fundusz Boba Sebesa - powiedział Stottlemeyer. - Nie należysz do osób, które podejmują ryzyko finansowe, ba, które w ogóle podejmują jakieś ryzyko.

- Zaufałem jego znakomitemu nazwisku.

- Palindrom - rzuciłam krótko.

Stottlemeyer pokiwał głową ze zrozumieniem.

Disher również.

- Świetny film - powiedział porucznik. - Zawsze się zastanawiałem, dlaczego Tina Turner nigdy już potem nie zagrała.

- Palindrom, Randy - powiedział z naciskiem Stottlemeyer. - Nie Thunderdome.

Disher znowu kiwnął głową.

- Czy to taka wielka klatka, w której dwóch gości z piłami łańcuchowymi walczy na śmierć i życie?

- Palindrom to słowo, które czytane od początku do końca czy od końca do początku brzmi tak samo - wyjaśnił Stottlemeyer. - Na przykład słowo „potop”.

- To ani trochę nie jest tak ekscytujące jak Thunderdome - stwierdził rozczarowany Disher. - Nic dziwnego, że nie zrobili o tym filmu.

Stottlemeyer odwrócił się do Mońka.

- Powierzyłeś temu człowiekowi wszystko, co miałeś, bo zaufałeś brzmieniu jego nazwiska?

- Wszystko, co jest symetryczne, zdobywa zaufanie ludzi i daje im poczucie bezpieczeństwa - wyjaśnił Monk. - W przypadku Boba Sebesa, Anny Sebes i funduszu Reinier nie groził mi żaden potop.

- Najwyraźniej jednak groził - stwierdził Disher.

- Dlatego właśnie muszę z nim porozmawiać.

- Podobnie jak kilka tysięcy innych ludzi - rzucił Stottlemeyer. - Ale Sebes z nikim nie chce rozmawiać.

- Ze mną będzie chciał - zapewnił Monk.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałby z tobą rozmawiać - powiedział kapitan.

- Może wystarczy taki, że wejdę razem z wami - podsunął Monk. - Wy przyszłście porozmawiać z nim na temat morderstwa, a ja udowodnię, że to jego sprawa.

Stottlemeyer rozejrzał się wokół dyskretnie, upewniając się, czy nikt nie słyszał, co powiedział Monk, a potem podszedł do kraty i odezwał się niskim, konspiracyjnym szeptem.

- Prawda, prowadzimy śledztwo w sprawie pewnej podejrzanej śmierci. Nie wiemy jeszcze, czy było to morderstwo czy tylko wypadek. Ale jedno wiemy na pewno, Bob Sebes nie mógł tego zrobić. Choć sprawa może mieć związek z jego aferą, dlatego policja z Tiburon poprosiła nas o pomoc.

- Kto nie żyje? - zapytałam.

- Russell Haxby, radca prawny funduszu Rei - nier - pośpieszył z wyjaśnieniem Disher. - Wczoraj wieczorem poraził go prąd, kiedy zażywał kąpieli w jacuzzi na tyłach swojej willi w Tiburon. Ciało znalazł rano ogrodnik. Prasa jeszcze o niczym nie wie, ale nie uda się długo utrzymać tajemnicy.

- W jaki sposób poraził go prąd?

- Do jacuzzi spadła elektryczna pułapka na owady, która wisiała pod okapem dachu - powiedział Disher. - No i Haxby dał się w nią złapać.

- Jeśli Haxby był radcą prawnym funduszu, to miał wystarczająco dużo informacji, aby zeznawać przeciw Sebesowi - powiedział Monk. - To mocny motyw zbrodni.

- Owszem - przyznał Stottlemeyer. - Jeśli jednak rzeczywiście było to morderstwo, to Sebes nie mógł go popełnić.

- Nikogo nie możesz wykluczyć - powiedział Monk.

- Haxby zginął w Tiburon około ósmej wieczorem, a o tej porze Sebes był tutaj, w swoim domu po drugiej stronie zatoki.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ na nodze ma zabezpieczoną przed otwarciem obrożę elektroniczną z nadajnikiem GPS, który bez przerwy monitoruje każdy jego ruch. Co więcej, jego dom jest otoczony dwadzieścia cztery godziny na dobę przez policję, FBI, ludzi szeryfa i reporterów z gazet i stacji telewizyjnych w całym kraju.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i przechylił głowę raz w jedną stronę, raz w drugą.

- To on zabił - oświadczył.

- Nawet nie wiemy, czy to było morderstwo - przypomniał Stottlemeyer. Tak usilnie próbował opanować narastające rozdrażnienie i coraz donośniejszy głos, że aż żyły nabrzmiały mu na szyi.

- To on - powtórzył Monk.

- Sebes ma mocne, niezbite, żelazne alibi.

- To tylko dowód jego winy.

- Ponieważ nie mógł tego zrobić? - zapytałam.

- Oczywiście - odpowiedział Monk. - Poza tym zagarnął wszystkie moje pieniądze i na wieczność sprofanował słowo „czyścić”.

Stottlemeyer przysunął się tak blisko bramy, że jego twarz praktycznie dotykała krat, a nos wystawał na naszą stronę.

- Nie jesteś konsultantem policji, nie przyjechałeś tu badać sprawy morderstwa Haxby'ego i obciąża cię przesłaniający trzeźwe myślenie konflikt interesów, który nie pozwala zachować obiektywizmu. Ale wpuszczę cię i pozwolę ci się zobaczyć z Sebesem.

- Pozwoli pan? - zapytał Disher. - Dlaczego?

- Ponieważ Monk jest moim przyjacielem, a ten sukinsyn zabrał mu pieniądze. Monk zasługuje na to, aby stanąć z nim twarzą w twarz.

- Dziękuję ci, Lełandzie - powiedział Monk.

- Tylko zrób wszystko, żebym tego nie żałował. - Kapitan otworzył bramę i wprowadził nas do środka.

- Będzie pan żałował - powiedziałam, przechodząc obok niego.

- Wiem - odpowiedział kapitan, smutnie kiwając głową, i wszyscy podeszliśmy do drzwi wejściowych domu Boba Sebesa.

W progu czekała na nas Anna Sebes. Wiedziała o wizycie kapitana Stottlemeyera, ale dla formalności poprosiła go, aby się wylegitymował. Nie zapytała, kim są towarzyszące mu osoby, i szerokim gestem rąk w rękawiczkach zaprosiła nas w głąb domu.

Marmurowy hol obejmowały dwoma łagodnymi łukami masywne schody. Zbiegały się one na wysokim piętrze. Kryształowy, wieloramienny żyrandol zwisał z sufitu nad posągiem nagiego, bogato obdarzonego przez naturę mężczyzny na piedestale.

Monk zasłonił oczy przed posągiem, gdy przechodziliśmy za Anną do ogromnego salonu wypełnionego obrazami, rzeźbami i różnymi bibelotami, z których każdy na pewno był bajątko drogiem dziełem sztuki.

Olbrzymie okno otwierało się na wspaniałą panoramę Golden Gate, którego długie przesłono zwieszające się majestatycznie nad zatoką zdawało się być jeszcze jednym płótnem z imponującej kolekcji Sebesów.

Na tle okna stał Bob Sebes. Odwrócony do nas plecami podziwiał widok za oknem. Miał na sobie hawajską koszulę Tommy Bahama, długie szorty i proste skórzane klapki.

- Uśmiech, proszę - powiedział. - Dam głowę, że po zatoce pływa z teleobiektywem jakiś palant, który robi nam w tej chwili zdjęcie dla jakiegoś parszywego portalu

internetowego. Ale nic mnie to nie obchodzi. Okno to jedyna rzecz, która daje mi jeszcze poczucie wolności.

Westchnęłam.

- Och, och, och... Niech się pan cieszy, że nie mieszka pan w schronisku dla bezdomnych, jak niektórzy z biednych emerytów, których zostawił pan bez grosza przy duszy.

Bob Sebes odwrócił się w moją stronę.

- Kim pani jest?

- Kobieta, która zwymiotuje na dywan za sto tysięcy dolarów, jeśli znowu usłyszy, jak użala się pan nad swoim losem i jak ciężkie jest życie po upadku pańskiej argentyńskiej piramidy.

- Dywan kosztował dziewięćset tysięcy dolarów - poprawił mnie Sebes. - Jestem taką samą ofiarą piramidy jak moi inwestorzy, może nawet większą, ponieważ na dodatek sąd nadużywa wobec mnie władzy, a media mnie demonizują.

- Ostrożnie, bo czuję, jak śniadanie podchodzi mi do gardła - powiedziałam.

Stottlemeyer rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Wystarczy, Natalie - powiedział i odwrócił się do Boba. - Przyjechaliśmy zadać panu parę pytań na temat Russella Haxby'ego.

- Nareszcie. To jest człowiek, który powinien to nosić. - Sebes wskazał elektroniczne urządzenie na swojej prawej nodze, które wyglądało jak zasilacz do laptopa przytroczony do niedużej psiej obroży. - To on zaplanował oszustwo, on nadużył mojego zaufania, on zrujnował życie tylu uczciwych ludzi.

- Powinien pan mieć dwie - powiedział Monk, używając wciąż dłoni jak przyłbicy i ukrywając większą część twarzy.

- Co dwie? - zapytał Sebes.

- Dwie obroże. Po jednej na każdą nogę.

- Jedna wystarczy - zapewnił porucznik Disher.

- Jeśli masz jedną nogę - odpowiedział Monk. - Choć w takim przypadku powinno się nosić protezę, aby zamocować do niej drugą obrożę. Zatem nawet wówczas potrzebne byłyby dwie.

- Adrian? - Bob wykręcił lekko głowę, starając się dostrzec twarz Mońka, i zrobił krok naprzód. - To ty?

Szturchnęłam Mońka.

- Może pan opuścić dłonie. Minęliśmy już nagi posąg.

- On ma odciski - powiedział Monk.

- Posąg?

- Bob. Na piętach. Poza tym między palcami jego stóp szerzy się tinea pedis.

- Ma pan na myśli grzybicę?

- Odrażające. - Monk się wzdrygnął.

Bob podszedł do nas, przyglądając się uważnie Monkowi, i nagle jego twarz zajaśniała promiennym uśmiechem.

- Ależ tak, to ty. Adrian Monk! Jakże się cieszę, że cię widzę.

- Budzisz najwyższą odrazę. - Monk odwrócił głowę.

- Nie ja zabrałem ci pieniądze, Adrianie. Musisz mi uwierzyć. Wynająłbym cię, żeby to udowodnić, ale te szakale zamroziły mi cały majątek. Powtarzam, jestem niewinny.

- Masz na piętach jątrzące się pęcherze, a między palcami stóp jadowitą grzybicę - powiedział Monk ze wstrętem w głosie. - Już dawno straciłeś niewinność.

Kapitan Stottlemeyer chrząknął głośno, by zwrócić uwagę wszystkich na swoją osobę. Pomyślałam, że to sposób o wiele bardziej uprzejmy niż oddanie strzału w powietrze.

- Jeśli nie pan okradł ludzi, Sebes, to kto? - zapytał kapitan.

- Mózgiem operacji był Russell Haxby, ale jestem pewien, że w oszustwie maczało ręce więcej osób. Nie mogło być inaczej. Jeden człowiek nie byłby w stanie przeprowadzić tak wielkiego przedsięwzięcia.

- Nikt nie twierdzi, że ludzie z pańskiej firmy nie byli w to zaangażowani, ale polecenia otrzymywali od pana. To pański fundusz. To pan kierował operacjami - powiedział Stottlemeyer.

- Owszem, byłem wizjonerem, wytyczałem trakty, ale interesami zajmowałem się na poziomie makroekonomicznym, nie zaprzątałem sobie głowy sprzedażą i oddziałami funduszu. Nie miałem do czynienia z księgowymi czy kontrolerami. Prowadzenie bieżących interesów zostawiłem Russellowi i innym. Myślałem, że moje polecenia są solennie wykonywane, ale tak nie było. To oni okradali ludzi, mnie nie wyłączając. Nie dlatego się u mnie zjawiliście?

Stottlemeyer pokręcił głową.

- Russell Haxby nie żyje. Wczoraj wieczorem zginął porażony prądem w jacuzzi w swoim domu.

- Boże jedyny - jęknęła Anna Sebes, przykładając do ust dłoń w rękawicze.

Bob podszedł do żony i przez chwilę stali w milczeniu przytuleni do siebie.

- Robi pan wrażenie dziwnie załamane go na wieść o śmierci człowieka, któremu przed chwilą zarzucał pan wymyślenie systemu, który miał ogołocić inwestorów funduszu, a pana samego wrobić w to przestępstwo - orzekł Stottlemeyer.

- To dlatego, że był jednym z niewielu, którzy mogliby udowodnić moją niewinność - przyznał Sebes. Odsunął się od żony, ale nadal trzymał ją za rękę.

- Russell Haxby poszedł na współpracę z prokuratorami - wyjaśnił Stottlemeyer. - Zamierzał przyznać się do winy i w zamian za łagodniejszy wyrok zeznawać przeciwko panu.

- Nie wątpię - syknęła Anna. - Chciał odwrócić uwagę od swego niecnego postępu i całą winę zrzucić na Boba. Teraz, gdy Russell nie żyje, jesteśmy zgubieni.

- Albo uratowani - stwierdziłam. - Zależy, jak na to spojrzeć.

- Przyjechaliście mnie oskarżyć? - zapytał Bob. - Jeśli tak, miejmy to już za sobą.

- Jesteś wcieleniem brudu! - krzyknął naraz Monk, celując w Sebesa palcem. - Jesteś wstrętnym, obrzydliwym, odrażającym brudem pierwotnym, dla którego nie ma miejsca wśród cywilizowanych ludzi. Jesteś wrzodem na łonie człowieczeństwa, Bobie Sebesie.

Setki razy widziałam, jak Monk stawał przed mordercą, aby udowodnić mu zbrodnię, ale nigdy dotąd nie spotkałam się z jego strony z tak głębokim oburzeniem. Cały się trząsał. Z drugiej strony, jeszcze nikt nie oskubał go do ostatniego centa. Trudno było mi go winić za to, że stracił nerwy.

- Nie okradłem cię, Adrianie - powtórzył Sebes.

- Pieniądze nie są ważne - zachnął się Monk. - Nie mają żadnego znaczenia.

- Nie mają? - zapytałam zdziwiona.

- Popatrz na siebie, Bob. Pasożytniczy grzyb delektuje się twoimi stopami - mówił Monk. - Obrasta twoje ciało, jak mech obrasta cmentarny kamień. Zaklinam cię na wszystkich świętych, umyj swoje ohydne nogi, zanim grzyb rozprzestrzeni się po mieście i rozniesie rozpustną zarazę.

Wszyscy patrzyli na Monka przez dłuższą chwilę.

- W porządku - powiedział w końcu Bob łagodnym, ostrożnym tonem. - Wymoczę nogi w sodzie oczyszczonej.

- Kwas byłby lepszy. Ewentualnie amputacja.

- Nie przyszłoby tu krytykować higieny osobistej Boba Sebesa, Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Gdyby ktoś uczynił to wcześniej, Bob może nie popełniłby odrażających zbrodni - powiedział Monk. - Grzybica z pewnością dostała się do jego mózgu i rozkłada go w szybkim

procesie gnilnym. Sebes ma w głowie grzybicę stóp. Oto, co się dzieje z człowiekiem, jeśli dopuszcza do siebie rozpustną zarazę.

Znowu ta „rozpusztana zaraza”. Monkowi wyjątkowo się spodobało to określenie. Czekałam tylko, aż rzuci inne swoje ulubione powiedzonko: „fekalia”.

- Wielkie dzięki, Monk - odezwał się Disher. - Właśnie podsunął pan oskarżonemu, jak na złotej tacy, idealną linię obrony.

Stottlemeyer odwrócił się do Dishera.

- Niby co miałby powiedzieć? Jestem niewinny, wysoki sędzie, bo cierpię na grzybicę stóp?

- To linia obrony oparta na grzybicy stóp w głowie - stwierdził Disher.

- Absurd - orzekł Stottlemeyer.

- Czyżby? - zapytał Disher. - Trzydzieści lat temu Dan White dokonał zamachu na burmistrza San Francisco i radnego miasta, a przed sądem bronił się, że za bardzo objadł się ciasteczkami Twinkies. Dzięki temu dostał zarzut umyślnego spowodowania śmierci, a nie zabójstwa z premedytacją.

- Celna uwaga, Randy - stwierdził z westchnieniem Stottlemeyer. - Przyznaję się do pomyłki.

Bob spojrzał na Mońka.

- Czy grzybica stóp rzeczywiście może się przenieść do mózgu?

- Może się przenieść wszędzie - odpowiedział Monk. - W tym momencie pełnie najpewniej w naszą stronę.

Zrobił duży krok w tył. Podobnie Disher.

Stottlemeyer zaczął pocierać nerwowo skronie.

- Zapomnijmy na moment o grzybicy stóp i porozmawiajmy o Russellu Haxbym. Zna pan kogoś, panie Sebes, kto życzyłby sobie jego śmierci?

- Uważa pan, że Haxby mógł zostać zamordowany? - zapytała Anna Sebes.

- Musimy rozważyć również taką możliwość. Wszystko wskazuje na to, że zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku, ale dopóki nie będziemy pewni, bierzemy też pod uwagę zabójstwo.

- Mógł to zrobić każdy z jego współników w tym wielkim finansowym oszustwie - powiedział Sebes. - Podobnie zresztą jak każda jego ofiara.

- Albo pan - podsunął porucznik Disher.

- Nie mogłem zabić Haxby'ego. Może pan tego nie zauważył, młody człowieku, ale nie mogę wyjść przed dom po poranną gazetę, nie pojawiając się w tej samej sekundzie w

telewizji CNN. Poza tym nawet gdyby udało mi się wyjść z domu, to elektroniczna obroża sygnalizowałaby policji każde moje położenie. Jestem pewny, że wiecie, kiedy ostatni raz przechodziłem z kuchni do sypialni. Więc jakim cudem mógłbym kogokolwiek zabić?

- Mógł pan kogoś wynająć - stwierdził Disher.

- Haxby był mi potrzebny żywy. Ale nawet gdybym chciał jego śmierci, to nie znam żadnych płatnych morderców, a co więcej, nie mam pieniędzy, aby takiemu człowiekowi zapłacić, prawda?

- Nie wiadomo - powiedział kapitan. - Może ma pan jakąś sumkę odłożoną za granicą. Może pańska żona ma zagraniczne konto. Jeśli jednak tak jest, to sam pan wie, że szybko je znajdziemy i sprawdzimy, czy w ostatnim czasie nie dokonano z niego wypłat.

- Jesteśmy bankrutami - rzucił Bob.

- To jest nas troje - wtrąciłam.

- My przynajmniej nie jesteśmy pożerani przez mięsożerne grzyby - pocieszył mnie Monk. - Jak sądzę, dowodzi to, że jednak istnieje na świecie jakaś sprawiedliwość.

Detektyw Monk i pułapka na owady

Kiedy wyszliśmy z domu Sebesów, Monk wziął ode mnie tuzin chusteczek i dokładnie wytarł sobie ręce, twarz i szyję.

- Gdy tylko ten człowiek znajdzie się za kratkami, dom należy spalić do fundamentów, a popiół rozsypać w kosmosie.

- Tylko dlatego, że ma grzybicę? Połowa sportowców ma grzybicę stóp - stwierdził Disher.

- Każdy sportowiec z taką stopą powinien ją sobie natychmiast odciąć - orzekł Monk. Włożył zużyte chusteczki do foliowego woreczka, zamknął go szczelnie i podał mi, bym wyrzuciła go na śmieci.

- Wtedy jednak przestałby być sportowcem - zauważył Stottlemeyer. - Chyba że uprawiałby siłowanie się na ręce.

- Albo wyścigi w zjadaniu hot dogów - dodał Disher.

- Zabójcą jest Bob Sebes. Nie ma co do tego wątpliwości - stwierdził Monk.

- Mówisz tak, bo ukradł ci pieniądze, sprofanował słowo „czyścić” i ma grzybicę stóp - powiedział kapitan.

- Oczywiście, że dlatego - przyznał Monk. - Czy trzeba więcej dowodów?

- Zwykle w takich wypadkach staramy się najpierw ustalić, czy w ogóle mamy do czynienia z morderstwem.

- Zabierz mnie na miejsce przestępstwa, a dowiodę, że to morderstwo.

- Zapomniał pan, że kapitan zwolnił pana z pracy? - przypomniałam Monkowi. - Nie jest pan już konsultantem Departamentu Policji w San Francisco. W ogóle nie jest pan nigdzie zatrudniony. Jest pan czystym bankrutem.

- W takim razie mam mnóstwo wolnego czasu, który mogę spędzić na miejscu popełnienia przestępstwa.

- Nie, nie to staram się panu powiedzieć - spojrzałam na Stottlemeyera błagalnym wzrokiem. - Niech mu pan wytłumaczy.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Cóż to szkodzi? Wyprawa do Tiburon pozwoli Monkowi zapomnieć na chwilę o kłopotach.

- Och, wszystko rozumiem. - Czułam, jak czerwienieję na twarzy. - Nie wpuścił pan Mońka do domu Sebesa z sympatii i współczucia dla jego sytuacji. Zrobił to pan, wiedząc, że Monk połknie haczyk i zajmie się sprawą. Pan go po prostu bezdusznie wykorzystał, kapitanie.

- Ależ ja naprawdę chcę się zająć tą sprawą - zapewnił Monk.

- Oczywiście, że pan chce, a kapitan doskonale o tym wiedział. - Spojrzałam gniewnie na Stottlemeyera. - Powinien się pan wstydzić.

Wymierzyłabym mu siarczysty policzek, ale nie chciałam robić skandalu na oczach reporterów i jeszcze dać się aresztować za czynną napaść na funkcjonariusza. Wystarczająco trudno będzie mi znać pracę bez obciążania swojego CV informacją o aresztowaniu w miejscu publicznym za napaść na policjanta.

Rzuciłam więc kapitanowi jeszcze jedno gniewne spojrzenie i odmaszerowałam.

Przez całą drogę do Tiburon, kiedy jechaliśmy za samochodem Stottlemeyera na drugą stronę Golden Gate, nie odezwałam się do Mońka ani jednym słowem. Byłam zbyt rozsierdzona na niego i na kapitana, by nie powiedzieć czegoś, czego potem bym żałowała. Ze strachem zastanawiałam się też, skąd wpłynie moja następna wypłata, bo z całą pewnością nie dostanę jej od Mońka.

Jakiego rodzaju pracy mam szukać, żeby w pakiecie zaoferować usługi moje i Mońka? Jak długo będzie mnie stać na szukanie tak trudnej do znalezienia posady, zanim będę zmuszona porzucić Mońka, by zacząć działać na własną rękę?

Ale nawet jeśli się uwolnię od tego balastu, na jaką pracę mogę liczyć w takim kryzysie gospodarczym? Właściwie brakowało mi jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych. Prawdę mówiąc, w chwili, kiedy Monk mnie zatrudnił, brakowało mi nawet kwalifikacji do tego, aby zostać jego asystentką.

Poczułam w brzuchu ukłucie strachu. Właśnie tam odczuwałam wszystkie ukłucia, złe czy dobre. Nie był to ból ani skurcz, raczej jakieś nagłe drgnięcie, brzęknięcie napiętej struny gitarowej. Teraz jednak narastało we mnie tak wiele zmartwień, że miałam wrażenie, jakby ktoś w moim brzuchu grał na gitarze elektrycznej solówkę strachu.

Wkrótce zajechaliśmy za samochodem Stottlemeyera pod dom na gęsto zalesionych wzgórzach Tiburon.

Malownicze miasteczko w dużym stopniu wyglądało tak jak sto lat temu. Wiele oryginalnych budynków stało nietkniętych, zmodernizowano i odnowiono też stare domy na wodzie, które w latach czterdziestych XX wieku, kiedy zalano lagunę, osadzono na okolicznych brzegach. Tiburon miało mnóstwo czarownego uroku.

Dom Russella Haxby'ego pokryty był cedrowym gontem i wyglądał właściwie jak cztery domy różnej wysokości, ściśnięte raptem w jednym miejscu. Płaskie połacie dachu krzyżowały się pod dziwnymi kątami ze skośnymi, tworząc bezładny miszmasz geometrycznych kształtów. Nieregularnie rozstawione krokwie wystawały z lica ścian niczym połamane kości, a okna wyglądały jak olbrzymie szklane czerepy.

Styl architektoniczny tego domu stanowił zamierzone zaprzeczenie wszelkiej symetrii, zatem nic dziwnego, że Monk patrzył na budynek nie inaczej niż na stopy Boba Sebesa.

Jednak mnie się podobał. Mimo dziwacznych krzywizn i zakosów, mimo wystających z boków elementów, wyglądających tak, jakby ktoś zapomniał je odpiłować, rozłożysta bryła domu doskonale wkomponowywała się w naturalne otoczenie lasu.

W hrabstwie Marin, jak zresztą wzdłuż całego kalifornijskiego wybrzeża, często można było spotkać domy w podobnym stylu. Ale ponieważ Monk niewiele się przemieszczał po okolicy, to nie widział jeszcze stylu, który architekci ochrzcili mianem „New Shingle” czy też „Shed Modern”. Ja nazywałam go „szykiem bogatych hipisów”. Monk znalazł zupełnie inne określenie.

- Szkarada. Coś takiego powinno się natychmiast zburzyć.

- Miejsce przestępstwa jest za domem - powiedział kapitan Stottlemeyer, ignorując komentarz Mońka.

Ruszyliśmy za kapitanem, pod butami chrzęściły nam kamyki i sosnowe igliwie, którymi usłana była alejka. Monk krzywił się niemiłosiernie, nadaremnie próbując znaleźć sobie kawałek prostej i czystej drogi.

- To jest jak chodzenie po rozżarzonych węglach - powiedział. - Z tą tylko różnicą, że zdecydowanie wolałbym węgle.

- Przecież poparzyłby pan sobie stopy - zdziwił się Disher.

- Przy okazji wypaliłbym wszystkie zarazki. Chodzenie po sosnowych igłach to coś gorszego niż chodzenie po zużytych strzykawkach. Wystarczy, że jedna cię ukłuje i jesteś trupem.

Doszliśmy do ogródka za domem, gdzie Monk czym prędzej wskoczył na drewniany taras, jakby była to tratwa ratunkowa. Z miejsca gdzie teraz stał, mógł ogarnąć wzrokiem cały ogródek.

Teren otaczał żywopłot z gęsto nasadzonych krzewów, które jednak były niskie i nie przesłaniały widoku na zatokę. Można ją było zobaczyć między drzewami z okien na parterze, a również z poziomu jacuzzi, które wyglądało jak wielka drewniana balia wstawiona między deski na środku tarasu. Na dalekim końcu posiadłości, tuż pod żywopłotem, stała kryta cedrowym gontem szopa na narzędzia, która stylem architektury odpowiadała domowi, tyle że w drzwiach wycięty był duży półksiężyc.

Jacuzzi było puste, ogrodzone żółtą taśmą policyjną, którą przywiązano z jednej strony do schodów prowadzących do ogródka, a z drugiej do dwóch słupów podtrzymujących daleko wysunięty okap dachu, rzucający cień na taras.

- Elektryczna pułapka wisiała na haku wkręconym w jedną z tych belek. - Kapitan wskazał jedną z poprzecznych belek, na których spoczywał okap dachu. - Hak był stary i przerdzewiał. Niewykluczone, że silny podmuch wiatru strącił pułapkę do jacuzzi.

- Gdyby pułapka była podłączona do gniazdka z uziemieniem, Haxby zapewne wyszedłby z tego cało - wyraził przypuszczenie Monk.

- Nie było uziemienia - wyjaśnił Stottlemeyer. - Dom zbudowano w latach sześćdziesiątych, a Haxby, jak można się domyślić, nie wymieniał instalacji elektrycznej.

Monk przykucnął i przyjrzał się uważnie gniazdku elektrycznemu w ścianie domu.

- To nowe gniazdko.

- Po czym to pan poznaje? - zapytałam.

- Metalowe śrubki błyszczą. - Monk przeszedł się po tarasie i obejrzał pozostałe gniazdzka elektryczne. - Wszystkie są nowe. Dlaczego Haxby wymienił gniazdzka zewnętrzne, ale jednocześnie nie modernizował ich według standardów krajowych norm elektrycznych?

- Bo był idiotą, leniem albo liczykrupą - powiedział Stottlemeyer. - Może wziął jakiegoś domorosłego elektryka bez licencji, który nie wiedział, co robi. Niedotrzymanie krajowych norm elektrycznych nie jest dowodem zbrodni.

Monk podszedł do jacuzzi, przekrzywił głowę na jedną stronę i wyciągnąwszy przed siebie dłonie, złożył palce w kwadrat, jakby szukał odpowiedniego ujęcia.

- Haxby mieszkał sam? - zapytał.

- Tak, ale stale miał gości - odpowiedział Disher. - Singielki różnego rodzaju.

- Jak często korzystał z jacuzzi?

- Sąsiedzi zeznali, że słyszeli je praktycznie w każdy wieczór - powiedział Disher. - Czasami Haxby był sam, a czasami urządzał przyjęcia z różnymi gośćmi, to znaczy z tymi różnymi sin - gielkami różnego rodzaju.

- Innymi słowy z różnymi singielkami z tych singielek różnego rodzaju? - zapytał Stottlemeyer.

- Tak, chyba tak - powiedział Disher.

- To się nazywa różnaitość... - westchnął niemal tęsknie Stottlemeyer.

Disher spojrzał na duży dom, na zatokę i puste jacuzzi, wokół którego krążył Monk.

- Niektórzy faceci mają wszystko, kapitanie.

- A niektórzy dają się ugotować w jacuzzi i mają tylko kamienny nagrobek - stwierdził Stottlemeyer. - Zależy, z której strony patrzeć.

Disher natychmiast się rozjaśnił.

- To znaczy, że my jesteśmy górą.

- To nie turniej, Randy.

- Oczywiście, że tak - powiedział Disher. - Ja mam urodziny, a on już nie będzie ich miał, więc komu potrzebne kobiety i pieniądze?

Stottlemeyer i Disher wymienili ze sobą smutne spojrzenia, jakby mówili: „Kto tu kogo oszukuje?”

- Ja na pewno ich nie potrzebuję - stwierdził Monk.

- Trudno mi się z tym zgodzić - odezwała się. - Potrzebuje pan mnie.

- Ale to co innego. - Monk, przeskoczył za najbliższy krzew żywopłotu. - Zresztą ty nie jesteś kobietą.

- Daję panu słowo, że jestem.

- Nie dla mnie.

- W takim razie kim ona jest, Monk? - zapytał Stottlemeyer.

- To Natalie.

Disher uśmiechnął się do mnie.

- Dla mnie na pewno jesteś kobietą.

- Nie przystawiaj się, urodzinowy chłopczyku - powiedziałam i odwróciłam się do Mońka. - Pieniądze też są panu potrzebne.

- Ale w innym celu - powiedział i przykucnął za krzakiem tak, że widzieliśmy tylko czubek jego głowy. - Nie są mi potrzebne do tego, żeby prowadzić ekstrawagancki styl życia.

- Moim zdaniem zatrudnianie pełnoetatowej asystentki do wykonania każdej codziennej czynności jest niemalą ekstrawagancją - orzekł Stottlemeyer.

- Czy w takim razie ja jestem pańską ekstrawagancją? - zapytał Disher.

Stottlemeyer spojrział na niego przeciągle.

- Ty nie jesteś moim pełnoetatowym asystentem.

- Od czasu swojego rozvodu przesiaduje pan w biurze osiemnaście godzin na dobę. Ja przez to również. Jedyny czas, kiedy nie jestem na każde zawołanie i każdy telefon, to godziny pańskiego snu, ale nawet wtedy wykonuję dla pana wiele drobnych rzeczy.

- To zupełnie co innego - powiedział Stottlemeyer, zniżając głos. - Monk nie może bez Natalie funkcjonować.

- Pan beze mnie też nie może funkcjonować.

- Oczywiście, że mogę - odparł Stottlemeyer.

Nagle Monk wyskoczył zza krzaka niczym pajacyk na sprężynie.

- Na piasku za krzakiem jest prostokątny odcisk - oznajmił. - Cały pas ziemi został zagrabiony stąd aż do szopy z narzędziami.

Stottlemeyer zmarszczył brwi.

- O co ci chodzi, Monk?

- To tylko obserwacja. - Monk ruszył w kierunku szopy, a my poszliśmy za nim.

- Twoja pomoc dla mnie nie wykracza poza obowiązki służbowe - Stottlemeyer znów zwrócił się do Dishera.

- Czy wyjście do apteki po środki przeczyszczające jest obowiązkiem służbowym?

Monk otworzył szopę na narzędzia i wsadził do środka głowę.

- Jeśli nie reguluję wydalania, nie potrafię jasno myśleć i rozwiązywanie zawiłych zagadek kryminalnych zajmuje nam więcej czasu - wyjaśnił szeptem Stottlemeyer.

Całe szczęście, że Monk tego nie słyszał. Szkoda tylko, że ja musiałam się temu przysłuchiwać.

- Poza tym pensję wypłaca ci miasto, a nie ja, więc to nie jest żadna ekstrawagancja, to po prostu hierarchia służbowa. Koniec dyskusji - podsumował kapitan.

- Dzięki Bogu - powiedziałam.

Monk przestał zaglądać do szopy i odwrócił się w naszą stronę.

- To z całą pewnością było morderstwo - stwierdził.

- Skąd ta pewność? - zapytał kapitan.

Monk wyjął z kieszeni chusteczkę, sięgnął ręką do wnętrza szopy i wyjął miękką gumową podkładkę, którą kładzie się pod kolana podczas pielienia grządek w ogrodzie.

- Podkładka odpowiada kształtem prostokątowi, który był odcisnięty za żywopłotem - powiedział Monk.

- Mógł jej używać ogrodnik. To zapewne również on zagrabił teren.

- Być może, ale to nie wyjaśnia tego. - Monk schował podkładkę z powrotem do szopy i wyciągnął z niej grabie. - Między zębami grabi widać spalone owady. Oto, co się stało. W jakimś momencie, w wieczór zbrodni albo jakiś czas wcześniej, morderca wymienił zewnętrzne gniazdko elektryczne na modele pozbawione uziemienia. Wczoraj wieczorem ukrył się za żywopłotem i czekał tam, aż gospodarz wejdzie do jacuzzi. Kiedy Haxby zażywał w wodzie przyjemności, morderca sięgnął grabiami do pułapki i strącił ją do wody.

- Czy nie poraziłby go prąd, gdyby sięgnął metalowymi grabiami do przewodów?

Monk pokręcił głową.

- Nie. Chroniła go gumowa podkładka. Potem zabójca zagrabił ślady, pochował wszystko do szopy i odszedł niezauważony.

Stottlemeyer pokiwał głową.

- To jest morderstwo.

- Chcę być przy aresztowaniu Boba Sebesa - poprosił Monk.

- Sebes nie mógł tego zrobić - zauważył kapitan.

- A jego żona? Wychodziła wczoraj?

- Tak, wychodziła - stwierdził Disher.

- Aha! - ucieszył się Monk. - Ma alibi?

Disher pokręcił głową.

- Wyjechała gdzieś na dłużej samochodem.

- Wyjechała do Tiburon zabić Russella Haxby'ego, żeby nie zeznawał przeciwko jej mężowi - orzekł Monk. - Sprawa zamknięta.

- Ona nie mogła tego zrobić, panie Monk - powiedziałam.

Monk spojrzał na mnie zaskoczony.

- Dlaczego nie?

- Anna Sebes cierpi na artretyzm. Choroba zrujnowała jej karierę skrzypaczki i właśnie dlatego stale nosi rękawiczki. Nie byłaby w stanie użyć śrubokrętu i wkręcić małych śrubek przy montowaniu gniazdek, ani nawet unieść metalowych grabi, aby strącić pułapkę na owady do jacuzzi.

- Ręczę wam, że to Sebes - upierał się Monk. - Mógł wynająć płatnego zabójcę.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- Już przez to przechodziliśmy. Sebes ma zamrożone konta, telefony na ciągłym podsłuchu, a na nodze elektroniczną obrozę. W jaki sposób miał się kontaktować z zabójcą?

- Za pośrednictwem żony.

- Płatnych zabójców nie znajdziesz w książce telefonicznej, Monk. A jeśli nawet, to tacy ludzie nie pracują bez stosownej zaliczki. Jest bardziej prawdopodobne, że to doprowadzony do ostateczności inwestor postanowił wziąć odwet na Haxbym, nie mogąc się zemścić na Sebesie. Zabójcą mogła być każda z tych oszukanych osób.

- Mógłby to nawet być jeden z pańskich techników policyjnych - dodałam kąśliwie.

Stottlemeyer spojrział na mnie niechętnym wzrokiem.

- Możliwe jest również, że zabójca nie ma nic wspólnego z aferą Sebesa. Może była to jedna z tych rozmaitych singielek, której nie przypadło do gustu, że Haxby zabawia się w jacuzzi z innymi singielkan» z tych rozmaitych singielek różnego rodzaju.

Monk stanowczo pokręcił głową.

- Nie, to był Bob Sebes.

- Bardzo ci jestem wdzięczny za okazaną nam dzisiaj pomoc, Monk. Zwłaszcza po tym, co ci zrobił Sebes. Ale to tylko kolejny powód, dla którego nie powinienes brać udziału w tym dochodzeniu.

- Ciekawe, jakoś to nie powstrzymało pana od ciągnięcia aż tutaj pana Mońka i wykorzystania jego talentu - wytknęłam mu.

- Nie potrafisz zachować obiektywizmu - mówił dalej kapitan, ignorując moją uwagę.

- Masz zaburzoną ocenę sytuacji.

- Ależ skąd! Co do tego złodzieja, kłamcy, krętacza i bezdusznej bestii, żerującej na rozpustnej zarazie, potrafię być całkowicie obiektywny.

- Właśnie. - Stottlemeyer pokiwał głową. - Tylko potwierdziłeś moje słowa.

- Ależ to właśnie była obiektywna i bezstronna ocena sytuacji - zarzekał się Monk. - Sam przecież miałeś okazję osobiście poznać tego człowieka, prawda?

- Nie chcę cię już widzieć przy tej sprawie, Monk - powiedział kapitan. - Bo będę musiał cię aresztować za utrudnianie śledztwa, podawanie się za funkcjonariusza policji i wszystko, co może mi jeszcze przyjść do głowy.

- To Sebes. Nigdy się nie myślę.

- Niewykluczone, że w jakimś stopniu odpowiada za śmierć Haxby'ego, a jeśli tak jest, to mu to udowodnię. Ale ty jesteś odwodniony, bezrobotny i zbankrutowany. Nie jesteś w stanie jasno myśleć, Monk.

- Urodziłem się z jasnym myśleniem.

- To by było na tyle, Monk. Dziękuję - orzekł

Stottlemeyer, kładąc dłoń na ramieniu Mońka, który o dziwo się nie wzdrygnął. - Jeśli jednak w tej ciężkiej sytuacji będę mógł coś dla ciebie zrobić, zadzwoń do mnie, w dzień czy w nocy, bez znaczenia, chciałbym ci jakoś pomóc.

- Doceniam to, Lelandzie - powiedział Monk. - Właściwie jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić.

- Słucham cię, powiedz tylko słowo.

- Aresztuj Boba Sebesa za morderstwo.

Detektyw Monk znajduje pracę

W drodze powrotnej do miasta Monk w ogóle się nie odzywał. Ja również milczałam. Oboje mieliśmy wiele do przemyślenia, a nie było to bynajmniej nic przyjemnego.

Chociaż było dopiero popołudnie, byłam gotowa zakończyć dzisiejszy dzień pracy i sądzę, że Monk nie miałby nic przeciwko temu - jeżeli w zaistniałej sytuacji miał w ogóle coś do powiedzenia. Skoro mi nie płacił, nie byłam jego pracownicą.

Zajechaliśmy pod jego dom.

- Da pan sobie dzisiaj radę sam? - zapytałam.

Monk przytaknął bez słowa i wysiadł z samochodu.

- W normalnej sytuacji utopiłbym smutki w wodzie Summit Creek, ale zważywszy na to, jak niewiele butelek mi pozostało, byłoby to samobójstwo. Myślę więc, że pójdę do Safeway, pościeram tam z podłogi brudne smugi po wózkach, wyszukam przeterminowane produkty i poustawiam puszki w alfabetycznym porządku według grup żywieniowych.

Nagle przeszła mnie genialna myśl.

- Nie może pan tam pójść, panie Monk.

- Już w porządku, Natalie. Wybaczyłem im, że nie sprzedają Summit Creek. To nie ich wina.

- Nie o tym mówię.

- Och, zapewne myślisz o Arthurze. Jestem przekonany, że po wielu godzinach namysłu i głębokiej zadumy uświadomił sobie w końcu, że miałem słuszość. Na pewno jest mu wstyd i pali się, żeby poczynić stosowne zmiany, zanim umrę z odwodnienia biedny jak mysz kościelna.

- Nie, również nie o tym mówię.

- W takim razie o czym ty tyle marudzisz?

- Supermarket przez długie lata pana wykorzystywał, panie Monk. Sprzątał pan i porządkował regały zupełnie za darmo. Czas, aby zaczęli panu płacić za ciężką pracę, którą pan dla nich wykonuje.

- To nie praca.

- Każdy oprócz pana uważałby, że to jest praca.

- Ale ja lubię to robić.

- Nie ma nic złego w tym, aby otrzymywać zapłatę za robienie czegoś, co lubi się robić do tego stopnia, że jest się skłonny robić to za darmo. Prawdę mówiąc, tak właśnie brzmi definicja wymarzonej pracy.

- W takim razie ty masz u mnie wymarzoną pracę.

To była sytuacja bez wyjścia. Jeśli zaprzeczę, Monk poczuje się urażony. Jeśli przyznam rację, dam mu do ręki argument, żebym nadal pracowała u niego bez grosza zapłaty.

Wybrałam więc najbardziej tchórzliwe rozwiązanie. Uśmiechnęłam się, nic nie powiedziałam i odjechałam z piskiem opon bez żadnego „do widzenia”, zostawiając go na chodniku wyraźnie zaskoczonego.

Pojechałam prosto do Safewaya, gdzie odnalazłam Arthura, który układał na półkach batoniki Granola. Najpierw gorąco go przeprosiłam za zachowanie Mońka poprzedniego dnia. Arthur powiedział, że potrafi to zrozumieć, a poza tym stara się być uprzejmy wobec klientów. Nieco bardziej ośmie - łona zaczęłam opowiadać, jak wiele ten supermarket znaczy dla Mońka, podkreślając, że Monk zademonstrował już swoje oddanie sklepowi, przez lata utrzymując w nim lśniąca czystość, zawsze poza godzinami własnej pracy, niejednokrotnie o bladym świetle.

- Istotnie, pan Monk szczyli się naszym sklepem - przyznał Arthur. - Potrafi być irytujący, ale dla utrzymania czystości w sklepie i porządku na półkach robi więcej niż którykolwiek z pracowników. Jest też bardziej lojalny, niezwykle punktualny i zawsze można na nim polegać.

Arthur łatwo wpadł w zastawioną pułapkę.

- W takim razie sklep powinien go zatrudnić - powiedziałam. - Mnie również.

Zachwaliłam swoją osobę, dużo opowiadając o doświadczeniu nabytym podczas pracy jako barmanka i krupierka, przekonując, że jak mało kto potrafię sobie radzić zarówno z uciążliwymi klientami, jak i z pieniędzmi, a ponadto obiecałam, że będę pilnowała Mońka i Arthur nie będzie już go miał na głowie.

Piętnaście minut później wychodziłam ze sklepu, dźwigając dwie pękate torby z zakupami, które zrobiłam za pomocą karty rabatowej dla nowego pracownika. Następnego dnia rano mieliśmy się stawić z Monkiem w pracy na stanowisku kasjerki i magazyniera.

Gdy tylko wsiadłam do samochodu, zadzwoniłam do Mońka z dobrą nowiną. Monk chciał zacząć pracę natychmiast, ale wymogłam na nim obietnicę, aby stawił się w sklepie dopiero rano, a w międzyczasie, skoro ma taką nieprzewyciężoną chęć czyszczenia, ZaJął się szorowaniem chodnika przed domem.

Wiadomość zdała się podtrzymać go na duchu i byłam z siebie bardzo dumna. Co prawda nasze nowe posady nie były zbyt prestiżowe ani rozwijające intelektualnie, ale przynajmniej dawały nadzieję na jakąś wypłatę.

Choć ucieszyło mnie szybkie znalezienie nowej pracy, to wiedziałam, że nie zarobię tu tyle, żeby spłacać raty za dom, nie mówiąc o reszcie miesięcznych rachunków. Krótko mówiąc, nadal miałam duży kłopot. Na razie jednak postanowiłam nie martwić się na zapas przyszłością, lecz pławić się w rozkoszach pierwszego małego sukcesu.

Pławienie skończyło się w chwili, gdy przekroczyłam próg domu i zobaczyłam Julie siedzącą przy stole w kuchni ze zwieszonymi ramionami i nachmurzoną miną.

Wciąż przeżywała wczorajsze złe wiadomości i bałam się jej powiedzieć, że dziś sytuacja drastycznie się pogorszyła. Jakoś trudno było mi uwierzyć, żeby Julie ucieszyła wiadomością, że jej mama została kasjerką w Safewayu.

Nie myliłam się. Była wstrząśnięta.

Najpierw poprosiła mnie, żebym chowała się za każdym razem, gdy w sklepie pojawi się ktoś znany nam choćby z widzenia.

- To mało prawdopodobne - pocieszyłam córkę. - Supermarket nie znajduje się w naszej dzielnicy.

- Ale ty robisz tam zakupy, prawda?

- Tylko dlatego, że niedaleko pracuję - powiedziałam i natychmiast się poprawiłam: - Pracowałam.

- Jestem pewna, że wiele osób, które nas znają, też może pracować na drugim końcu miasta. Mogą wpaść do sklepu, aby zrobić zakupy w drodze powrotnej do domu. Możesz nawet nie zdążyć się schować. Powinnaś nosić duże, ciemne okulary i perukę i oczywiście musisz używać innego imienia na identyfikatorze; Charlene, Roxi albo Ethel, czy coś w tym rodzaju.

- Dlaczego akurat Charlene, Roxi albo Ethel?

- To świetne imiona dla kasjerek. Z klasy robotniczej.

- Od kiedy jesteś takim snobem?

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby taka wiadomość dotarła do mojej szkoły?

- Julie, będę kasjerką w Safewayu, a nie handlarką narkotyków czy prostytutką - powiedziałam.

- To jeszcze nie byłoby tak źle.

- Sugerujesz, że powinnam spróbować tych innych profesji?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Drwisz sobie, a rozmawiamy o moim życiu.

- Nie tylko my stanęliśmy w obliczu kryzysu finansowego. Mhóstwo rodzin jest w gorszej sytuacji od nas. Zobacz, ile domów na naszej ulicy przejęły banki. Jestem pewna, że w twojej szkole są dzieci, których rodzice stracili dach nad głową.

- Tych dzieci już nie ma - powiedziała Julie. - Przeprowadziły się. Nie muszą już się wstydzić.

- Oczywiście, że tak, tyle że wstydzą się gdzie indziej.

- Tam, gdzie nikt ich nie zna - odparła Julie. - To wielka różnica.

- Nie będę się przed nikim chować i nie mam zamiaru wkładać peruki. Nie wstydzę się pracować, by móc utrzymać rodzinę, i ty też nie powinnaś się Wstydzić. Prawdę mówiąc, teraz jest jeszcze ważniejsze, żebyś znalazła pracę i sama zarobiła na swoje kieszonkowe. Będzie się dla nas liczył każdy cent.

Julie podniosła na mnie posępny wzrok.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Tak, jest tak źle.

- Może powinniśmy się wyprowadzić - zasugerowała. - Oddamy bankowi dom i będziemy żyły z otrzymanej pod jego zastaw pożyczki.

Moja nastoletnia córka mówi do mnie o pożyczce pod zastaw domu. Uderzyło mnie, jak dziecinnie, a jednocześnie jak dojrzałe potrafi się zachować.

- Kupowałam ten dom z tatą - powiedziałam. - Jego obecność czuję tu w każdym pomieszczeniu. To jedna z niewielu wspólnych rzeczy, które wciąż po nim mam. Właśnie on najwięcej dla mnie znaczy. Warto się dla niego poświęcać. Nie będę się stąd wyprowadzała i oddawała domu tylko dlatego, że nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ktoś widzi mnie w fartuchu Safewayu.

Zaległa cisza. Miałam wrażenie, że na wspomnienie ojca z Julie uleciało powietrze. Pokiwała wolno głową ze zrozumieniem, a w jej oczach pojawiły się łzy. Poczulałam się trochę winna, że przywołałam pamięć Mitcha.

- Przepraszam za to, co wczoraj wieczorem powiedziałam. - Julie spojrzała na mnie. - Naprawdę przepraszam. Wiem, że tata jest teraz z ciebie dumny. Ja też jestem. Nie chciałam, żeby tak wyszło.

- Wiem, że nie chciałaś. - Pocałowałam ją w policzek i pogładziłam po włosach. - Nic się nie stało.

- Po wczorajszej rozmowie sądziłam, że gorzej już być nie może.

- Jeżeli będziemy się nawzajem wspierać i zachowamy pozytywne nastawienie, to na pewno przetrwamy ten trudny okres. Może nawet będzie nam lepiej.

- Nie bardzo rozumiem, jak możemy stać się bogatsze, jeśli będziesz pracować jako kasjerka w Safewayu.

- Nie miałam na myśli tego, że będzie nam lepiej finansowo, ale że w ogóle będzie nam lepiej jako ludziom. Dowiesz się czegoś więcej o sobie, zobaczysz, na co cię stać i na ile potrafisz zaskoczyć samą siebie.

Julie otarła wierzchem dłoni łzę z policzka i pociągnęła nosem.

- W naszej myjni samochodowej zauważyłam wywieszkę, że poszukują pracownika. Na pewno marnie płacą, ale przynajmniej można do niej dojść pieszo.

- I wprawisz pana Mońka w zachwyt - powiedziałam. - Będziesz wykonywała pracę, która jest powołaniem od Boga.

- To chyba lepsze niż wstąpić do klasztoru.

- Na pewno lepiej płacą.

- Ale z drugiej strony, gdybym wstąpiła do klasztoru, mogłabym być pewna, że nie zobaczy mnie nikt znajomy.

- Jestem całym sercem także za klasztorem - powiedziałam. - Przychodzi mi do głowy całe mnóstwo argumentów, choćby takie, że zaoszczędzimy na ubraniach, jedzeniu i sztywnym łączu internetowym.

- Chyba jednak pomogę panu Bogu, wycierając ptasie kupki z hond i fordów - stwierdziła Julie.

- Jak chcesz. Ale w ten sposób dłużej będziesz musiała pracować na kanonizację.

- To i tak mam już przechłapano - stwierdziła, uśmiechając się do mnie szelmowsko, i wyszła do pokoju, zanim odważyłam się zapytać, co ma na myśli.

Morderstwo Russella Haxby'ego, uznane przez opinię publiczną za poważny cios zadany śledztwu w sprawie afery finansowej Sebesa, trafiło na pierwszą stronę porannego wydania „San Francisco Chronicle”.

Artykuł ilustrowała niewyraźna, ziarnista fotografia Boba Sebesa, stojącego w oknie swojej willi, spoglądającego smutnym wzrokiem na zatokę. Ktoś musiał zrobić zdjęcie krótko przed naszą wizytą w jego domu i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Sebes pozował do obiektywów, których istnienia był jak najbardziej świadom.

W artykule podkreślano, że Haxby był radcą prawnym Boba Sebesa i zginął wkrótce po tym, jak zgodził się zeznawać przed sądem przeciwko swojemu byłemu szefowi.

Jednak sugestie, że za morderstwem Haxby'ego miał jakoby stać Sebes, zostały stanowczo odrzucone przez kapitana Lelanda Stottlemeyera, który w przytaczanej wypowiedzi podkreślał, że Bob Sebes nie jest podejrzany w sprawie zabójstwa Haxby'ego, ponieważ w czasie zbrodni znajdował się pod „ciągłym nadzorem”, zarówno funkcjonariuszy policji, jak i za pośrednictwem elektronicznej obroży z GPS zamocowanej na jego nodze. Kapitan także poinformował dziennikarzy, że Sebes został przesłuchany na okoliczność tej sprawy, co było czynnością rutynową, mającą na celu poszerzenie wiedzy śledczych na temat prywatnych i zawodowych znajomości Haxby'ego.

Adwokat Boba Sebesa opublikował oświadczenie, w którym zaznaczył, że śmierć pana Russella Haxby'ego to „druzgocące uderzenie” w jego klienta, który usiłuje udowodnić swoją niewinność, ale który nie traci nadziei i przekonania, że „prawda wyjdzie na jaw, a Bob Sebes zostanie oczyszczony z bezpodstawnie stawianych mu zarzutów”.

W artykule nie było wzmianki o tym, że podczas przesłuchania Sebesa czy podczas oględzin miejsca, w którym zamordowano Haxby'ego, był obecny Adrian Monk. W drodze do pracy podjechałam po Mońka, który czekał już na mnie niecierpliwie przed domem. Ubrany był w białą koszulę z długimi rękawami (zapiętą po samą szyję), czarne spodnie i czarne półbuty, które błyszczały jaśniej niż rubinowe trzewiczki Dorotki.

- Nie będzie pan odbywał rozmowy kwalifikacyjnej, panie Monk. Posadę ma pan pewną.

- To oficjalne ubranie pracowników Safewaya - powiedział Monk, wsiadając do samochodu.

- Naprawdę? Arthur nic mi o tym nie mówił. Skąd pan wie?

- Bo nie jestem ślepy i obserwuję świat - powiedział Monk. - Tak się ubieram w każdy wieczór, gdy idę tam sprzątać i ustawiać towary na półkach.

- Pan się przebiera za pracownika supermarketu?

- Ależ skąd. Po prostu okazuję pracownikom szacunek, przyjmując standardy ubraniowe ich supermarketu.

Ja miałam na sobie dżinsy i lekki sweterek z trójkątnym dekoltem. Bałam się, że już na starcie popełniłam błąd. Kiedy jednak zameldowaliśmy się w supermarkecie, Arthur stwierdził, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wręczył mi firmową bluzeczkę polo Safewaya i dodał, że w damskiej szatni dla pracowników znajdę czarne, firmowe spodnie dla pań, które mogę wypożyczyć i przynieść wyprane następnego dnia pracy.

Kiedy Arthur wydał nam firmowe czarne fartuszki, ozdobione sieciowym logo - białą literą „S” na czerwonym tle - Monk zareagował niczym prezydent Stanów Zjednoczonych dekorowany Medalem Honoru.

- Z czystym sumieniem pragnę oświadczyć, że staram się wcielać w życie wszelkie idee, którym przyświeca nazwa tego sklepu: „bezpieczna droga” - powiedział uroczyście, prężąc się na baczność. - Ślubuję stać na straży wartości czarnego fartuszka i Safewaya.

- Świetnie - powiedział nieco zaskoczony Arthur. - Może zacznij od wypakowania nowej dostawy płatków śniadaniowych w dwunastej alejce.

Myślałam, że Monk zaszaluje, ale on tylko przytaknął i bez słowa pomknął wykonać przydzielone mu zadanie.

Arthur odwrócił się do mnie i patrzył przestraszonym wzrokiem, jak wkładam fartuch i wiążę go na biodrach.

- Ty też wygłosisz okolicznościowe przemówienie i złożysz ślubowanie? - zapytał ostrożnie.

Położyłam dłoń na logo Safewaya.

- Z taką literką na piersi czuję się jak Supergirl spożywczaaków. Nie macie peleryny do kompletu?

- Niestety - odpowiedział Arthur. - Dzisiaj rano będziesz obsługiwała kasę numer trzy, Supergirl. Charlene jest na chorobowym.

- Charlene? - zapytałam zaskoczona.

- Znasz ją? - zapytał Arthur.

- Nie, nie. - Próbowałam sobie przypomnieć, czy Julie kiedykolwiek robiła tutaj ze mną zakupy. - Po prostu bardzo ładne imię.

- Dość popularne - dodał Arthur. - W naszym sklepie pracują dwie Charlene.

- Jest może jakaś Roxi?

- Roxi w ubiegłym roku przeszła na emeryturę - odpowiedział Arthur i wrócił do biura.

Poranek mijał niespodziewanie szybko. Ciągle miałam coś do roboty, a jednocześnie praca nie wymagała szczególnej koncentracji. Przeciągałam ręcznym czytnikiem nad kodami

kreskowymi kolejnych towarów, więc nie musiałam wbijać cen na klawiaturze kasy, chyba że klient kupował jakieś warzywa lub owoce. Nie musiałam się nawet zastanawiać, ile wydać reszty, ponieważ różnicę obliczała za mnie kasa. Głównym moim zajęciem było pakowanie towarów, przymilne uśmiechanie się i zamienienie z każdym paru uprzejmych słów.

Próbowałam zająć myśli odgadywaniem na podstawie zakupionych produktów, jak może wyglądać życie danego klienta. Oczywiście nie miałam pojęcia, czy odgadywałam dobrze czy źle, ale przynajmniej miałam jakąś rozrywkę. Dzięki temu nie musiałam myśleć o swoich kłopotach.

Monk robił to samo, tyle że na swój sposób. Zgodnie z poleceniem wypakował płatki śniadaniowe, a potem, już z własnej inicjatywy, zaczął je ustawiać na półkach według marki, alfabetu i terminu ważności spożycia, z tyłu stawiając najstarsze opakowania.

Kiedy skończył, z dumą pokazał swoje dzieło Arthurowi, któremu bardzo się spodobał idealny porządek, ale który nie był zadowolony, widząc wysunięte na front najnowsze płatki śniadaniowe.

- W pierwszej kolejności chcemy sprzedać produkty, których przydatność do spożycia wygasa najszybciej - powiedział. - Ale ludzie ich nie znajdą, jeśli będą schowane daleko z tyłu.

- Nie chcecie sprzedawać klientom najświeższych produktów?

- Produkty, które ustawiłeś z tyłu, są również świeże i smaczne - tłumaczył Arthur. - Ale się zepsują, jeśli najpierw będziemy sprzedawać rzeczy nowe. Aby zaspokoić popyt, przez cały czas przyjmujemy nowe dostawy, nawet wtedy, kiedy na półkach mamy jeszcze towar z ważną datą przydatności do spożycia.

- Gdybyś sam był klientem, nie chciałbyś kupić najświeższego towaru? - zapytał Monk.

- Nie chodzi o to, co ja chciałbym kupić. Chodzi o to, co musimy sprzedać.

- To zupełnie bez sensu.

- Musisz zacząć myśleć jak sprzedawca, a nie jak klient. Gdybyśmy postępowali tak, jak chcesz, nigdy byśmy niczego nie sprzedali i stracilibyśmy masę świeżej, zdrowej i smacznej żywności. - W tym momencie Arthur zauważył stojące na końcu alejki dwa kosze wypełnione paczkami z płatkami śniadaniowymi. - To są przeterminowane produkty?

- Nie. To są towary z wadą i uszkodzone.

- Nie wyglądają mi na rozerwane, wgniecione czy otwarte.

- Są nietypowe.

Arthur podszedł do pierwszego koszyka i podniósł jedno z pudełek.

- Termin ważności pudełka Cap'n Crunch wygasa siedemnastego listopada, dopiero za cztery miesiące. To jest takie nietypowe?

- Termin ważności upływa siedemnastego dnia jedenastego miesiąca - powiedział Monk. - Równie dobrze pudełko mogłoby być skażone trutką na szczury.

Arthur syknął, uciszając Mońka, i rozglądając się wokół nerwowo, jakby chciał się upewnić, że nikt oprócz niego nie usłyszał tych słów. Na szczęście w sklepie było o tej porze mało kupujących.

- Chcesz wywołać panikę? - zapytał Arthur. - Nigdy w sklepie nie używaj słowa skażony.

- Nie tylko data ważności nie jest w porządku - kontynuował Monk, zniżając głos do szeptu. - Słowo „Kapitan” na obrazku jest dziwnie napisane, na jego epoletach jest pięć frędzli, a na łyżeczce znajdują się trzy płatki. Czy tu w ogóle istnieje jakaś kontrola jakości? Kwakrzy powinni splonąć ze wstydu.

- Jacy kwakrzy?

- Kwakrzy, z Quaker Oats, firmy produkującej płatki - odparł Monk i pokazał palcem logo przedstawiające postać w tradycyjnym ubiorze kwakrów. - William Penn na pewno przewraca się w grobie, widząc to pudełko. Powinieneś napisać ostry list protestacyjny do producenta, Arthurze.

- Zostawmy te płatki... - powiedział Arthur zmęczonym głosem i potarł skronie w sposób, który natychmiast skojarzył mu się z kapitanem Stottle - meyerem. - Może odpocznij trochę i zrób sobie przerwę śniadaniową.

- Ależ to jest dla mnie odpoczynek. Jestem absolutnie wypoczęty. Tą pracą zdjąłeś mi z głowy wszelkie problemy.

- Tobie może przerwa niepotrzebna, ale ja zdecydowanie muszę odpocząć - powiedział Arthur. - Od ciebie. Idę do biura na filiżankę kawy.

- Nie śpiesz się - rzucił za nim Monk. - Wszystkim się zajmujemy.

Detektyw Monk zaokrąglą

Zanim Arthur poszedł na przerwę, polecił Monkowi usiąść przy kasie sąsiadującej z jego. Mogłoby się wydawać, że jest to najbardziej bezpieczne miejsce, na jakim można posadzić Mońka.

Na dobry początek Monk włożył rękawiczki chirurgiczne, takie same, jakie zwykle wkłada podczas prowadzenia śledztwa na miejscu popełnienia przestępstwa.

- Dlaczego zakłada pan rękawiczki? - zapytałam.

- Żeby nie wpaść w narkomanię.

- Nie można się uzależnić od narkotyków, biorąc do ręki pieniądze.

- Pozwól, że się z tobą nie zgodzę. Według badań, których wyniki zaprezentowano w 2009 roku na dwięście trzydziestym ósmym Krajowym Zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego, ponad dziewięćdziesiąt procent wprowadzonych do obiegu banknotów nosi ślady kokainy.

- Pan raczy żartować - powiedziałam.

- Bardzo chciałbym, Natalie - odparł Monk. - Jednak wystarczy, że raz powąchasz gołą rękę, w którą wcześniej wzięłaś fatalny banknot dziesięć - ciodolarowy, i bęc, już ćpasz kokę i jesteś prostytutką.

- Zaraz, zaraz, rozumiem jeszcze ten nagły skok w ćpanie, ale dlaczego miałabym zostać prostytutką?

- W jaki sposób zarobisz na kokainę, pracując tu, gdzie pracujesz?

- Słuszna uwaga - przyznałam.

- Co więcej, na tych nielicznych banknotach, które nie są oblepione kokainą, roi się od zarazków, w tym między innymi, ale nie tylko, wirusa świńskiej grypy, bakterii Escherichia coli i wirusa Ebola.

- To również wykazały badania Towarzystwa Chemicznego?

- Wystarczy posłuchać zdrowego rozsądku. Pieniądze to najbrudniejsza rzecz na świecie. Nawet nie masz pojęcia, gdzie się znajdowały i przez ile rąk przechodziły.

Monk podszedł do swojego stanowiska i po dokładnym wymyciu lizolem lady, podajnika i samej kasy zaczął obsługiwać kupujących.

Po każdym kolejnym kliencie zdejmował rękawiczki, wycierał dłonie w chusteczkę dezynfekującą, a przed przystąpieniem do następnej transakcji wkładał nową parę rękawiczek chirurgicznych. Upierał się przy tym, aby każdy produkt wkładać do osobnego plastikowego woreczka i dopiero potem umieszczać je grupami w większych torbach, które układał według artykułów gospodarczych i rodzaju żywności.

Każde jabłko, każdy owoc czy warzywo, które można łatwo uszkodzić, owijał w kawałek papierowego ręcznika, oklejał delikatnie taśmą i wkładał ostrożnie do toreb, jakby były to chińskie wazy dynastii Ming, które miały zostać wysłane na drugi koniec świata.

Klienci, rzecz jasna, raczej nie dzielali troski, z jaką Monk podchodził do zakupionych przez nich towarów, i bynajmniej nie podobało im się jego metodyczne, ślimacze tempo pracy.

Ale miałam zbyt dużo klientów przy własnej kasie, aby zajmować się Monkiem i próbować go poganiać. Działo się tak może dlatego, że kolejka przed kasą Monka posuwała się w tempie przesuwanego się lodowca i wszyscy po chwili przechodzili do mnie.

W końcu nastął moment, kiedy natłok zelżał. Mogłam wreszcie rozprostować kości i przyjrzeć się, jak Monk obsługuje ostatnią klientkę, jakąś starszą panią o ściągniętej twarzy i rybich wargach wypchanych kolagenem, z isticie hiphopowymi wydłużonymi kosmykami na głowie i łukowatymi, czarnymi brwiami, wytatuowanymi nad tymi niegdysiejszymi, które zostały usunięte pęsetą do ostatniego włoska.

- Razem będzie dwadzieścia cztery dolary - podsumował Monk.

- Ale widzę dwadzieścia trzy dolary pięćdziesiąt siedem centów - zdziwiła się kobieta, wskazując ekranik kasy palcem, na którym lśnił rubinowy pierścionek.

- To suma niepoprawna - wyjaśnił Monk.

- Według pana moje zakupy nie sumują się do kwoty dwudziestu trzech dolarów pięćdziesięciu siedmiu centów?

- Owszem, ale kwotę zaokrągliłem.

- Dlaczego, do licha, pan to zrobił?

- Bo tak trzeba - odparł prostodusznie Monk. - Ma już pani tyle lat, że powinna pani wiedzieć o takich rzeczach.

Kobieta rozszerzyła ze zdumienia oczy.

- Pan mi wypomina wiek?

- Wydłużanie włosów i naciąganie brwi na czubek głowy nie zmieni faktu, że liczy pani sobie sześćdziesiąt siedem lat.

- Wcale nie mam tylu lat.

Monk westchnął ciężko.

- Urodziła się pani w San Francisco między grudniem czterdziestego trzeciego a styczniem czterdziestego czwartego. W sposób oczywisty wynika to z zodiakalnego pierścionka z rubinami na pani palcu. To biżuteria B. Bearer&Sons, znanej firmy jubilerskiej na Nob Hill, która wypuszczała nowy model pierścionka każdego roku swojej działalności, począwszy od 1909 roku do 1982, kiedy kupiła ją duża sieć jubilerska.

- To pierścionek po mojej mamie - powiedziała kobieta.

- Nieprawda - sprzeciwił się Monk.

- Pan nazywa mnie kłamczynią?

- Starą kłamczynią. Mimo to nie umie pani dobrze łąć. Ma pani otwarty portfel i na prawie jazdy widzę pani datę urodzenia.

Jej twarz stała się tak purpurowa, jakby od początku rozmowy stała przed Monkiem na głowie.

- Skoro znał pan moją datę urodzenia, po co ta paplanina o pierścionku?

- Nie chciałem, żeby czuła się pani zakłopotana.

Tak naprawdę Monk po prostu objawił swój talent obserwacji, zdumiewającą pamięć do szczegółów nie - mających znaczenia, a jednocześnie całkowity brak ogłady towarzyskiej. Z pewnością czuł się znakomicie, gdyż mógł sobie udowodnić w ten sposób, że nic nie stracił z ostrości umysłu (jakby ktoś miał w to w ogóle wątpić, poza być może nim samym). Nagłe zwolnienie z pracy i utrata oszczędności całego życia w każdym mogłaby wzmóc poczucie niepewności, zwłaszcza w kwestiach, co do których czuło się bardzo pewnym.

Sama tak marnie się czułam, dlatego postanowiłam nie wkraczać do akcji i nie odciągać Mońka na stronę.

Starsza pani przez chwilę sapała ciężko ze złości, zająknęła coś, nie mogąc wydobyć słów, aż w końcu, głosem pełnym świętego oburzenia, powiedziała:

- Mój wiek nie zmienia faktu, że jest pan bezczelny i policzył mi pan czterdzieści trzy centy za dużo.

- Błahostka - orzekł Monk.

- To złodziejstwo i nigdy na to nie pozwolę, choćby suma była nie wiem jak mała. Chodzi o zasady.

- Oczywiście, chodzi o zasady - przyznał Monk. - Proszę więc zapłacić dwadzieścia trzy dolary pięćdziesiąt siedem centów, a różnicę dopłacę z własnej kieszeni.

- Ależ nie ma tu żadnej różnicy - powiedziała kobieta.

Monk sięgnął do kieszeni, wyjął z niej dwie ćwierć - dolarówki i rzucił je na ladę.

- Bardzo proszę o pieniądze, będę wdzięczny. Stoi pani tylko; plecie banialuki i blokuje kasę.

Kobieta obejrzała się za siebie. Za jej plecami nie było nikogo.

- Pan jest normalnie stuknięty - stwierdziła. Położyła na ladzie pieniądze i odeszła.

- Dziękujemy za robienie zakupów w Safewayu! - zawołał za nią Monk. - Zapraszamy ponownie!

Zagarnął pieniądze na otwartą dłoń, włożył je do szufladki w kasie, a potem, ściągając rękawiczki, spojrzał w moją stronę.

- Co za kobieta, dasz wiarę? Niektórym ludziom brak podstaw dobrego wychowania.

- Panie Monk, nie wolno panu zaokrąglać sum do zapłacenia.

- Nie mam wyboru. Nie wymyślono jeszcze kasy fiskalnej, która automatycznie wykonywałaby takie działanie. Czy to rzeczywiście takie trudne?

- Nikt nie będzie płacił więcej, niż wskazuje to suma na kasie.

- Ja zawsze płacę więcej. - Monk wytarł ręce w chusteczkę dezynfekującą. - Ale istotnie, twój argument jest przekonujący.

- Naprawdę? Przekonałam pana?

- Owszem.

- Nie do wiary.

- Dlaczego karać klientów za błąd popełniony przez sklep? - powiedział Monk. - W przypadku nieparzystej liczby będę musiał po prostu zaokrąglić w dół.

- Wówczas stratny będzie sklep.

- Może to skłoni wreszcie się do naprawy kas fiskalnych.

- Prędzej to skłoni kierownika do wyrzucenia pana z pracy - przestrzegłam. - To firma, która żyje z handlu i musi zarabiać. Jeśli koniecznie chce pan zaokrąglić sumy, to niestety będzie musiał pan sięgać do własnej kieszeni, panie Monk.

- Stać mnie na to.

- Nie, nie stać pana, bo wówczas to pan będzie płacił sieci za pracę w tym sklepie. Z czego opłaci pan czynsz i rachunki za dom, jeśli cały zarobek odda pan klientom?

- Wszystko się zrównoważy.

- Skąd pan to wie?

- Ponieważ zawsze wszystko się równoważy - wyjaśnił Monk, naciągając nowe rękawiczki. - Takie jest naturalne prawo wszechświata.

Zdałam sobie sprawę, że z tym argumentem niepodobna się spierać. Po prostu będę musiała przekonać Arthura, żeby Monk nie pracował przy kasie. I nie naklejał cen na towary, bo również te liczby będzie zaokrąglał.

Zaczynałam rozumieć, że ta praca wcale nie będzie dla mnie łatwiejsza niż asystowanie przy dochodzeniach w sprawie zabójstw. Prawdę mówiąc, może być nawet trudniejsza, ponieważ oprócz tego, że przecież sama tu pracuję, to równocześnie muszę starać się przewidzieć problemy, przed jakimi może stanąć Monk, i próbować je rozwiązać, zanim narobi wszystkim kłopotu lub sam wpadnie w tarapaty.

Wciąż zaprzętałam sobie głowę tymi myślami, kiedy przy kasie Mońka pojawił się kolejny klient, a również do mnie podjechał nowy koszyk z towarami. Ponieważ Monk obsługiwał jednego klienta dziesięć razy dłużej niż ja, kolejka przed moim stanowiskiem szybko się wydłużyła.

Sprawnie obsługiwałam klientów, starając się jednym uchem i jednym okiem słuchać i obserwować Mońka, co nie było łatwe, zwłaszcza gdy sprawy znów zaczynały się wymykać spod kontroli.

To, co się wydarzyło, mogę opowiedzieć na podstawie tego, co udało mi się usłyszeć i podejrzeć, a również tego, co udało mi się później z rozmów zrekonstruować.

Monk obsługiwał małżeństwo w wieku około czterdziestu lat. Ich wiek nietrudno było odgadnąć, a wniosek, że byli małżonkami, wyciągnęłam z mowy ich ciał oraz faktu, że mieli takie same obrączki ślubne.

Mężczyzna był modnie nieogolony, na sobie miał modnie wygniecioną koszulę, a na głowie modnie zwichrzoną fryzurę. Jego żona miała na twarzy niemodny brak makijażu, jej włosy były niemodnie skołtunione, a za duża bluzka niemodnie wisiała na zbyt wątłej posturze.

To śmieszne i nadzwyczaj niesprawiedliwe, że rzeczy, które wyglądają znakomicie na mężczyźnie, na kobiecie mogą wyglądać po prostu tragicznie. Jestem jednak pewna, że Monkowi nie podobało się żadne z tych dwojga.

Kobieta zdawała się wspierać ciężko na koszu z zakupami, jakby był to balkonik rehabilitacyjny.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Monk.

- Poczuję się dużo lepiej, jeśli się pan pośpieszy - powiedział mężczyzna, ściągając wargi.

- Daj spokój, Ted. Pan tylko okazuje trochę troski, a poza tym sumiennie wykonuje swoje obowiązki, co rzadkie w dzisiejszych czasach. Nie powinno się piętnować takich rzeczy.

Monk się uśmiechnął.

- Dziękuję, że pani to zauważyła.

- Przepraszam - powiedział Ted. - Moja żona nie czuje się najlepiej i chciałbym jak najszybciej zabrać ją do domu.

Monk rzucił wzrokiem na wyłożone przed nim towary. Windex, folia aluminiowa, mąka, cukier, masło, czekolada, środek przeciw zamarzaniu, duża torba jabłek, foremki do pieczenia babeczek, aspiryna, nasiona manioku, czereśnie, brzoskwinie, cukier puder, migdały w całości i w płatkach, znowu jabłka, pudełko słodkich babeczek, olejek waniliowy, papierowe ręczniki, rabarbar, truskawki, płatki Grape - Nuts, stek z polędwicy, szesnaście puszek zupy Cam - bella, Mylanta na zgagę, kawa rozpuszczalna Taster's Choice i czasopismo „People”.

- O, pan piecze żonie słodkie babeczki - zauważył Monk.

- Z lukrem i bitą śmietaną. - Ted posłał żonie słodki uśmiech. - Kimberley uwielbia lukier. Poza tym robię tartę jabłkową, ciasteczka migdałowe, brownie z płatkami migdałowymi, placek truskaw - koworabarbarowy, tort czekoladowy...

- Ted chce, żebym przybrała na wadze - przerwała mu z uśmiechem żona.

- Chcę, żebyś w ogóle jadła - powiedział Ted. - Dlatego zupełnie świadomie kuszę cię wszystkimi twoimi ukochanymi łakociami.

- Nie ma pani na nic apetytu? - zapytał Monk, zaczynając pakować produkty.

- Cały czas czuję nudności. Właściwie zmuszam się, aby cokolwiek przełknąć.

- Do przełknięcia babeczek z potrójną masą kremową nie będziesz się przymuszać - obiecał Ted. - Nie będziesz się mogła oprzeć. Przrzekam.

- Bola mnie plecy, boli głowa, a w stopach i dłoniach czuję bez przerwy mrowienie, więc za dużo nie śpię - zwierzyła się Monkowi.

Ted odwrócił się do żony.

- Nie musisz opowiadać panu historii swojej choroby, Kimberley. To kasjer, nie lekarz. - Spojrzał z powrotem na Monka. - Mógłby pan uciąć tę pogawędkę i zabrać się zwawiej do roboty? Stoimy tu już od piętnastu minut.

- Wydaje się, że pani organizm walczy z jakąś chorobą - oznajmił Monk.

- To samo mówi lekarz - odpowiedziała kobieta. - Nie wie tylko, co to za choroba.

- Ja wiem - stwierdził Monk.

Wtedy zauważyłam coś niezwykłego: Monk się nie odchyłał. Zazwyczaj kiedy ktoś kicha, Monk w panice szuka schronienia, jakby ktoś otworzył ogień z broni maszynowej. Tym razem rozmawiał z kobietą, w której organizmie szalała nieznana choroba nadająca jej wygląd reanimowanego trupa, a on nie sięgał nawet po chusteczkę higieniczną.

Poczułam lekkie łaskotanie na karku. To podświadomość próbowała mnie przestrzec przed czymś, czego moja świadomość nie potrafiła dostrzec, bo była za głupia. Dlaczego moje podświadomość i świadomość nie potrafią się lepiej porozumiewać?

- Coś mi się wydaje, że czytaliśmy gdzieś o takich ludziach jak pan - powiedziała Kimberley. - Nie jest pan jednym z tych biednych imigrantów, którzy w swoim kraju należą do cenionych lekarzy, ale ich dyplomy nie są tu uznawane, więc chwytają się zajęć, do których mają za duże kwalifikacje?

- Nie - odpowiedział Monk. - Jestem jednym z biednych byłych detektywów z wydziału zabójstw, który został wyrzucony z policji na podstawie wyników badań psychologicznych i przyjęty z powrotem jako konsultant, ale znowu zwolniony, kiedy

gospodarka zaczęła pikować w dół, tępnęły wpływy z podatków od nieruchomości, a lokalny samorząd zmuszony został do cięcia wydatków.

Para małżonków patrzyła na niego w osłupieniu.

- Innymi słowy nic pan nie wie o medycynie - podsumował Ted.

- Ale wiele wiem o morderstwach.

W tym momencie ze wszystkich stron zbiegło się nagle dziesięciu umundurowanych policjantów, którzy otoczyli nas ciasno, wyciągając przed siebie pistolety.

- Ani kroku dalej! - ryknął dowodzący policjant. - Zabawa skończona.

Detektyw Monk kasuje

- Rzucić broń i ręce do góry! - rozkazał dowodzący policjant.

Wszyscy podnieśli ręce do góry, ale nikt nie miał żadnej broni, jeśli nie liczyć samych policjantów, którzy trzymali w rękach pistolety.

- Zamknąć market - zarządził dowódca.

Część policjantów się rozpierzchła, a część otoczyła nas ciasniej i obmacała mnie, Mońka i resztę nielicznych klientów, sprawdzając, czy nie jesteśmy uzbrojeni.

Z biura wybiegł przerażony Arthur i o mały włos nie został postrzelony. Policjant dowodzący akcją w ułamku sekundy obrócił się na pięcie i wymierzył broń prosto w niego.

- Jestem kierownikiem sklepu - krzyknął z daleka Arthur, podnosząc ręce. - Co się tu dzieje?

- Napad - powiedział policjant. - Jeden z kasjerów wcisnął przycisk alarmowy.

- To ja - przyznał się Monk, machając ręką.

- Gdzie bandyci? - zapytał policjant o twarzy poranej bruzdami jak kanion Kolorado i nieprzejednanych czarnych oczach, niczym dwie grudy węgla; było w tym facecie coś wybitnie kamiennego.

- Nie doszło do napadu - wyjaśnił Monk.

Kamienny glina wolnym ruchem schował pistolet do kabury, patrząc wilkiem na Mońka.

- Więc dlaczego wszczął pan alarm?

- Aby nie dopuścić do morderstwa - odpowiedział Monk.

- Czyjego morderstwa?

- Jej. - Monk wskazał stojącą przed nim kobietę.

- O czym pan mówi? - zapytała Kimberley, zaskoczona oświadczeniem Mońka. - Nikt tu nie usiłuje mnie zabić.

- Robi to pani mąż - powiedział Monk oskarży - cielskim tonem. - Zabija panią od tygodni.

- Odbiło ci, człowieku? Kocham swoją żonę - stwierdził Ted, czule obejmując żonę w pasie. - Robię wszystko, co w mojej mocy, aby odpowiednią dietą przywrócić jej zdrowie.

- To szczerą prawdą - przytaknęła kobieta.

- Dowody mówią jednak co innego.

Kamienny policjant podszedł do Mońka. Mogłam teraz przeczytać nazwisko na jego identyfikatorze. Nazywał się Travis Morgan.

- Jakie dowody? - zapytał.

- Dowody leżą przed panem.

Morgan zerknął na zakupy.

- Ciasto w proszku? Owoce? Migdały? Nie wygląda mi to na śmiercionośną broń.

- Jeśli Ted mnie zabija, to chyba tylko swoją miłością - powiedziała Kimberley, spoglądając tkliwie na męża.

- Absolutna prawda - stwierdził Monk.

- Panie Monk, pan wcisnął przycisk alarmowy, ponieważ ten mężczyzna piecze swojej żonie babeczki? - zapytał zrozpaczonym głosem Arthur, patrząc na Mońka z niedowierzaniem.

Monk przytaknął.

- Z potrójną masą kremową.

- Boże jedyny... - Arthur zakrył twarz dłońmi. - Co ja najlepszego zrobiłem.

Morgan podszedł do jednego z policjantów.

- Zadzwoń do komendy i powiedz, żeby natychmiast przysłali tu psychologa.

Chrząknęłam głośno i wyszłam z kasy.

- Bardzo pana przepraszam, sierżancie Morgan. Myślę, że o tym kasjerze powinien pan coś wiedzieć.

- To wariat - wtrącił Ted. - Cóż więcej trzeba o nim wiedzieć?

- Nazywa się Adrian Monk. Jeszcze wczoraj był konsultantem wydziału zabójstw policji i współpracował bezpośrednio z kapitanem Lelandem Stott - lemejerem.

Morgan pokiwał wolno głową, z zainteresowaniem patrząc na Mońka, jakby ujrzał go w nowym świetle.

- Sporo o nim słyszałem - rzekł w końcu.

- Co pan słyszał? - zapytał Monk.

- Ze jest pan normalnie wariatem.

- Jednak prawda jest taka, że jeśli pan Monk twierdzi, iż ten człowiek morduje żonę, to z pewnością tak właśnie jest - powiedziałam.

- A pani, jeśli wolno zapytać, jest...?

- Natalie Teeger. Asystentka pana Mońka.

- Pani również pracuje przy kasie?

- To długa historia - westchnęłam.

- Niech każdy zostanie na swoim miejscu. Nikomu nie wolno się ruszyć. Niczego nie dotykać. Zaraz będę z powrotem. Muszę hm... zadzwonić tu i ówdzie.

- Nie możemy stać bez końca, skoro mamy do Czynienia z idiotą - zaprotestował Ted.

- Moja żona jest osłabiona. Jak najszybciej powinna się położyć do łóżka.

- Ma rację - powiedział Monk. - Przede wszystkim powinien pan zadzwonić po pogotowie. Ta kobieta powinna się szybko znaleźć w szpitalu.

- Właśnie wracamy od lekarza. Przepisał mi antybiotyki i powiedział, że mam dużo leżeć i odpoczywać - wyjaśniła Kimberley.

- Ponieważ pani lekarzowi w ogóle nie przyszło do głowy, że w grę mogą wchodzić nikczemne siły zła - stwierdził Monk.

- Nikczemne siły zła? - zapytał Ted.

- Mam na myśli pana, mój panie.

- Dość - przerwał im Morgan. - Resztę zostawcie detektywom.

- Ja jestem detektywem.

- Mówię o prawdziwych detektywach - stwierdził Morgan. - Wie pan, o takich, którzy mają odznakę, a nie fartuch.

Pierwsi przybyli na miejsce sanitariusze, położyli Kimberley na noszach i podłączyli ją do kroplówki, jednak na razie nie zabrali jej do karetki. Policjanci kazali im czekać na przybycie detektywów, jeśli nie zagraża to bezpośrednio jej życiu.

Jej mąż, Ted, stał obok niej, trzymał ją za rękę i patrzył na Mońka nienawistnym wzrokiem.

Zresztą nie tylko Ted. Arthur przechadzał się nerwowo przed kasami, raz po raz łypiąc bazyliżkowym spojrzeniem na Mońka, który zdawał się nic sobie nie robić z tych spojrzeń. Wręcz przeciwnie, wyglądał na kogoś bardzo rozweselonego.

Humor poprawił mu się jeszcze bardziej, gdy zobaczył wchodzącego do sklepu kapitana Stottlemeyera. Kapitan zamienił parę słów z Morganem, westchnął ciężko, słuchając jego relacji, a potem wolnym krokiem podszedł do Mońka.

- Nie wiedziałem, że teraz pracujesz w Safewayu, Monk - powiedział kapitan.

- To mój pierwszy dzień. Ale sądzę, że świetnie mi idzie.

Zerknęłam na Arthura i z wyrazu jego twarzy bez trudu odgadłam, że absolutnie nie zgadza się z oceną Mońka. Kapitan, który współpracował z Monkiem od wielu lat, nie musiał nawet spoglądać na kierownika sklepu, aby wiedzieć, że nie podziela on punktu widzenia swojego pracownika.

- Nie masz za dużych kwalifikacji do wykonywania tego zawodu, co? - zapytał Stottlemeyer.

- Czasy są trudne, kapitanie - odpowiedziałam. - Dzisiaj nikt nie wybrzydza na to, skąd przychodzi zarobek, lecz cieszy się, że w ogóle jest.

- To nie miało zabrzmieć jak krytyka, Natalie - wyjaśnił Stottlemeyer. - Kładę tylko pewien fundament pod swoją teorię.

- Jaką teorię?

- Sądzę, że taka praca nudzi Mońka do tego stopnia, że jego umysł mimowolnie pracuje, szukając zbrodni tam, gdzie jej nie ma.

- Zbrodnia jest dokładnie tutaj. - Monk pokazał zakupy wyłożone na ladę kasy.

- Chcesz aresztować człowieka za to, że zachęca do niezdrowej diety?

- To dieta śmiertelna.

- To jest nic, Monk - zapewnił go Stottlemeyer. - Powinieneś zobaczyć, co ja kupuję w sklepie spożywczym.

- Zona tego człowieka cierpi na przewlekłe zatrucie - wyjaśnił Monk. - Jeżeli nic nie zrobimy, jej następny domowy posiłek będzie prawdopodobnie ostatnim.

- Ludzie się odżywiają, jak im się podoba, Monk. To nie sprawa policji.

- Sama opowiedziała, jakie ma objawy, brak apetytu, mdłości, mrowienie w dłoniach i stopach. To klasyczne objawy zatrucia arsenikiem.

- Identyczne objawy dają rozwód, rozliczenie podatków i słuchanie komentarzy politycznych Rusha Limbaugha - powiedział kapitan.

- Cierpi też na bóle pleców, zawroty i bóle głowy.

- Ja również - stwierdził Stottlemeyer. - To się nazywa stres, Monk.

- Ale to są typowe objawy zatrucia glikolem etylenowym. - Monk uniósł pojemnik z płynem przeciw zamarzaniu. - Składnika różnych środków przeciwdziałających zamarzaniu.

- Problemy zdrowotne tej pani mogą mieć wiele przyczyn, Monk - powiedział Stottlemeyer. - W drodze do sklepu skontaktowałem się z jej lekarzem, który potwierdził, że pacjentka ma przewlekłą trudną do zdiagnozowania infekcję.

- Ponieważ nigdy nie widział, co kupuje jej mąż. Glikol etylenowy ma słodki smak, dlatego mąż robi ciasta owocowe i torty z potrójną masą kremową. W ten sposób kobieta nie jest w stanie wyczuć trucizny. Pestki czereśni, pestki brzoskwini, nasiona manioku, płatki hortensji, wszystko to zawiera cyjanek, który smakuje migdałami. Dlatego Ted przygotowuje tyle deserów z migdałami. Teraz dodaje do ciast arsenik. - Dla zilustrowania swojego wywodu Monk uniósł torbę jabłek. - Pestki jabłek są bogate w arsenik.

- Na miłość boską, dość już mam słuchania tych bredni. - Ted zrobił krok naprzód. - Co za dureń, jabłka są przeznaczone na jablecznik, a rozmaite składniki, które jego zdaniem są trucizną, to zwykła żywność, jaką wszyscy codziennie spożywamy. Wystarczy zajrzeć do koszyka każdego innego klienta, by wysunąć takie same absurdalne oskarżenia. Będziesz pan dzwonił po policję za każdym razem, jak zobaczysz u kogoś składniki do pieczenia ciast? Albo kiedy ktoś sobie kupi trutkę na robactwo i szczury albo tort czekoladowy?

- Trudno mu odmówić racji, Monk - stwierdził Stottlemeyer.

- Łatwo udowodnić chroniczne podtruwanie, jeśli już wiadomo, czego w organizmie szukać. Krew i włosy tej pani można zbadać na obecność arsenu - ku i cyjanku. Można również sprawdzić, czy w jej nerkach nie wytwarzają się kryształy szczawianów. Wyniki będą mówić same za siebie.

- Nie pozwolę kłuć mojej żony ani kłaść jej pod noże chirurgiczne tylko po to, żeby zadowolić paranoiczne obsesje szaleńca, którego widzę pierwszy raz w życiu - stwierdził ostro Ted. - Naprawdę chcielibyśmy już znaleźć się w domu i mieć za sobą cały ten przykry incydent.

- Ja o tym zdecyduję. Nie ty - odezwała się nagle Kimberley i usiadła na noszach.

Ted odwrócił się do niej zaskoczony.

- Chyba mu nie wierzysz, kochanie?

- Ma pani polisę na życie? - zapytał Monk.

- Na milion dolarów.

- Czy w ostatnim czasie zaszła jakaś zmiana w państwa sytuacji materialnej? - pytał dalej Monk.

- Oboje straciliśmy pracę i musieliśmy ograniczyć wydatki do minimum.

- Jak możesz tak o mnie myśleć? Jak może ci w ogóle przyjść do głowy, że byłbym w stanie cię skrzywdzić. Wiesz, jak bardzo cię kocham - powiedział Ted.

- Płakałeś, kiedy trzeba było sprzedać porsche.

- Oczywiście, że płakałem. Każdy mężczyzna by płakał. - Ted spojrzał błagalnie na kapitana Stottle - meyera.

- Nigdy nie miałem porsche - powiedział Stottle - meyer.

- Ale gdyby pan miał, nie płakałby pan, gdyby musiał pan go sprzedać?

- Raczej nie jestem beksą - odparł kapitan.

- Poza tym czułam się znakomicie, dopóki się nie uparłeś, żeby zacząć gotować - zauważyła Kim - berley.

- Chciałem ci pomóc w pracach domowych, i tyle, zwłaszcza po tym, jak musieliśmy zwolnić gosposię. I co mnie spotyka w zamian? Oskarżenie, że próbuję cię zamordować. Jestem wstrząśnięty i do głębi urażony. Mogę tylko założyć, że mówisz pod wpływem choroby i gorączki.

- Co nam szkodzi zrobić badania, to nic nie kosztuje - powiedziała Kimberley.

- Kosztuje udział własny w ubezpieczeniu, a może nawet będziemy musieli pokryć cały koszt badań. Dobrze wiesz, jak źle teraz stoimy finansowo. Nie powinniśmy wyrzucać w błoto pieniędzy tylko dlatego, żeby ugłaskać jakiegoś stukniętego kasjera z Safeway.

Kobieta kiwnęła głową i zwróciła się do sanitariuszy:

- Proszę mnie zawieźć do szpitala. Chcę zrobić te badania.

Sanitariusze potoczyli nosze w kierunku karetki, a Ted ruszył za nimi, człapiąc wyraźnie niepewnym krokiem.

Stottlemeyer skinął na jednego z policjantów.

- Jedźcie za nim do szpitala. Niebawem tam przyjadę.

Policjant przytaknął i wyszedł ze sklepu.

- Ten człowiek jest winny - rzekł Monk.

- Wiem. I ona też wie.

- Uratował pan jej życie, panie Monk - powiedziałam.

Stottlemeyer przywołał Morgana.

- Zbierzcie ich zakupy. To są dowody rzeczowe.

Podszedł do nas Arthur.

- Ci ludzie powinni najpierw za to zapłacić.

- Wydamy stosowne zaświadczenie - obiecał kapitan.

- To nie to samo co gotówka - stwierdził Arthur. - Ani nawet kredyt.

- Nie. To nie to samo - wycedził Stottlemeyer i przeniósł na nas wzrok. - O szóstej wydajemy mały przyjęcie dla Randy'ego na posterunku. Jesteście zaproszeni.

- Co mu kupiłeś? - zapytał Monk.

- Jeszcze nic.

- Mamy tu wszystko, czego ci trzeba - oświadczył wesoło Monk. - Możesz kupić na moją pracowniczą kartę rabatową.

- Nie może - sprzeciwił się Arthur.

- Sam dokonam zakupu, a kapitan zwróci mi Pieniądze - stwierdził Monk.

- Nie może pan tego zrobić.

- Dlaczego?

- Ponieważ zostaje pan zwolniony z pracy.

Arthur postępował absolutnie niesprawiedliwie i nie miałam zamiaru puszczać mu tego płazem.

- Może przysporzyło to trochę kłopotu, może sklep straci paru klientów, ale przecież pan Monk zrobił dobry uczynek. Uratował życie. To tak samo, jakby zrobił sztuczne oddychanie komuś, kto straciłby w sklepie przytomność. Wtedy również wyrzuciłby pan go z pracy?

- Nie, nie wyrzuciłbym. Zwalniam go za to, że z rozmysłem zawyżał wszystkim klientom rachunek, a jakby tego było mało, jednej ze stałych klientek dał do zrozumienia, że jest starą, głupią kwoką.

- Bo jest - stwierdził Monk.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby dzwoniła do pana ze skargą - powiedziałam.

- To moja matka - oznajmił Arthur. - Skargi to jej codzienne zajęcie.

Przynajmniej był ktoś, kto miał jeszcze pracę.

Detektyw Monk idzie na przyjęcie

Zwolnienie z pracy już pierwszego dnia było dla Mońka potężnym ciosem, ale nie żywił urazy. Kupił jeszcze w Safewayu prezent dla Dishera. Podobnie Stottlemeyer, który zaopatrzył się również w napoje i ciasta, bo nie był pewny, czy przed urodzinami Randy'ego uda mu się jeszcze wyrwać samotnie z biura.

Arthur zaproponował mi, bym została w pracy, ale nie chciałam porzucać Mońka dla posady, w każdym razie jeszcze nie teraz, a już na pewno nie dla takiej posady.

Odebraliśmy wypłatę za jeden dzień pracy w markecie i wyszliśmy na parking. Monk szedł do samochodu ze zwieszonymi ramionami i spuszczoną głową, jakby dźwigał na swoich barkach dwadzieścia pięć kilo wstydu.

- Myślisz, że będę mógł wrócić tu jeszcze w nocy i porządkować półki?

- Po tym, jak pana tu potraktowano, nie rozumiem, dlaczego ma pan jeszcze na to ochotę.

- Policji też pomagam za darmo i jakoś nie mają do mnie pretensji.

- Oni nie mają - powiedziałam. - Ale pan powinien mieć.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Ponieważ potraktowano pana nieuczciwie. Nie ma pan dla siebie choć odrobiny szacunku? Trzeba umieć dbać o swoje interesy.

- Od tego mam ciebie.

- A gdyby pan mnie nie miał?

Monk zatrzymał się i spojrzał na mnie rozszerzonymi oczami.

- Odchodzisz?

- Nie, ale przecież nie jestem z panem przez cały czas.

- Mogłabyś. Nie mam nic przeciwko temu.

- Nie zrozumiał mnie pan. Nikt nie będzie pana szanował, jeśli sam pan siebie nie szanuje.

- Większość i tak mnie nie szanuje, a tych nielicznych, którzy mnie szanują, nie chcę zniechęcać, złościąc ich niepotrzebnie.

- To żalosne, panie Monk.

- To moje życie. Nie przyglądałaś mu się przez wszystkie te lata? Ludzie okazują mi szacunek wyłącznie wtedy, gdy rozwiązuję zagadkę kryminalną.

- Ponieważ właśnie wtedy szanuje pan samego siebie.

Kiedy Monk rozwiązywał zagadkę, ogarniało go poczucie, że świat odnajduje idealną równowagę i wszystko trafia na przypisane sobie miejsce. W takim momencie był zawsze pewny siebie, miał poczucie własnej wartości, w pełni nad sobą panował, w zasadzie był wolny od lęków i fobii, które na co dzień go dręczyły.

Nawet jeśli nie mówił, że tak się czuje, to doskonale o tym wiedziałam, bo słyszałam to w jego głosie i dostrzegałam w całym jego zachowaniu, nawet w intensywności spojrzenia, kiedy stawał oko w oko z zabójcą i w szczegółach opowiadał mu, w jaki sposób popełnił zbrodnię.

To były chwile, w których Monk był szczęśliwy i miał poczucie bezpieczeństwa; na tyle, na ile w ogóle było go na to stać.

Monk spojrzał na mnie posępnym wzrokiem i jakby czytając w moich myślach, powiedział: - Teraz nawet to straciłem.

Krótko przed naszym przybyciem na posterunek porucznik Disher został poproszony o załatwienie jakiejś drobnej sprawy poza biurem, a kiedy wrócił, wszyscy jak na komendę wrzasnęli: „Niespo - - dziaaanka!”, po czym zaczęliśmy wiwatować na jego cześć i składać mu gratulacje, dokładnie tak, jak poinstruował nas Stottlemeyer. Kapitan doszedł do wniosku,

że jeśli tak zrobimy, to, praktycznie rzecz biorąc, rutynowe zebranie w pracy będzie można połączyć z przyjęciem urodzinowym, na które z taką nadzieją liczył Disher.

Jeśli Randy czuł rozczarowanie, to nic po sobie nie okazał. Śmiał się od ucha do ucha, przybijał radośnie „piątki” podczas otwierania prezentów i zrobił wielkie widowisko przy zdmuchiwaniu świeczek na tanim torcie z Safewaya. Nawet się nie zżymał, że ani jeden z podarunków nie pochodził z jego listy weselnej w Nordstromie.

Monk podarował mu waciki do uszu Qtips, Stottlemeyer wręczył mu bon towarowy wartości 50 dolarów, a ja kupiłam mu DVD z pierwszym sezonem sta - rego dobrego serialu policyjnego Ulice San Francisco.

- Uwielbiam ten serial - powiedział Disher, wpatrując się z zachwytem w okładkę, na której Karl

Malden i Michael Douglas stoją na tle panoramy miasta.

- Bo sam jesteś policjantem z San Francisco - powiedziałam.

- Och tak, tak, ludzie nieustannie myślą mnie Mi - chaelem Douglasem, a kapitan jest kubek w kubek podobny do Karla Maldena, tyle że nie ma skrzywionego nosa, rozwianych włosów, kapelusza i prochowca.

Stottlemeyer podniósł brwi.

- W takim razie, do diabła, w czym jestem podobny kubek w kubek do Maldena?

- Jest pan posiwiąłym, starym detektywem u zmierzchu kariery, a ja genialnym, młodym wilkiem, przed którym leży świetlana przyszłość.

Ponieważ były to urodziny Dishera, kapitan puścił tę uwagę mimo uszu, zmusił się do uprzejmego uśmiechu i wzięwszy talerzyk z tortem, zamknął się w swoim gabinecie.

Zostaliśmy jeszcze godzinę, wystarczająco długo, aby w tym czasie próbowało mnie poderwać dwóch detektywów, a Monk zdążył posprzątać po wszystkich talerzyki i jeszcze zamieść podłogę. Kiedy wychodziliśmy, Stottlemeyer odciągnął nas na chwilę na bok, aby nie mogli nas słyszeć Disher, i podziękował za przyjście na przyjęcie.

- Randy jest naszym przyjacielem - powiedział Monk. - Dlaczego nie mielibyśmy przyjść?

- Byłoby nam przykro, gdyby nikt nas nie zaprosił - dodałam.

- Cieszę się, a nawet odczuwam pewną ulgę, słysząc te słowa. Miło wiedzieć, że nie odbieracie osobiście tego zamieszania z pracą.

- To nie wina Randy'ego, że zwolnił pan Mońka z pracy - powiedziałam.

- Nie ja go zwolniłem - odparł Stottlemeyer. - Miasto.

- Ale miasto to amorficzna masa bez twarzy. A pan stoi przede mną.

- Po prostu chcesz wylać na kogoś swoją złość i tak się składa, że trafia na mnie.

- Przychodzi panu ktoś lepszy do głowy?

- William Hannah albo Joseph Barbera - oświadczył Monk. - Możesz sobie wybrać.

Spojrzeliliśmy na niego zaskoczeni.

- Kto to jest? - zapytał kapitan.

- Ludzie odpowiedzialni za stworzenie Freda Flintstone'a i Barneya Rubble'a, których narysowali z trzema palcami u stóp i czterema palcami u rąk - wyjaśnił Monk. - Każde dziecko wie, że to niepoprawna liczba, nawet wśród ludzi z epoki kamienia łupanego. Na wieki uwiecznili w filmie fałsz, który wprowadza w błąd kolejne pokolenia dzieci, a nie skazał ich za to jeszcze żaden sąd.

- Co to rpa wspólnego ze zwolnieniem pana z funkcji konsultanta policji? - zapytałam.

- Nic - przyznał. - Ale oni bardziej zasłużyli na twój gniew niż kapitan Stottlemeyer.

- Stokrotne dzięki, Monk - powiedział kapitan. - Tak na marginesie, miałaś rację w kwestii tej pary w Safewayu. Przeprowadzone badania potwierdziły podtrucie. Kobieta zostanie przez kilka dni w szpitalu, a jej mąż na wiele lat trafi za kratki.

- W kwestii Boba Sebesa również się nie mylę - stwierdził Monk.

- To kanciarz. W tym się z tobą zgadzam. Ale nie zabił Haxby'ego. To niemożliwe.

- Dowiodłbym tego, gdybyś tylko mi pozwolił.

Kapitan potrząsnął głową.

- Przykro mi Monk. Od tej pory policyjną robotę będziesz musiał zostawić policjantom.

- Jeśli jednak wykluczycie Sebesa z listy podejrzanych, bo jest niemożliwe, aby dokonał morderstwa, to nigdy go za to nie aresztujecie.

- To prawda. Aresztujemy człowieka, który rzeczywiście dokonał morderstwa. Może to będzie dla ciebie szokiem, Monk, ale bez twojej pomocy również łapiemy morderców.

- Nie w tym przypadku.

Odwiozłam Monka i pojechałam do domu. Kiedy minęłam włoską restaurację „Mama Petrocelli”, pomyślałam o jej właścicielu Warrenie Horowitzu i o tym, o co pyta mnie za każdym razem, gdy przychodzę kupować pizzę.

Natychmiast zawróciłam, zaparkowałam przed wejściem do pizzerii wbrew stojącemu tam zakazowi i wbiegłam do środka. Warren stał przy stanowisku kierownika sali i czekał na klientów, których osobiście odprowadzał do stolików.

- Za każdym razem, kiedy przychodzę po pizzę, proponujesz mi powrót do mojej dawnej pracy kelnerki - powiedziałam na przywitanie. - Mówisz serio czy to tylko flirt?

W pierwszej chwili Warren wydawał się nieco zbity z tropu, ale wyraz zaskoczenia na twarzy szybko zastąpił szeroki uśmiech.

- Jedno i drugie.
- Przyjmę pracę, ale pod jednym warunkiem.
- Muszę się z tobą ożenić? - zasugerował Warren.
- Musisz jeszcze zatrudnić Adriana Mońka.
- Załatwione.
- Nie chcesz się nic o nim dowiedzieć?

Pokręcił głową.

- Najważniejsze jest to, że będę mógł cię co dzień oglądać, a moje życie będzie przez to jaśniejsze.

- Ale z flirtem koniec - zażądałam jeszcze. - Jeśli zacznę u ciebie pracować, twój flirt będzie już molestowaniem seksualnym.

Żartowałam i Warren dobrze o tym wiedział.

- Nie ma w tym ani krztyny seksualnego podtekstu - powiedział. - Wcale nie chcę się z tobą przespać.

- Nie chcesz?

- W każdym razie dopóki nie będziemy małżeństwem. Potem będziemy to robić dwa razy dziennie, a w weekendy trzy razy dziennie.

- Najwyraźniej nigdy nie byłeś żonaty - stwierdziłam.

Kiedy wróciłam do domu z pizzą, zafundowaną przez Warrena Horowitzą, Julie siedziała w salonie i smarowała sobie dłonie kremem nawilżającym.

Dostała pracę w myjni samochodowej, więc opuszki jej palców były pomarszczone i wysuszone od trzymania przez pół dnia mokrych ścierek. Jednak powiedziała mi, że sama jest zaskoczona, jak świetnie się bawiła, mimo że momentami praca była ciężka i ponizająca.

- Ponizająca? Co masz na myśli? - zapytałam.

- Do myjni podjeżdżały dzieciaki z mojej szkoły i musiały im umyć samochód. Czasem kazały mi go myć pięć albo sześć razy, tylko dlatego, że mogły. A jak twój pierwszy dzień w pracy?

- Już mnie wylali - powiedziałam i poprawiłam się po chwili: - Właściwie to wylali Mońka, a ja się zwolniłam w geście solidarności.

Kiedy jadłyśmy pizzę, opowiedziałam jej całą historię i dodałam, że oboje mamy już nową pracę.

Spodziewałam się, że Julie zacznie narzekać, że wszyscy jej przyjaciele chodzą do „Mama Petrocelli”, i że będzie się czuła upokorzona, jeśli będę musiała kogoś z nich obsłużyć. Ale Julie nie wyraziła słowa sprzeciwu. Albo doszła do przekonania, że upokorzenia, jakich doznała w myjni, będą absolutnie nieporównywalne z tymi, które ewentualnie ja mogłabym jej jeszcze zafundować, albo uświadomiła sobie, że marudzenie donikąd nas nie zaprowadzi.

Tak czy owak, miło było dla odmiany zjeść obiad w spokoju i bez kłótni. Mówiąc Julie o pracy w pizzerii, uprzytomniłam sobie, że zapomniałam zawiadomić Mońka o nowym zatrudnieniu. W pracy mieliśmy się stawić już następnego dnia. Zaraz po obiedzie zatelefonowałam więc do Mońka i o wszystkim mu opowiedziałam.

Bardzo się zapalił. Wyraził tylko jedną obawę.

- Czy pracodawca zapewnia kompas, przykładnice i miarki, czy też we własnym zakresie trzeba się zaopatrzyć w narzędzia pracy?

- Nie jesteśmy inżynierami, panie Monk. Będzie - my wypiekać pizzę.

- Nie bądź naiwna, Natalie. Jak sądzisz, w jaki sposób dbają o to, aby pizza była idealnie okrągła, a każdy wycięty kawałek idealnie trójkątny?

Westchnęłam ciężko.

- Lepiej niech pan przyniesie własne narzędzia pracy, panie Monk - powiedziałam zrezygnowanym głosem.

- Znakomicie.

Detektyw Monk robi pizzę

W pracy stawiliśmy się krótko przed południem. Pierwszym obowiązkiem Mońka było posprzątanie w kuchni i nakrycie do stołów - były to zadania, które nie tylko uwielbiał, ale do których podchodził z prawdziwym entuzjazmem, czym natychmiast zjednął sobie nowego szefa.

- Niesamowity człowiek - powiedział Warren z podziwem. - Moja kuchnia nigdy nie świeciła taką czystością, a stoły nigdy nie były tak perfekcyjnie nakryte.

- Pan Monk po prostu robi to, co najbardziej lubi - wyjaśniłam.

- Nikt nie lubi sprzątania i nakrywania do stołu. Dałam mu takie polecenie, żeby złamać w nim ducha i już na starcie sprawdzić jego charakter.

- Czy z tego samego powodu kazałeś mi zetrzeć ser, naciąć pepperoni i pokroić cebulę?

- Ależ skąd, po prostu lubię, jak jesteś ze mną w kuchni - odpowiedział Warren.

- Jeśli rzeczywiście chcesz uszczęśliwić pana Mońka, każ mu zmyć naczynia w kuchni, wyszorować podłogi i wyczyścić toaletę.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Mówię zupełnie szczerze. Jeszcze ci za to podziękuję.

Idąc za moją radą, Warren poprosił Mońka, żeby w porze lunchu umył naczynia w kuchni, a potem wyczyścił toaletę. Monk podziękował mu z całego serca i z radością zabrał się do obu zajęć. Warren był zszokowany.

W czasie lunchu do restauracji „Mama Petrocelli” ściąga tłum ludzi, musiałam więc przejść na salę i obsługiwać klientów wraz z inną kelnerką, dwudziestodwuletnią puciołowatą dziewczyną imieniem Erin, która miała aspiracje, aby zostać stylistką. Erin zaproponowała, że ostrzyże mnie i Julie za jedyne pięć dolarów od głowy, jeśli podczas jej zajęć wpadniemy do college’u. Potrzebowała wielu osób, by ćwiczyć swoje umiejętności, i podobną propozycję składała niemal wszystkim klientom restauracji.

Sztuka kelnerowania wróciła do mnie natychmiast. Miałam wrażenie, jakbym nigdy nie przestała tego robić. Wróciło też drętwienie stóp ze zmęczenia.

Warren nie mógł wyjść z podziwu, patrząc na Mońka. Sto razy dziękował mi za takiego pracownika. Również Monk wyraził mi wdzięczność, kiedy w czasie popołudniowej przerwy na posiłek usiedliśmy przy stoliku w jednym z boksów.

- Fantastyczna praca, Natalie. Bardzo ci dziękuję, że mnie tu poleciłaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłam.

- Mam wrażenie, że szef traktuje mnie na preferencyjnych warunkach. Ze wszystkich poleceń służbowych przypadają mi same rodziniki.

- Choćby czyszczenie toalety, prawda?

- Mam nadzieję, że nie czujesz się lekceważona.

- Nie. Zasluguje pan na takie wyróżnienie.

- Istotnie - przyznał Monk. - Wydaje się, że mam naturalny talent do pracy w gastronomii. Kto by przypuszczał?

- Widzi pan? Doktor Bell miał słuszość. Nie minęło parę dni, a już dowiaduje się pan wielu nowych rzeczy o sobie. - Skinęłam dłonią na pizzę, którą mieliśmy się podzielić, ale Monk nie tknął ani kawałka. - Nie jest pan głodny?

Monk nachylił się do mnie i szepnął:

- Nie mogę jej zjeść. Jest zdeformowana.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem.

- Nie jest idealnie okrągła.

- Warren to cudowny człowiek, otworzył przede mną tyle możliwości. Nie wiem, jak mu powiedzieć, że na jego pizzę nie da się nawet spojrzeć, taka jest odstręczająca.

- Więc niech pan mu nie mówi. Zamiast tego niech pan się zgłosi na ochotnika do jej przygotowania. W ten sposób, zamiast narzekać i obrażać właściciela, będzie pan mógł dać przykład, jak powinno się robić pizzę.

- Fantastyczny pomysł, Natalie - ucieszył się Monk. - To będzie także okazja, aby wyrzucić wrażenie na szefie, samemu zgłaszając się do najgorszej czarnej roboty, a nie czekać na polecenie służbowe.

- Nigdy nie zaszkodzi wkraść się w łaski pracodawcy - przyznałam. - Skoro o tym mowa, raczej nie wspominałabym Warrenowi, że wypiekanie pizzy to najgorsza czarna robota.

- Oczywiście - podchwycił skwapliwie Monk. - Co ty sobie o mnie myślisz? Nigdy nie brak mi taktu.

Tak więc Monk zgłosił się na ochotnika do robienia pizzy. Warren z zadowoleniem spełnił prośbę i zaproponował, abyśmy oboje spróbowali nowej umiejętności.

Warren pokazał nam wiszący na ścianie diagram, przedstawiający poszczególne etapy przygotowania każdego rodzaju pizzy, jakie restauracja „Mama Petrocelli” miała w swoim jadłospisie. Porcje ciasta były przygotowane wcześniej. Do nas należało tylko rozwałkowanie. Gotowe były także sosy, sery, składniki i różne dodatki przechowywane w odrębnych pojemnikach. Monkowi nadzwyczaj się to podobało. Cały proces cechowały ład, schludność i jednostajność.

Nie podobały mu się tylko zdjęcia gotowej pizzy, która przypominała, jak to ujął: „Miejsce krwawej zbrodni popełnionej na niekształtnym cieście”.

Przy użyciu wydezynfekowanych narzędzi, kompasu, przykładnicy i miarki, Monk dopilnował, aby kawałki jego rozwałkowanego ciasta były idealnie okrągłe. Później rozłożył na nich równiutkie porcje sera i sosu.

Na razie całkiem nieźle.

Problem nastąpił, kiedy Monk wziął się do nakładania różnego rodzaju dodatków. Chciał bowiem zadbać, aby na każdym kawałku pizzy znalazła się taka sama ich liczba, a do tego w identycznej konstelacji. Jego pizza wyglądała niczym tarcza strzelnicza; pasma mięsa, warzyw i dodatków tworzyły koncentryczne koła, ułożone w idealnie równym odstępnie od siebie, zmniejszające się stopniowo ku środkowi-

W przypadku pizzy z jednym lub dwoma dodatkami nie było jeszcze tak źle, jednak na pizzy złożonej z wielu składników wyglądało to dziwacznie. Kilka takich pizz udało nam się wypuścić na stoły, ale nie minęło wiele czasu, a w kuchni zjawił się Warren.

- Ta pizza wygląda, jakby przygotowała ją maszyna - rzekł.

Monk promieniał z dumy.

- Dziękuję.

- Nie możesz robić takiej pizzy, Adrianie - wyjaśnił Warren. - Dodatki powinny być wymieszane.

- Na miłość boską, dlaczego chcesz się dopuścić czegoś takiego? - zapytał Monk.

- Ponieważ wówczas wszystkiego można posmakować w jednym kęsie - wyjaśnił Warren.

- Tak nie wolno robić.

- Dlaczego nie?

- Bo to jest nienaturalne, niezrównoważone, nieetyczne, niezdrowe, niekomfortowe, niehigieniczne, nieziemskie, nieopisane, nieatrakcyjne, niepewne, niepatriotyczne, niemiłe, niewybaczalne... krótko mówiąc, przeciwieństwo wszystkiego, co ceni sobie ludzkość i cywilizowane społeczeństwo.

- To tylko pizza - powiedział Warren, nieco zbity z tropu pełną pasji tyradą swojego pracownika.

- To pizza z bałaganem - orzekł Monk.

- Właśnie taką pizzę ludzie lubią.

- Nalegam, w najdalej idących słowach, abyś się jeszcze zastanowił, Warrenie, bo w przeciwnym razie będziesz tego żałował do końca życia.

Zanim Warren zdążył odpowiedzieć, szybko się odezwałam.

- Pan Monk stara się zapewne powiedzieć, że jego talent i umiłowanie ładu lepiej wykorzystać w innym celu niż robienie pizzy.

- Oczywiście - powiedział Warren. - Zmiana planów, Adrianie. Dzisiaj wieczorem będziesz sadzał gości do stołu, a ja zajmę się robieniem pizzy.

- Ty tu jesteś szefem - stwierdził Monk i ruszył do swoich narzędzi. - Będziesz korzystał z mojego kompasu, przykładnicy i miarki?

Warren spojrzał na Monka osłupiały.

- Po co?

Znowu się wtrąciłam.

- Sądzę, panie Monk, że Warren woli się posługiwać własnymi narzędziami.

- Całkowicie rozumiem - powiedział Monk, zbierając swoje rzeczy. - Jeszcze tylko wyczyszczę i wy - dezynfekuję narzędzia pracy i biegnę na salę.

Kiedy Monk odszedł, Warren odwrócił się w moją stronę.

- Narzędzia? Ja nie buduję półek, ja wypiekam pizzę.

- Wiem - przytaknęłam.

- W czym problem?

- Pan Monk lubi, kiedy wszędzie panuje czystość i ład.

- Nawet w pizzy?

- Wszędzie. Ale, jak sądzę, zgodzisz się ze mną, że to cecha charakteru, która, jeśli nią dobrze pokierować, może się okazać bardzo przydatna w restauracji.

- Rozumiem - powiedział Warren. - Rozumiem również, że to cecha, która może doprowadzić człowieka do szewskiej pasji.

Wróciłam na salę do Erin, Warren z jeszcze jednym kucharzem zajął się przyrządzaniem pizzy, a Monk przejął funkcję kierownika sali.

Tym razem kłopoty zaczęły się na samym początku. W drzwiach restauracji pojawiły się trzy osoby, dwóch mężczyzn i kobieta. Monk powiedział im, że muszą poczekać.

Jeden z mężczyzn spojrzał ponad ramieniem Monka na salę.

- Widzę mnóstwo wolnych stolików - stwierdził-

- Oczywiście. Proszę dać mi znać, gdy przyjdą pozostałe osoby państwa grupy - odparł Monk.

- Więcej nas nie będzie - stwierdziła kobieta.

- Chyba wiedzą państwo, o czym mówię - powiedział Monk.

- Nie, nie wiemy.

- W takim razie będą państwo musieli poczekać na jakąś kobietę - orzekł Monk.

- Dlaczego?

- Wasza grupa jest nieparzysta i niezrównowazona. Musicie znaleźć jeszcze jedną kobietę.

- Nie będziemy siedzieć przy stole z obcą kobietą - powiedział jeden z mężczyzn.

- Powinniście o tym pomyśleć, zanim się wybraliście do restauracji.

Rzuciłam się szybko do drzwi, chwytając po drodze trzy menu, i z uśmiechem podałam je trójce gości.

- Proszę tędy - zaprosiłam ich do środka.

Monk złapał mnie za rękaw.

- Nie możesz ich wpuścić. Brakuje jednej kobiety.

- Mają przecież mnie.

Poprowadziłam gości do stolika, zerkając w kierunku kuchni w obawie, czy strzępy tej kłótni nie doszły do Warrena, ale ten na szczęście był zajęty czymś innym.

Tymczasem za moimi plecami pojawił się już ko - lejny gość, mężczyzna w niedopiętej koszuli, džinsach i z gazetą pod pachą.

- Stół dla jednej osoby - powiedział, podchodząc do Mońka.

- Będzie pan musiał zapiąć koszulę.

- Dlaczego?

- Ponieważ cztery górne guziki koszuli są nie - zapięte i widać pański tors - odparł Monk. - To niehigieniczne.

- Co w tym niehigienicznego?

- Pańskie owłosienie może wpaść do posiłku.

- Trudno, zaryzykuję.

- Inni nie mają zamiaru ryzykować - odpowiedział Monk. - Nie ma mowy, by pańskie włoski fruwały nam po sali.

Zanim zdążyłam wrócić do Mońka, mężczyzna wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł.

- Panie Monk, nie może pan wyrzucać z lokalu ludzi tylko dlatego, że mają rozpięty kołnierzyk koszuli.

Monk w milczeniu wskazał wiszącą przy wejściu tabliczkę z napisem: BEZ KOSZULI, BEZ BUTÓW - BEZ OBSŁUGI.

- Przecież miał koszulę.

- Ledwie, ledwie.

Próbowałam mieć Mońka na oku i interweniować w spornych przypadkach, zanim goście opuszczali restaurację, ale miałam tyle pracy, że nie byłam w stanie wykonywać równocześnie obowiązków swoich i Mońka.

Wszystko było w porządku, jeśli zjawiały się grupy parzyste, nieparzystym Monk kazał czekać na pojedynczego gościa, który byłby skłonny się do nich przysiąść. Ewentualnie proponował, aby ktoś z grupy zatelefonował po przyjaciela lub krewnego.

To już był dramat, a na domiar złego odmawiał obsługi osobom o krzywych zębach, zmierzwionych włosach lub z kolczykami w uchu czy nosie, twierdząc, że czyni tak na podstawie „kodeksu zachowania higieny i zdrowia”.

Na szczęście wszystko to działo się poza zasięgiem wzroku Warrena, ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy ludzie usiedli do stołów i zaczęto podawać im pizzę.

Zdecydowana większość gości zamawiała pizzę z „bałaganem”, co już stanowiło problem, obok którego Monk nie potrafił przejść obojętnie, ale przede wszystkim nie mógł ścierpieć widoku osób jedzących pizzę gołymi rękami. Biegał nerwowo od stołu do stołu, próbując namówić ludzi, żeby tego nie robili, ale oczywiście nikt go nie słuchał.

- W ten sposób rozprzestrzeniają się bakterie E. coli - tłumaczył Monk czteroosobowej rodzinie, która wspólnie jadła jedną dużą pizzę. - I czarna śmierć.

- Dżumę przenoszą szczury - powiedziała matka.

- Szczury, które najadły się pizzy dotykanej przez ludzi brudnymi, zaślinionymi i zatłuszczonymi paluchami.

- Pan chyba nie wie, o czym mówi - zachnęła się kobieta.

- Za to wiem, że ma pani romans i zdradza męża.

- Co?! - Mężczyzna niemal zadławił się przeżuwany kawałkiem pizzy.

Dziesięcioletnia córka wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Mamusia sypia z innym panem?

- Skądże, moje dziecko. Nie odzywaj się i nie słuchaj tego potwornego człowieka. - Kobieta zasłoniła dłońmi uszy dziewczynki i spojrzała zrozpaczona na męża. - Fred, zrób coś.

- Pani cudzołóstwo jest jasne jak słońce - upierał się Monk. - Pani mąż jest idealnie ogolony, tymczasem pani kochanek, który przystrzygł brodę tuż przed waszą schadzką, pozostawił na pani karku i kołnierzyku drobne, ścięte włoski. Poza tym, gdy wchodziła pani do restauracji, spostrzegłem, jak od breloczka z kluczami odrywa pani hotelowy bilet parkingowy i wrzuca go do kosza na śmieci.

- Sy...sypiasz... z Todem? - wyjąkał jej mąż.

Kobieta oblała się purpurą, co w zupełności wystarczało za przyznanie się do winy.

- Nie dość, że haniebnym romansiem zdradziła pani rodzinę, to teraz jeszcze swoimi niechlujnymi nawykami żywieniowymi naraża pani jej zdrowie. Jak pani nie wstyd?

Złapałam Mońka za ramię i odciągnęłam od stołu.

- Co pan robi, panie Monk?

- Ratuję ludziom życie.

- Pizzę można jeść rękami, to jest powszechnie przyjęte.

- Zobacz, do czego to prowadzi - sarknął, pokazując rodzinę, z którą przed momentem rozmawiał; cała czwórka zalana łzami wychodziła z restauracji. - Oto rozbita rodzina.

- Sposób, w jaki jedli pizzę, nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałam. - Poszło o ujawnioną przez pana małżeńską niewierność.

- Wiodła niezdrowy tryb życia. To prowadzi do zepsucia moralnego.

- Wszyscy jedzą pizzę rękami. Nikomu to nie przeszkadza.
- Pomyśl o rzeczach, których dotknęłaś, zanim sięgnęłaś po pizzę. Nasi goście powinni używać noża i widelca albo nosić rękawiczki.
- To już ich wybór. Nie pański.
- To niesmaczne - wzdrygnął się Monk. - To roznosi choroby, zarazę, śmierć. Przynajmniej tym razem nie powiedział „rozpustna zaraza”.
- Jakoś nie widzę, by ktoś tu padał trupem.
- Jeszcze nie.
- Proszę, panie Monk, niech pan będzie rozsądny.
- To nie będzie łatwe - odparł.
- Błagam pana, jeśli nie ze względu na mnie, to ze względu na siebie. Potrzebna nam ta praca.

Monk westchnął i kiwnął głową.

- Dobrze. Postaram się.
- Dziękuję - powiedziałam z ulgą i odwróciłam się, żeby wrócić do obsługi gości.

W tym momencie Monk klasnął głośno w dłonie i podniósł głos, aby każdy mógł go usłyszeć.

- Szanowni państwo, proszę o chwilę uwagi! Mam do ogłoszenia ważną wiadomość. Jeśli życie państwu miłe, proszę przestać rozmawiać, odłożyć jedzenie na talerze i posłuchać mnie.

Wszyscy zastygli i zwrócili głowy w kierunku Mońka. Nie wyłączając rzecz jasna Warrena, który stał osłupiały w kuchni i wpatrywał się w niego z niedowierzaniem w oczach.

Czym prędzej podbiegłam do Mońka.

- Obiecał pan, że będzie rozsądny.
- Przecież właśnie jestem rozsądny. Nierozsądne jest przymykać na to wszystko tylko dlatego, że Warren może się głupio poczuć. Mówiłem, że to nie będzie łatwe.
- Ale ja chciałam, żeby właśnie tego pan nie robił.
- Och, w takim razie trzeba było mi powiedzieć, żebym był nierozsądny.
- Chce pan stracić pracę?
- Oczywiście, że nie. Dlatego próbuję coś zdziałać, zanim Departament Zdrowia zamknie nam lokal. - Monk znowu podniósł głos, zwracając się bezpośrednio do gości: - Musicie państwo przestać jeść rękami, inaczej umrzecie.

Wiedziałam już, że to koniec. Z rezygnacją poddałam się nieuchronnemu biegowi wydarzeń. Po sali poniosł się szmer zaniepokojonych głosów. Warren wybiegł z kuchni, machając do wszystkich rękami.

- Proszę nie słuchać tego pana, proszę go nie słuchać! - krzyczał. - On tylko żartuje.

- Zatruta żywność i epidemia dżumy to nie są żarty - powiedział Monk.

- Zatruta żywność? - pisnął jeden z gości i wypluł na talerz przeżutą pizzę. - Co jest z tą pizzą?

- Absolutnie nic - zapewnił go Warren. - Nasza pizza jest znakomita i zdrowa.

- Oczywiście. Chodzi o państwa ręce - powiedział Monk, wskazując jednego z gości. - Zwłaszcza tego pana. Zanim sięgnął po kawałek pizzy, wierzchem dłoni wytarł nos. Cały stół należy poddać natychmiastowej kwarantannie.

- Zamknij się, Adrian - syknął Warren i odwrócił się do gości. - Szanowni państwo wybaczą to niegrzeczne zachowanie i przeszkadzanie w posiłku. Wasza pizza jest w jak najlepszym porządku. Bez obaw można ją spożywać rękami. Dzisiaj wieczór funduje ją państwu nasza firma. Łącznie z deserem.

Warren chwycił Monka pod ramię i praktycznie wywłókł go przez frontowe drzwi na ulicę. Zrezygnowana ruszyłam za nimi, odwiązując po drodze fartuch, który zostawiłam na krześle. Wiedziałam, że już nie będzie mi potrzebny.

Wyszłam przed restaurację dokładnie w momencie, kiedy z ust Warrena padały słowa, których mogłam się dobrze spodziewać.

- Zwalniam cię!

- Dlaczego? - zapytał szczerze zaskoczony Monk, nic nie rozumiejąc.

- Ponieważ sterroryzowałeś przed chwilą moich gości i pozbawiłeś mnie dziennego zarobku. Będę płakał ze szczęścia, jeśli ci ludzie kiedykolwiek do mnie wrócą.

- Chyba pan nie chce, żeby do pana wracali - zdziwił się Monk. - To dzikusy.

Warren pokręcił tylko głową i odwrócił się do mnie.

- Nie chcę go więcej widzieć w mojej restauracji. Ale ty możesz oczywiście zostać, Natalie. Wiem, że to nie twoja wina.

Uśmiechnęłam się.

- Serdecznie dziękuję, Warren. Naprawdę. Ale pracujemy niejako w pakiecie.

- W takim razie lepiej przyzwyczaj się do braku pracy - odparł z westchnieniem i wrócił do restauracji.

Monk spojrzał na mnie spode łba.

- Zdrajczynie.

Podeszłam krok do niego.

- Gdyby tak było, zatrzymałabym tę posadę. Tymczasem wolałam odejść z panem.

- Ale najpierw mu się podlizalaś.

- Po prostu podziękowałam mu za dobrą wolę i za to, że w gniewie nie zniszczył naszej przyjaźni.

- Właśnie - powiedział Monk. - Zamiast wspierać mnie w słusznej sprawie, obchodziło cię tylko to, co pomyśli o tobie człowiek, który zwolnił mnie z pracy wyłącznie dlatego, żeby nie musieć stawiać czoła zagrożeniu publicznemu, które sam powoduje we własnej restauracji. To szczyt tchórzostwa. Wstrząsający brak charakteru, Natalie.

Spuściłam wzrok na ziemię, próbując powstrzymać narastającą falę gniewu, od której cała się zatrzęsłam. Ale nie potrafiłam. Byłam zbyt słaba i zbyt przestraszona wizją tego, dokąd zmierza moje życie.

- To pan jest problemem, panie Monk - powiedziałam, kłując go palcem w pierś i zmuszając, by zrobił krok do tyłu; napierałam na niego, dźgając go raz po raz palcem. - Mam po dziurki w nosie wspierania cudownej fantazji, że pan ma zawsze rację, a reszta świata jest w błędzie. I wie pan co? Nie muszę już pana wspierać, ponieważ u pana nie pracuję. Właściwie dzięki panu nigdzie nie pracuję. - Za każdym razem, kiedy mówiłam słówko pan lub odmieniałam je w każdej formie, trącałam go wyprostowanym palcem w pierś, żeby podkreślić celność argumentu, by Monk nie tylko słyszał, ale też poczuł to, co mówię. - Najwyższy czas, aby pan sobie wreszcie uświadomił, że żyje pan w świecie równoległym, który nie ma nic wspólnego ze światem, w którym żyjemy my wszyscy. To nie my musimy się uczyć tego, jak pan żyje. To pan musi przyjąć nasz sposób życia. Oto pierwsza nauka: człowiek je pizzę rękami. Zawsze ją jadł rękami. I zawsze będzie. Niech się pan do tego przyzwyczai.

Monk nie byłby bardziej zszokowany, gdybym zerwała z siebie ubranie i goła puściła się przed siebie, wyśpiewując na całą ulicę piosenki z musicalu Dźwięki muzyki.

Wpatrywał się we mnie przez bardzo długą chwilę, a ja w tym czasie zdążyłam złapać oddech, opanować drzenie i boleśnie uświadomić sobie, co zrobiłam i co powiedziałam.

- Będzie pan tak stał? - zapytałam. - Nic pan nie ma do powiedzenia?

Monk wyciągnął do mnie rękę.

- Mogę poprosić o chusteczkę?

Sięgnęłam do torebki i rzuciłam mu chusteczkę. Monk przetarł mi bezceremonialnie usta, potem wcisnął mi chusteczkę z powrotem do torebki, odwrócił się i odszedł.

Detektyw Monk się przeprowadza

Nie mogę powiedzieć, żebym żałowała tego incydentu, ponieważ powiedziałam, co mi naprawdę leżało na sercu, i miałam zupełną rację. Jednak nie opuszczało mnie poczucie winy. Monk cierpiał na zaburzenia psychiczne i w dużej mierze nie był w stanie panować nad swoim zachowaniem. Podnoszenie na niego głosu i trącanie palcem nie mogło tu pomóc. Udało mi się jedynie urazić go jeszcze głębiej, choć przez kilka ulotnych sekund czułam się lepiej.

Patrzyłam, jak Monk oddala się ulicą, i po chwili go dogoniłam.

- Dokąd pan idzie, panie Monk?

- Do domu.

- Idzie pan w złym kierunku.

Monk obrócił się na pięcie i ruszył w przeciwną stronę.

- To wiele kilometrów stąd.

- Cóż cię to może obchodzić?

- Niech pan nie będzie taki, panie Monk.

- Jeśli ty mi mówisz, jak się mam zachowywać, to jest w porządku, ale kiedy ja chcę tobie powiedzieć, jak się zachowywać, to jest źle, tak?

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Ty widzisz świat na swój sposób, a ja na swój. Twoje widzenie jest dobre, a moje jest złe. Postawiłaś tę sprawę aż nazbyt jasno. Nie rozumiem tylko, dlaczego wciąż przy mnie jesteś.

- Ponieważ troszczę się o pana.

- Już ci nie płacę za tę troskę, więc nie musisz. To również jasno postawiłaś.

Chwyciłam go za ramię.

- Nie powiedziałam tego, panie Monk. Chodziło mi o to, że teraz, kiedy nie jest pan moim pracodawcą, mogę być z panem bardziej szczerą.

- Też mi szczęście - powiedział, wyrwał rękę i ruszył dalej przed siebie.

Znowu do niego podbiegłam.

- Prawdziwi przyjaciele są wobec siebie szczerzy, zwłaszcza gdy coś ich boli. Mnie właśnie coś zabolęło.

- Ciebie? Co ciebie może boleć? Nie straciłaś pracy.

- Straciłam.

- Nie jesteś czystym bankrutem.

- Jestem.

- Nie umierasz z pragnienia.

- Pan nie ma na utrzymaniu dziecka.

- Mam na utrzymaniu i ciebie, i twoje dziecko - stwierdził Monk. - Ale teraz to już niemożliwe.

To mnie mocno uderzyło. Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób.

- Naprawdę tak pan o nas myśli? - zapytałam. - Jak o rodzinie, którą musi pan utrzymać?

- Zdaję sobie sprawę, że żyjecie głównie z mojej wypłaty. Boję się, co z nami będzie, Natalie.

- Ja też się boję.

- Nie, nie. Nic nie rozumiesz. Nie mówię o niekończącym się, obezwładniającym, duszącym strachu, w którym jestem pogrążony od momentu swojego poczęcia. Ja mówię o zupełnie nowym, wyższym Poziomie grozy.

- Ja również.

- Naprawdę?

- Jestem samotną matką, mam nastoletnią córkę, którą chcę wychować i posłać na studia, tymczasem nie mam dochodów, nie mam oszczędności i żadnych perspektyw na dobrą pracę. To może się skończyć utratą domu, jednej z niewielu rzeczy, które miałam wspólnie z Mitchem, zanim tragicznie zginął.

- Nie ma nadziei - orzekł Monk.

- To się nazywa pozytywne nastawienie.

- Jeśli się zgodzisz, że nie ma nadziei, a nie ma, to gdy twoja sytuacja nieuchronnie się pogorszy, a pogorszy się na pewno, nie doznasz druzgocącego rozczarowania, a to przecież ulga, prawda? Czujesz się teraz lepiej?

- Niezupełnie.

- To dobrze - powiedział. - Teraz jesteś przygotowana na to, co nas czeka.

- Co za okropny sposób pokonywania trudności życia.

- To jest życie - powiedział Monk. - Jedna śmiertelna trwoga za drugą, a za nimi groza i czarna rozpacz.

Szliśmy obok siebie aż do samochodu. Monk roz - tarł sobie miejsce na piersi, w które trącałam go palcem.

- Mam chyba złamany mostek - rzekł.

- Nie sądzę, panie Monk.

Podeszliśmy do samochodu i otworzyłam pilotem drzwi.

- Będziemy tego pewni dopiero wtedy, gdy zapadną mi się płuca.

- O ile wcześniej nie umrze pan z odwodnienia.

Odwrociłam się do niego plecami, zanim zdążył zauważyć uśmiech na mojej twarzy, i przesłam na stronę kierowcy.

Znowu panowała między nami zgoda.

Zatrzymałam samochód przy krawężniku przed jego domem. Monk otworzył drzwi, ale zanim wyszedł, odwrócił do mnie głowę.

- Zobaczymy się jutro rano?

Dobre pytanie. Nie pracowałam u niego i jak na razie nie mieliśmy żadnej wspólnej pracy. Nie było powodu, abym jutro rano stawiała się pod jego drzwiami. Właściwie nie było powodu, żebym w ogóle się widywała z Monkiem.

Poza tym, że mnie potrzebował.

Ale z kolei ja potrzebowałam własnej przestrzeni i trochę czasu na przemyślenia, co dalej począć.

- Zobaczymy - odrzekłam.

- Co to znaczy?

- Zobaczymy, co się wydarzy.

Monk przechylił głowę.

- Wciąż nie rozumiem.

- Albo się spotkamy, albo nie. Wszystko zależy od tego, co nam się w międzyczasie przytrafi.

- Ale co się przytrafi?

- Nie wiem. Dlatego właśnie musimy poczekać i zobaczyć, co się wydarzy.

- Skąd wiesz, że coś się przytrafi albo wydarzy? Co takiego musi się przytrafić lub wydarzyć, żeby zaważyło na tym, czy się jutro spotkamy czy nie?

- Tego się dowiemy dopiero jutro.

- Ty bredzisz, Natalie.

- Zadzwoń do pana, panie Monk.

- O której?

- Zobaczymy.

- Nie potrafię żyć w takiej niepewności.

- Ja też nie. Dlatego potrzebuję trochę czasu dla siebie. Żeby wszystko przemyśleć i znaleźć plan działania i jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Ja mam plan - powiedział Monk.

- Jaki?

- Jutro rano przyjdiesz do mnie jak zawsze i zabierzemy się do naszych zwykłych zajęć.

- Ale nie mamy żadnych zajęć.

Monk potrząsnął głową.

- Ja mam. Sam jestem zajęciem. Mam mnóstwo zajęć. Mam długą listę zajęć. Prawdziwych zajęć.

- W takim razie będzie pan bardzo zajęty - stwierdziłam. - Dobranoc, panie Monk.

Przechyliłam się, zamknęłam za nim drzwi i odjechałam. Zerknęłam jeszcze w lusterko wsteczne i zobaczyłam go, jak stoi na skraju krawężnika i patrzy za mną zagubionym wzrokiem.

Ogromnym wysiłkiem woli musiałam zwalczyć w sobie nagłą, autodestrukcyjną chęć, by zawrócić, zatrzymać się przy nim i obiecać, że jutro rano będę u niego w domu.

Z dumą muszę powiedzieć, że udało mi się zgromadzić najgłębsze odwody swojej silnej woli i brawurowo odeprzeć atak zdradzieckiego impulsu. Wróciłam do domu, usiadłam z Julie przy stole w kuchni, wyjęłam z zamrażarki pudełko lodów i zaczęłyśmy je jeść wprost z pudełka, a ja opowiadałam o wszystkim, co się tego wieczoru zdarzyło.

Zjadłybyśmy całe kilogramowe pudełko lodów, gdyby raptem nie rozległo się pukanie do drzwi.

Podeszłam do drzwi, spojrzałam w judasza i na ganku, sprzed którego odjeżdżała właśnie taksówka, zobaczyłam sylwetkę Mońka.

Jęknęłam i oparłam ciężko czoło o drzwi.

- To pan Monk, prawda? - zapytała z kuchni Julie.

- Skąd wiesz?

- Jęknęłaś jak Monk.

- Potrafię zajęczeć jak Monk?

- Każdy kto go zna, potrafi.

Z westchnieniem otworzyłam drzwi.

- Co pan tu robi, panie Monk?

- Muszę u was zostać - powiedział i nie czekając na zaproszenie, przeszedł obok mnie do środka.

- Pan naprawdę nie wie, jak sobie radzić z poczuciem niepewności, prawda? - rzuciłam za nim.

Monk wszedł do kuchni i stanął obok Julie.

- Widzę, że jecie lody prosto z pudełka.

- Tak nam najbardziej smakują - wyjaśniła Julie.

- Obie z jednego pudełka?

- Dzięki temu wystarczy potem wypłukać dwie łyżeczki, a nie zmywać dwie miski z łyżeczkami.

Monk obrzucił ją karcącym spojrzeniem.

- Nie może pan u nas zostać, panie Monk - powiedziałam.

- Po co się kłopotać łyżeczkami? Mogłyście jeść lody po prostu palcami, wtedy nie musiałybyście w ogóle zmywać. Wystarczy potem oblizać palce, choć właściwie po co zawracać sobie głowę oblizywaniem palców.

- Pan mnie nie słucha, panie Monk - powiedziałam.

- Po co w ogóle zawracać sobie głowę domem? Ubieraniem się? Dlaczego nie iść na całość, nie zamieszkać na drzewie i nie odżywiać się bananami? Nic dziwnego, że nie widzisz w pizzy nic złego.

- Z pizzą jest coś nie tak? - zainteresowała się Julie.

- Biedne dziecko - uzalił się Monk. - Wychowują cię w kompletnej dziczy.

- Panie Monk, chodźmy, odwożę pana do domu - nalegałam.

- Nie mam domu - odparł. - Ale może to moja nowa misja. Przeprowadzić się tutaj i ocalić was przed wami samymi, zanim będzie za późno.

- Boże, tylko nie to - jęknęła moja córka.

Uciszyłam ją wzrokiem i odwróciłam się do Monka.

- Nie może pan u nas zamieszkać tylko dlatego, że stracił pan pracę i nie wie pan dokładnie, kiedy znowu się ze mną spotka.

- Nie dlatego tu jestem.

- Jaki więc jest powód tej wizyty? - zapytałam.

- Nie mam domu.

- Co pan ma na myśli?

- To, że jest samotny i tęskni za tobą - podpowiedziała Julie. - Tylko nie potrafi tego wyrazić.

- Nie widzieliśmy się raptem trzydzieści minut - stwierdziłam.

- Właściciel zmienił w moim mieszkaniu zamki, a w drzwiach zostawił nakaz eksmisji. - Monk sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę. - Sama zobacz.

Otworzyłam kopertę i rzuciłam okiem na list. Wysłał go adwokat właściciela domu, a napisany był zawiłym językiem prawniczym. Zasadniczo mówił tyle, że Monk nie zapłacił

czynszu od ponad dziewięćdziesięciu dni, złamał umowę najmu i dopóki nie wywiąże się z nagromadzonych długów, nie będzie miał prawa wstępu do mieszkania.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - Pański czynsz opłacał Bob Sebes? A w każdym razie miał opłacać, tak?

Monk przytaknął.

- Najwidoczniej ignorował monity wysyłane przez właściciela.

- Dlaczego właściciel nie kontaktował się bezpośrednio z panem?

- Wydałem mu coś w rodzaju zakazu odzywiania się do mnie i przekraczania progu mojego mieszkania.

- Coś w rodzaju z a k a z u? - zacięła się Julie.

- Brakuje mu zęba na przedzie. Nie mogę na niego patrzeć. Ale gdy tylko wstawi sobie protezę, znowu będziemy mogli normalnie rozmawiać.

- Mógł do pana zatelefonować - powiedziała Julie.

Monk pokręcił głową.

- Tego również mu zabroniłem.

- Dlaczego? - zapytała Julie.

- Ponieważ nawet jeśli tego nie widzę, to zęba nadal mu brakuje. Widziałbym to oczami wyobraźni, ponadto słyszałbym świst powietrza przeciskającego się przez monstrualną szczerbę w ustach.

- No dobrze, ale mógł napisać do pana list.

- Nie mógłbym przeczytać listu pisanego przez kogoś, kto nie ma zęba. Istnieje niebezpieczeństwo, że w wyrazach będzie brakowało ważnych liter.

- Nic dziwnego, że pana nie znosi - powiedziałam. - Teraz nadarzyła mu się idealna okazja, aby się pana pozbyć.

- Łatwiej byłoby wprawić sobie ząb - podsumował Monk. - Cóż, teraz muszę się niestety wprowadzić do was. Ale poświęcę się w imię misji ucywilizowania was, póki nie jest za późno.

Julie rzuciła mi zrozpaczone spojrzenie. Ale doprawdy nie musiała. Ja również nie chciałam, żeby Monk z nami zamieszkał.

- Wiem, że ma pan olbrzymi kłopot, że nie stać pana na hotel, ale nie może pan z nami zamieszkać - powiedziałam.

- Dlaczego? Kiedyś już z wami mieszkałem.

Właśnie dlatego. Kilka lat temu, kiedy dom Mońka poddano chemicznemu odkażaniu, Monk na krótko z nami zamieszkał i muszę powiedzieć, że przeszły - śmy wtedy przez piekło.

Miałam wystarczająco dużo stresów i kłopotów na głowie, żeby jeszcze przyjmować pod swój dach Mońka.

- Ponieważ pijemy mleko prosto z kartonu i jemy rękami - wyjaśniłam.

- To tylko kolejny dowód, że jestem tutaj potrzebny - stwierdził.

- Mam okres - pochwaliła się Julie.

- Ja też - powiedziałam szybko.

- I mój chomik - dorzuciła jeszcze Julie. - To samiczka.

Co prawda chomik Julie zdechł parę lat wcześniej, ale Monk nie musiał się o tym dowiadywać.

Monk zamrugał nerwowo i odsunął się od nas parę kroków, jakby menstruacja była zaraźliwa.

- Co ja zrobię, co ja zrobię? Dokąd ja teraz pójdę? - biadolił.

- Może na jakiś czas wprowadzi się pan do brata? - zasugerowałam.

- Nigdy w życiu. Tego mi jeszcze trzeba, żebym mieszkał pod jednym dachem z wariatem.

Dobrze wiedziałam, co czuł. Wpadliśmy po uszy i powoli wyczerpywały się nasze nieliczne opcje. Wówczas przypomniałam sobie, dzięki komu znaleźliśmy się w takiej koszmarnej sytuacji, i już wiedziałam, gdzie Monk będzie mógł zamieszkać.

- Niech się pan nie martwi, panie Monk - uspokoiłam go, biorąc do ręki torebkę i kluczyki samochodowe. - Mam pomysł.

Było już zbyt późno, aby kupować Monkowi rzeczy na zmianę w jego ulubionym sklepie z męską garderobą, ale nie aż tak późno, żeby w sklepiku spożywczym na naszej ulicy nie kupić szczoteczki do zębów, paru przyborów toaletowych, lizolu, wybielacza, paczki wilgotnych chusteczek, chleba Wonder Bread i innych rzeczy niezbędnych człowiekowi do przetrwania.

Kupiliśmy też parę butelek z wodą, ponieważ nawet Monk wiedział, że coś trzeba pić (woda z kranu absolutnie nie wchodziła w grę). Jednak zamierzał przedsięwziąć daleko idące kroki w celu uzdatnienia wody, a potem pić ją w możliwie najmniejszych ilościach, aby jak najbardziej ograniczyć ryzyko zachorowania.

Tuż przed północą zatrzymaliśmy się przed szarym, pozbawionym wszelkiego uroku kompleksem niedużych trzypiętrowych budynków mieszkalnych. Była to tania blokowa zabudowa z miejscami garażowymi, z końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, realizowana w rewitalizowanej części Mission District, mniej więcej pośrodku między Civic Center a kwaterą główną policji.

Zaparkowałam na zakazie przed domem, wysiedliśmy z samochodu, wzięliśmy pękate torby z zakupami i podeszliśmy do głównego wejścia. Odszukałam numer mieszkania i całą mocą napałam na przycisk domofonu. Po chwili zaanonsowałam swoje przybycie, jednak nie zdradzając słowem, że nie jestem sama. W przeciwnym razie, jak doszłam do wniosku, moglibyśmy nigdy nie wejść do budynku. Powiedziałam tylko, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Domofon zabuczał, pchnęłam drzwi, które łatwo ustąpiły, i szybko przeszliśmy dwoma ciągami schodów na pierwsze piętro.

Kiedy weszliśmy na schody, kapitan Stottlemeyer czekał na progu mieszkania, mając na sobie spodnie dresowe, jakiś Tshirt i przewiązany luźno w pasie szlafrok frotte. Najwyraźniej był już w łóżku, kiedy zadzwoniłam do drzwi.

- Nie mówiłaś, że jest z tobą Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Uups... To jest jakiś problem?

Stottlemeyer spojrzał na Mońka, a potem na mnie.

- Oczywiście, że nie. Tak tylko mówię. Cóż to za sprawa niecierpiąca zwłoki?

- Tymczasowo zostałem bezdomnym włóczęgą - odezwał się Monk.

- Wejdźcie. - Kapitan odsunął się o krok i wpuścił nas do środka.

Nigdy w życiu nie pojawiłabym się w tym mieszkaniu bez zapowiedzi. Zresztą byłam w nim dopiero trzeci raz od czasu, gdy kapitan kupił je parę lat temu, po rozwodzie. Zdecydował się na nie dlatego, że jego ówczesna partnerka była agentką nieruchomości, ona to miejsce znalazła i bardzo jej się ono spodobało. Kapitanowi zależało tylko na tym, żeby mieć blisko do pracy, żeby cena była w zasięgu jego możliwości finansowych i żeby w domu był dodatkowy pokój dla synów, którzy odwiedzali go w weekendy i święta.

Wnętrze mieszkania było wyjątkowo skąpo wyposażone, a umeblowane w surowym, bardzo męskim stylu. Z drzwi wchodziło się wprost do niewielkiego pokoju dziennego, w którym główne miejsca zajmowały kanapa ze sztucznej skóry, fotel ze sztucznej skóry z podnóżkiem ze sztucznej skóry oraz potężny ekran telewizora z podłączonymi konsolami gier Wii i PlayStation i odtwarzaczem DVD.

Pomieszczenie kuchenne oddzielone było od pokoju dziennego kontuarem, na którym z ulgą złożyliśmy nasze ciężkie torby.

- Przynieśliście coś na ząb?

- Niezbędne zaopatrzenie - wyjaśnił Monk, rozpakowując swoją torbę.

- Na co? - zapytał Stottlemeyer.

- Na okres pobytu.

- Jakiego pobytu?

- Pobytu pana Mońka - powiedziałam.

- Długo jeszcze będziemy tak rozmawiać? - chciał wiedzieć Stottlemeyer.

- Najwyżej parę minut - zapewniłam. - Potem ja wracam do domu, a pan Monk wprowadza się do pańskiego mieszkania.

- Chyba po moim trupie.

Oboje przyglądaliśmy się, jak Monk wyciąga z jednej z szafek kapitana czajniczek do herbaty, stawia go na kuchence i zaczyna przelewać do niego wodę z butelki, odwracając ze wstrętem głowę, jakby były to cuchnące ścieki.

- Pan Monk został eksmitowany, ponieważ Bob

Sebes nie opłacał jego czynszu - wyjaśniłam. - Gdzieś musi mieszkać, dopóki nie stanie na nogi.

- Dlaczego nie może mieszkać u ciebie?

- Mają krwotok - odezwał się Monk.

- Ze co? - Stottlemeyer nic nie rozumiał.

- Obie panie, i jeszcze na dodatek chomik. Niezbyt bezpieczna sytuacja.

Monk sięgnął po wybielacz, otworzył go i wycisnął parę kropel do czajniczka z wodą.

- A twój brat? Ma duży dom, w którym jest mnóstwo miejsca.

- Dom, z którego nie wychodził od blisko trzydziestu lat. Wiesz dlaczego?

- Bo cierpi na agorafobię - odrzekł kapitan.

- To tylko eleganckie określenie na to, że ma fi - ksumdyrdum. Chyba nie chciałbyś mieszkać w jednym domu z kompletnym wariatem, prawda?

Stottlemeyer rzucił mi wymowne spojrzenie.

- Nie. Zdecydowanie nie.

- Powiedział pan, kapitanie, że jeśli pan Monk będzie pana potrzebował, możemy się do pana zgłosić. Otóż właśnie pana potrzebuje.

Monk zapalił płomień pod czajniczką.

- Co robisz? - zapytał Stottlemeyer.

- Było za późno na kupienie tabletek uzdatniających wodę, więc muszę ją oczyścić samodzielnie. Jeśli doprowadzę wodę do wrzenia, będę ją gotował przez pięć minut, a potem schłodzę i przecedzę przez papierowy filtr do kawy, to powinna być na tyle czysta, aby przepłukać usta, a być może nawet przełknąć parę łyków.

Stottlemeyer spojrzał na mnie.

- Monk uzdatnia wodę mineralną - wyjaśnił.

- Widzę.

- Jest tutaj zaledwie od dwóch minut i proszę, co robi.

- Co dowodzi tylko tego, że nie sprawię tu żadnego kłopotu - powiedział Monk. -

Potrafię o siebie zadbać.

Stottlemeyer potarł skronie i westchnął ciężko.

- W porządku, Monk, umowa jest taka. Możesz u mnie zostać parę dni, dopóki nie staniesz na nogi.

- Dziękuję ci, Lelandzie.

- Ale... I to jest bardzo wielkie ALE... Nic, dosłownie NIC, nie będę zmieniał w swoim stylu życia, żeby się przystosować do twoich wymogów. Czy to jasne?

- Nie.

- Mój dom, moje zasady - orzekł krótko kapitan.

- Pokaż - powiedział Monk.

- Co mam pokazać?

- Zasady.

- Nie mam ich na piśmie.

- W takim razie jak możesz wymagać od innych, aby ich przestrzegali?

- Właściwie obowiązuje jedna zasada, Monk. Albo będzie tak, jak ja chcę, albo nie będzie w ogóle. Nie próbuj nic zmieniać ani w moim mieszkaniu, ani we mnie. Jestem, kim jestem, i nie chcę, żeby mój dom był zmonkowany.

Monk spojrział na mnie oniemiały.

Podniosłam brwi i wzruszyłam ramionami, udając, że jestem równie zbita z tropu jak on, choć wcale nie byłam. Doskonale wiedziałam, o czym mówił Stottlemeyer, dlatego nie chciałam, aby Monk kiedykolwiek jeszcze mieszkał w moim domu.

- Chodzi o to, że chcę, abyś w moim mieszkaniu nie czuł się jak u siebie w domu - wyjaśnił Stottle - meyer.

- Nie chcesz, żebym się czuł jak u siebie w domu?

- Właśnie, bo jeśli tak się nie poczujesz, to będę mógł mieć pewność, że nic u mnie nie zmon - kujesz.

Krótkim korytarzem Stottlemeyer poprowadził nas do pokoju gościnnego, w którym stały dwa pojedyncze łóżka i jedno biurko.

- Tu śpią moi synowie, gdy przyjeżdżają do mnie z wizytą - wyjaśnił. - Możesz sobie wybrać łóżko.

- Jest na nich świeża pościel?

- Oczywiście.

- Nikt na niej nie spał?

- Nikt na niej nie spał od czasu, gdy wróciła z pralni.

Monk przytaknął ze zrozumieniem.

- Zatem nie jest to świeża pościel.

- Jeśli pytasz, czy mam pościel nowiutką, prosto ze sklepu, nieotwartą, ciśnieniowo zafoliowaną, w oryginalnym opakowaniu, to niestety muszę cię zmartwić: nie, takiej nie mam.

Monk znowu przytaknął ze zrozumieniem.

- Więc gdzie będę spał?

- Masz do wyboru jedno z tych dwóch łóżek, kanapę, fotel, podłogę albo chodnik.

Monk odwrócił się do mnie i szepnął:

- Pomocy.

Poklepałam go po plecach.

- Będzie dobrze, panie Monk. Dobranoc.

Ruszyłam w kierunku wyjścia, a oni popędzili za mną.

- O której jutro będziesz? - zapytał mnie Monk.

- Nie wiem, czy w ogóle przyjdę, panie Monk - odpowiedziałam, otworzyłam drzwi i wyszłam na klatkę schodową.

Tam dogonił mnie Stottlemeyer.

- Co to znaczy? - zapytał.

- Zobaczymy, co się wydarzy.

- Ale co się ma wydarzyć?

Raz już taką konwersację dzisiaj odbyłam, więc nie miałam zamiaru do tego tematu wracać. I Monk, i Stottlemeyer przez jakiś czas mogli żyć beze mnie.

- Słodkich snów - powiedziałam, pokiwałam do niego koniuszkami palców i zbiegłam po schodach do wyjścia.

Detektyw Monk i niekończący się koszmar

Następnego dnia wyspałam się jak nigdy dotąd, a potem zrobiłam sobie czosnkowego rogalika z puszystym serkiem i zabrałam się do lektury porannej gazety. Julie przed wyjściem do pracy spotkała się na kawie z przyjaciółmi. Trochę żałowałam, że nie znalazła sobie na

lato bardziej rozwijającego zatrudnienia niż mycie samochodów, ale zdawałam sobie sprawę, jak wąski jest w ostatnim czasie rynek pracy. Obawiałam się, że jeszcze trochę i sama będę musiała chwycić za ścierki i dołączyć do Julie.

Zamiast cieszyć się czekającym mnie dniem pełnym samotności i odpoczynku, zaczęłam odczuwać narastający niepokój i jakieś mrowiące sensacje w żołądku, od których podskoczył mi puls i wyschło gardło.

Gdzie znajdę pracę? Czułam, że nie mam szczęścia i brakuje mi już inspiracji. Będę musiała po prostu przeszukiwać ogłoszenia w prasie i oferty na stronach internetowych, jak dziesiątki tysięcy innych mieszkańców całej aglomeracji San Francisco, którzy pozostają bez pracy.

Najpierw jednak muszę wystąpić z wnioskiem o zasiłek dla bezrobotnych. Paręset dolarów tygodniowo może się okazać decydującą różnicą między utrzymaniem a utratą domu. Przynajmniej miałam jeszcze dom, ale co zrobi Monk?

W tej chwili ktoś zapukał do moich drzwi. O wilku mowa... Otworzyłam je ze złością, pewna, że za progiem zobaczę Mońka. Ale to nie był on.

Przede mną stał kapitan Stottlemeyer.

- Musisz znaleźć dla Mońka inne lokum - zaczął prosto z mostu.

Stottlemeyer miał podkrążone oczy i zmierzwione włosy. Wyglądał, jakby zwlókł się z łóżka wprost w ubranie, nawet nie myśląc o porannym natrysku czy goleniu.

- Dlaczego ja muszę? - Ustąpiłam na bok i wpuściłam go do środka.

- Bo jesteś jego asystentką.

- Już nią nie jestem. Kto jak kto, ale pan powinien o tym dobrze wiedzieć.

- W porządku. W takim razie my musimy mu coś znaleźć, bo jeśli Monk zostanie u mnie jeszcze jeden dzień, to go zamorduję, co, sama przyznasz, może poważnie zaszkodzić karierze szefa wydziału zabójstw.

- Jak minęła noc? - zapytałam.

- A jak myślisz? - Stottlemeyer zaczął się przechadzać przed kanapą, z rękami w kieszeniach nie - wyprasowanych spodni.

- Nie wiem. Zarządził pan tak elementarne i sztywne reguły postępowania, że właściwie nie zostawiały one Monkowi wiele możliwości do brykania i narobienia kłopotów.

- Też tak myślałem. Kiedy wyszłaś, Monk chciał rozmawiać na temat morderstwa Haxby'ego, więc powiedziałem mu dobranoc i wróciłem do swojej sypialni.

- Jak miło z pana strony.

- A co miałem zrobić?

- Mógł pan z nim porozmawiać o jego problemach, okazać mu trochę sympatii i posłużyć mu radą. Ten człowiek stracił wszystko, co miał, poza panem i mną. Jest teraz bardzo wystraszony i jeszcze bardziej wrażliwy na ciosy.

- Jesteśmy mężczyznami. Nie siadamy i nie płaczemy nad losem. Działamy.

- Na przykład biegniecie do pokoju, zamykacie za sobą drzwi i chowacie głowę w poduszkę w nadziei, że problem sam się rozwiąże.

- Miałem wczoraj ciężki dzień, byłem wykończony.

Usiadłam na kanapie.

- Jak na razie nic mi nie mówi, aby miał pan szczególnie nieprzespaną noc.

- Piekło zaczęło się o świcie - wyjaśnił Stottle - meyer.

- Niezły tytuł do westernu.

- Raczej do filmu katastroficznego - odparł i opowiedział mi, co się stało.

Obudził się już o świcie, bo musiał iść do toalety. Na wpół przytomny, nienawykły do tego, że ktoś śpi u niego w ciągu tygodnia, Stottlemeyer kompletnie zapomniał o Monku.

Przeszedł do łazienki, stanął nad muszlą klozetową i zaczął siusiać, gdy nagle usłyszał potworny wrzask za plecami.

Kapitan też krzyknął z przerażenia, zrobił krok do tyłu i ze zdumieniem dostrzegł leżącego w wannie, kompletnie ubranego Monka.

- Co tu robisz? - Zszokowany odwrócił się z po - wrotem do klozetu i kontynuował siusianie.

- Przestań! - krzyczał Monk. - Na Boga wszechmogącego, przestań!

Dobrą chwilę zajęło Stottlemeyerowi uprzytomnienie sobie, co Monk robi w jego mieszkaniu, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego leży w wannie, skulony w pozycji embrionalnej, i ukrywa twarz w dłoniach.

- Ja siusiam, ty siusiasz, każdy siusia, Monk. Zwłaszcza we własnej toalecie.

- Ale nie w obecności innych!

- Mężczyzna bardzo często sika w obecności drugiego mężczyzny.

- Ale ci mężczyźni są zamknięci w domu wariatów, gdzie jest ich miejsce. To barbarzyństwo! To nieludzkie! To obrzydliwe!

Stottlemeyer spuścił wodę.

- Nigdy w życiu nie byłeś w męskiej toalecie i nie widziałeś rzędu pisuarów?

- Raz jeden - odpowiedział Monk.

- Nie korzystałeś z pisuaru?

- Nigdy!

- Ale chyba wiesz, co to jest i jak się z tego korzysta, prawda?
- Wiem też, co to jest kanibalizm, ale to nie oznacza, żebym zaczął go praktykować.
- Sam jesteś sobie winien, bo ukrywasz się w mojej łazience.
- Spałem - wyjaśnił Monk. - W każdym razie próbowałem zasnąć.
- W wannie?

- To zwarta przestrzeń, zamknięta włóknem szklanym i ceramicznymi kafelkami, osłonięta kotarą zapewniającą poczucie prywatności. Wannę Mogłem dokładnie wyczyścić przy niewielkim wysiłku. Nawet nie przyszło mi do głowy, że wtargnie tu obłąkany barbarzyńca i zacznie oddawać mocz na ściany.

- Przestraszyłeś mnie - powiedział Stottleme - yer. - Zresztą, jak ci się wydaje, do czego służy muszla klozetowa? Do dekoracji?

- Powinieneś być przynajmniej zapukać!
- Drzwi były otwarte.

- Nic nie szkodzi! Każdy człowiek, zanim przystąpi do opróżnienia pęcherza, zobowiązany jest przedsięwziąć wszelkie środki zapobiegawcze, aby się upewnić, że nie narazi niewinnych świadków na fizyczną torturę lub dozgonną traumę.

- To moja łazienka - stwierdził sucho Stottle - meyer.
- To mój niekończący się koszmar.

W tym momencie nie wytrzymałam i wybuchnę - łąm śmiechem. Stottlemeyer zatrzymał się i spojrzał na mnie niechętnie.

- To nie jest zabawne, Natalie.
- To jest przezabawne.
- Nie, jeśli stajesz się ofiarą.

Przez chwilę łapałam oddech.

- W tym tkwi całe piękno. Zawsze ja jestem ofiarą. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło słyszeć takich opowieści z ust innych, w bezpiecznej odległości od Mońka.

Kapitan przytaknął i usiadł obok mnie.

- Trudno odmówić ci racji.
- Co robił Monk, jak pan go zostawiał?

- Pozwoliłem mu posprzątać mieszkanie, ale ostrzegłem, że bez mojej zgody niczego nie wolno mu wyrzucać - odpowiedział. - Musimy przeprowadzić g° z powrotem do jego mieszkania.

- Co pan proponuje? Pan Monk jest bankrutem i zalega z czynszem od trzech miesięcy.

- Wynajmij adwokata. Właściciel mieszkania na pewno łamie przepisy.

- Pana Mońka nie stać na adwokata - odparłam. - Jeśli jest pan pewny, że właściciel łamie prawo, niech go pan aresztuje.

- Nie mogę.

- Ale on zapewne o tym nie wie. Może przynajmniej przekona go pan w ten sposób, żeby wpuścił Mońka do domu i pozwolił mu zabrać wodę, pościel i jakieś świeże rzeczy na zmianę.

Stottlemeyer spojrział na mnie z nadzieją.

- Tobie to się lepiej uda.

- Mnie? Pan jest barczysty, muskularny i ma odznakę policyjną.

- Ty masz ładną buzię i dekolt. Może nawet trafi ci się randka i dobry obiad.

- Ten facet nie ma zęba.

- Co z tego?

- Umówiłby się pan z kobietą, której brakuje zębów? - zapytałam.

- Zależy, ilu by jej brakowało.

- Taki pan zdesperowany?

Stottlemeyer westchnął głośno i wstał.

- Niestety tak.

- Dobrze. Porozmawiam z właścicielem, ale robię to tylko dlatego, że mi pana żal.

- Dziękuję, Natalie.

- Ale jeśli nic nie uzyskam, będzie pana kolej.

- Umowa stoi. - Stottlemeyer skierował się do wyjścia. - Ja tymczasem podzwonię trochę i zobaczę, Czy nie uda mi się znaleźć kancelarii prawnej, która udzieliłaby Monkowi darmowej porady.

Wstałam z kanapy i podeszłam do drzwi, aby go wypuścić.

- Naprawdę zrobi pan to dla niego?

- Dla Mońka gotów jestem podłożyć głowę pod topór - odpowiedział Stottlemeyer i wyszedł.

Wiedziałam, że choć jego słowa zabrzmiały osobliwie, to mówił to ze szczerego serca.

Pojechałam do mieszkania Mońka i spotkałam się z właścicielem budynku, Phoefem Suttonem, który zapewne stracił przedni ząb w wyniku bardzo celnego ciosu. Oczywiście nie mogłam tego wiedzieć na pewno, ale ponieważ sama miałam ochotę dać mu w zęby, to pomyślałam sobie, że ktoś przede mną nie oparł się takiej pokusie.

Sutton był mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat, na nosie miał okulary w szylkretowej oprawce, ubrany był w markową koszulkę do gry w kręgle, spodnie typu cargo i jasne, płócienne tenisówki. Na bladych policzkach miał wypielęgnowany zarost i robił wrażenie osoby, która bardzo się sobie podoba, co tylko wzmogło moją chęć, aby mu dołożyć.

Rozmawialiśmy u niego w mieszkaniu, którego ściany były obwieszane obrazami i plakatami z lat siedemdziesiątych i które umeblował sofami, lampami, krzesłami i stołami na modłę tamtej epoki.

Zdecydowanie odmówił mi zgody na wejście do mieszkania Mońka i zabranie paru jego rzeczy, pomimo zalotnego uśmiechu na mojej twarzy i rozpiętego guzika przy dekolcie.

- Pozbawienie tego niepoczytalnego osobnika dostępu do rzeczy osobistych ma na celu zmuszenie go do spłaty długu - wyjaśnił Phoef. - Wątpię, aby ten dusigrosz skłonny był zapłacić choć pół centa bez jakiegś formy nacisku.

- Był przecież dobrym lokatorem - powiedziałam. - Czystym, cichym, uprzejmym.

- Któregoś dnia pozrywał z drzwi mieszkaniowych w całym budynku nieparzyste cyfry, a kiedy go zapytałam, dlaczego to zrobił, odparł, że jego czyn niczym się nie różni od ratowania ludzi z płonącego budynku.

- To był incydent.

- Zbierał podpisy pod petycją o eksmisję mieszkającego nad nim sąsiada, tylko dlatego, że człowiek miał amputowaną jedną nogę.

- Rzeczywiście, może pan Monk popełnił parę drobnych błędów, ale nie ma pan prawa zamykać mieszkania i pozbawiać go rzeczy osobistych.

Phoef zaśmiał mi się w twarz.

- Gdyby miał pieniądze na prawników, to mógłby zapłacić również czynsz. Otworzę mu drzwi w dniu, w którym wpłynie zaległa zapłata, a na ulicy stanie ciężarówka do przeprowadzki. Jeśli do tego nie dojdzie, zlicytuję wszystkie jego rzeczy, żeby pokryć dług.

Nie dałam mu w zęby.

Za to zadziałałam w jedyny rozsądny i przemyślany sposób. Poczekałam, aż się ściemni, włamałam się do mieszkania Mońka, ukradłam z niego komplet pościeli, rzeczy na zmianę i wzięłam tyle butelek z wodą Summit Creek, ile tylko udało mi się udźwignąć.

Jeszcze tego samego wieczoru podrzuciłam je do mieszkania Stottlemeyera. Kapitan nie wrócił Jeszcze z posterunku, a Monk bardzo się ucieszył na mój widok. Miał na sobie fartuch kuchenny, a na dłoniach gumowe rękawiczki. Od razu zauważyłam, że wszystkie

meble odsunięte są pod ścianę, przy której stały również dziesiątki kartonów starannie oklejonych taśmą.

- Co to jest? - zapytałam, wskazując ręką pudła.

- Śmieci. Stottlemeyer nie pozwolił mi niczego wyrzucać bez jego zgody.

- Mam wrażenie, że zapakował pan do kartonów wszystko, co kapitan posiada.

- Dziś rano kapitan zalał mieszkanie. Doszło do toksycznego skażenia. Niczego nie udało się uratować. Na pewno nie chciałabyś o tym nic słyszeć.

Nie powiedziałam mu, że już o tym słyszałam, i ma absolutnie rację, iż nie chciałabym o tym więcej słyszeć. Wręczyłam Monkowi rzeczy, które ukradłam z jego mieszkania, ale skłamałam, że udało mi się przekonać Phoefa, aby wpuścił mnie do środka.

Monk pokiwał głową.

- Oto, co się stało. Pięścią zbiłaś szybę w oknie kuchennym na tyłach mieszkania, przykładając do niej ręcznik, żeby nie zranić ręki i żeby nikt nie słyszał odgłosu tłuczonego szkła. Potem odsunęłaś zasuwkę, otworzyłaś okno i weszłaś do środka. Zabrałaś tylko tyle, ile w ciągu dwóch minut udało ci się wziąć w obie ręce, a potem wymknęłaś się przez tylne drzwi.

Oślupiałam.

- Skąd pan to wie?

- To proste. Dowody same...

- Nieważne - przerwałam mu szybko. - Głupia jestem, że pana o to pytam.

- Nie chcesz posłuchać mojego podsumowania?

- To nie będzie konieczne, panie Monk. Z góry się przyznaję. Złapał mnie pan.

- Ale nie wiesz, w jaki sposób do tego doszedłem.

- To już mnie nie obchodzi - powiedziałam. - Zawiadomi pan policję?

- Zarzut włamania i rabunku może prowadzić do kary pozbawienia wolności, a w przyszłości także do pozbawienia cię szansy na znalezienie zatrudnienia, poza tym nie jesteś w pełni władz umysłowych i emocjonalnych z powodu trwającej u ciebie kobiecej przypadłości, więc nie zawiadomię policji.

- Co za ulga.

-...pod warunkiem, że pozwolisz mi dokonać podsumowania.

- Jesteśmy sami, panie Monk, nie ma nikogo, na kim mogłoby to zrobić wrażenie.

- Ty jesteś.

Pozwoliłam mu mówić dalej. Z radością w oczach, choć powiedziałabym raczej, że z prześmiewczą drwiną, wytknął mi wszystkie głupie błędy popełnione przeze mnie w czasie

przestępstwa, które uważałam za doskonałe. Nie ma jednak najmniejszego powodu, żebyście tego wysłuchiwali - i tak płonę ze wstydu.

To doświadczenie czegoś mnie jednak nauczyło. Wiem już teraz, jakie to uczucie być zdemaskowanym przez najgenialniejszego detektywa świata.

Upokarzające.

Do tego stopnia, że człowiek ma ochotę kogoś zamordować.

Jego.

Detektyw Monk pracuje za darmo

Zapomniałam wspomnieć, że po wyjściu z mieszkania Phoefa Suttona, a jeszcze przed włamaniem do mieszkania Mońka, całe popołudnie spędziłam u siebie przy stole w kuchni, poprawiając nasze CV.

Zanim zostałam asystentką Mońka, chwyciłam się tak wielu rozmaitych zajęć, że przy nieznaczących modyfikacjach moje CV pasowało właściwie do wymagań każdej oferty. Jednak CV Mońka wymagało prawdziwie twórczego talentu pisarskiego. Silniej podkreśliłam jego umiejętności, niezawodność, zwracanie uwagi na detale i umiłowanie czystości niż doświadczenie funkcjonariusza policji czy konsultanta wydziału zabójstw.

Jeśli składa się podanie o posadę sprzedawcy, urzędnika, sekretarza czy pracownika branży usługowej, to ludzi zatrudniających nowych pracowników nie interesuje tak naprawdę, ile trudnych śledztw przeprowadził kandydat. Natomiast doceniają takie cechy, jak czystość, wykształcenie, odpowiedzialność i inteligencję, a Monk posiadał wszystkie te atrybuty.

Kiedy późnym wieczorem wróciłam z mieszkania Stottlemeyera, usiadłam przed komputerem, połączyłam się z Internetem i wchodziłam na kolejne portale z ofertami pracy. Nasze podania zostawiałam pod każdą ofertą, która dotyczyła zatrudnienia w San Francisco i nie wymagała licencji, koncesji, stopni uniwersyteckich bądź długoletniego doświadczenia w danej branży zawodowej czy gospodarczej.

Prawdę mówiąc, nie dawało to wielu możliwości. Znalazłam na przykład ofertę pracy dla zmywacza naczyń w jednej z restauracji w Fisherman's Wharf. Pomyślałam, że Monk miałby duże szanse, gdyby tylko mógł się umówić na rozmowę kwalifikacyjną i pokazać, co potrafi w tej dziedzinie.

Ale wiedziałam też, że byłoby tragedią, gdyby Monk rzeczywiście dostał tę posadę. Jasne, cieszyłby się jak dziecko, gdyby mu pozwolono zmywać naczynia, ale zarabiałby tam marny grosz, a na dodatek marnowałby zdolności i wielki talent.

To po prostu niesprawiedliwe.

Przyląpałam się na tym, że marzy mi się, by w mieście pojawił się jakiś seryjny morderca i zaczął dziesiątkami mordować ludzi, wywołując taką falę paniki, że policja nie będzie miała innego wyjścia i znowu zatrudni Mońka.

Oto, jak nisko upadłam. Życzyłam ludziom masakry tylko po to, bym mogła odzyskać pracę i nie musiała się bać utraty domu.

Może jednak Monkowy sposób patrzenia na świat wcale nie był taki zły.

O północy zrezygnowałam ze składania podań

O coraz marniejsze posady, zamknęłam laptopa

I zmęczona, przygnębiona i pełna obaw powlokłam się do łóżka. Byłam pewna, że nigdy nie zasnę, tak szarpały mną nerwy. Ale nie minęło sześćdziesiąt sekund, a spałam kamiennym snem jak suseł.

Telefon zadzwonił dokładnie o godzinie 3.33 w nocy. Gdyby Monk zobaczył taką godzinę na cyfrowym wyświetlaczu swojego budzika, pomyślałby, że ma koszmar senny, i przerażony schowałby się pod kołdrę, czekając, aż zegar pokaże godzinę 4.44.

Ja jednak bezmyślnie odebrałam. Telefonował Stottlemeyer.

- Doszło do morderstwa w San Mateo - oznajmił. - Musisz do nas przyjechać.

- Do nas?

- Do mnie i Mońka - wyjaśnił. - Twierdzi, że nie może bez ciebie pracować.

- Znowu go pan zatrudnił jako konsultanta?

- Nie.

- Ojej, a to pech. Proszę przekazać Monkowi, że jeśli ma ochotę włączyć się za panem po mieście tylko po to, żeby w środku zimnej i ciemnej nocy obejrzeć cuchnącego trupa, to jest to wyłącznie jego głupia, autodestrukcyjna decyzja, nie moja. Będzie pan również łaskaw przypomnieć mu, że nie pracuję już u niego, ponieważ nie wypłaca mi pensji, a nie wypłaca mi pensji, ponieważ pan, człowiek, któremu Monk udziela teraz darmowych konsultacji, wyrzucił go z pracy. Miłej zabawy.

Rozłączyłam się i wtuliłam twarz w przyjemne, wygrzane wgłębienie poduszki. Zaczynałam już powoli zasypiać, kiedy telefon znowu zadzwonił. Chwyciłam go ze złością.

- Sam Mateo to nie pana jurysdykcja. - Odwróciłam twarz, ale wciąż trzymałam głowę na wygrzonym, miękkim miejscu.

- To prawda - potwierdził kapitan.

- Dlaczego więc to morderstwo jest aż tak bardzo wyjątkowe, że tuła się pan taki kawał drogi, a na dodatek pozwala jechać także Monkowi.

- Ofiara to Lincoln Clovis - wyjaśnił Stottlemeyer. - Księgowy Boba Sebesa, odpowiedzialny za audyt funduszu inwestycyjnego Reinier.

Wiele o nim czytałam. Na Clovisie ciążyło mnóstwo zarzutów, w tym zarzut oszustwa w obrocie papierami wartościowymi, a w wypadku udowodnienia ich wszystkich i wydania wyroku skazującego groziło mu sto lat więzienia.

Sebes wyrządził krzywdę zarówno biednym, jak bogatym, inwestorom indywidualnym, jak i funduszom emerytalnym czy instytucjom dobroczynnym. Było to przestępstwo, które oburzyło opinię publiczną nie tylko w San Francisco, ale w całym kraju. Wywierano ogromną presję na instytucje wymiaru sprawiedliwości, aby skutecznie dowiodły stawianych mu zarzutów. Nie było to jednak łatwe, skoro kolejni współwinni przestępstwa i potencjalni świadkowie oskarżenia padali ofiarą zabójstwa.

Ten, kto zamordował Haxby'ego i Clovisa - a zakładam, że była to jedna i ta sama osoba - nie był zwykłym seryjnym mordercą, w każdym razie nie takim, który terroryzuje wszystkich mieszkańców miasta. Niemniej jednak zdawałam sobie sprawę, że zdarzyło się coś, na co z nadzieją czekałam.

Presja, pod jaką policja musiała prowadzić dochodzenie w sprawie tych morderstw, i oczekiwanie, aby szybko odnaleźć sprawcę, były coraz silniejsze.

Departament policji wciąż nie płacił Monkowi, ale już niebawem władze mogą być tak zdesperowane, że ulegną, zwłaszcza gdyby Monk dokonał Przełomu w śledztwach, a potem odmówił dalszej współpracy, żądając wynagrodzenia (nawet gdybym musiała go w tym celu związać i zamknąć na strychu).

Będziemy ich mieli na muszce. Departament będzie musiał na powrót zatrudnić Mońka.

Tym razem nie rozłączyłam się. Zapytałam tylko o adres i powiedziałam Stottlemeyerowi, że zaraz przyjadę.

San Mateo to miasteczko na południowych peryferiach San Francisco, które dawno temu było częścią rozległych terenów przydzielonych przez koronę hiszpańską i nazywało się Rancho de las Pulgas - co znaczy po prostu „Ranczo Pcheł”. Uświadamiając Monkowi ten drobny i nieistotny szczegół historyczny, bez trudu mogłabym storpedować jego udział w śledztwie i obecność na miejscu zbrodni.

Ale nie jestem aż tak złośliwa.

Lincoln Clovis mieszkał w jednopiętrowym, klasycznym domu w stylu Cape Cod, z błękitnymi, zachodzącymi na siebie panelami ściennymi i biegnącą wokół budynku werandą, z której roztaczał się piękny widok na Mariner's Island i Seal Slough. Ulica była zastawiona

radiowozami i różnymi służbowymi pojazdami. Dom ogrodzono żółtą taśmą policyjną i oświetlono wieloma przenośnymi reflektorami niczym plan filmowy.

Przedstawiłam się stojącemu na ulicy nieumun - durowanemu funkcjonariuszowi policji, który zaprowadził mnie na tyły domu. Teren opadał tam łagodnym zboczem ku wodzie, nad której brzegiem znajdował się nieduży pomost na łódki.

Kapitan Stottlemeyer i Monk stali obok jakiejś kobiety. Była mniej więcej w moim wieku i miała smukłą budowę ciała niczym biegaczka czy balet - nica. Ubrana była zwyczajnie, miała na sobie tylko dzinsy i Tshirt, ale w jej kaburze z pistoletem i policyjnej odznace wpiętej za pas nie było już nic zwyczajnego.

Cała trójka spoglądała ku górze. Podążyłam za ich wzrokiem i zobaczyłam mężczyznę wiszącego na stryczku, uwiązany do grubej drewnianej balustrady na balkonie pierwszego piętra. Twarz miał rozdętą i ciemnoczerwoną, oczy dziwnie wytrzeszczone, a z otwartych ust wystawał mu obrzmiały język.

Poza niezaprzeczalnym faktem, że był martwy, Lincoln Clovis robił wrażenie człowieka wysportowanego i dobrze sytuowanego. Miał na sobie modne spodnie, elegancką koszulę i kaszmirowy sweter z trójkątnym wycięciem pod szyją. Na nadgarstku pobłyskiwał w sнопie światła rolex.

- Pani jest zapewne Natalie Teeger? - zapytała mnie policjantka, wyciągając do mnie rękę. - Kapitan Erin Cahill, wydział zabójstw San Mateo. Dziękuję, że pani przyjechała.

Podziękowanie wyraziła bez cienia ironii, jakby moje przybycie rzeczywiście było zaszczytem, a ja sama mogłabym służyć profesjonalną ekspertyzą w śledztwie.

- Obawiam się, że na niewiele się tu przydam - powiedziałam, ściskając jej dłoń.

Cahill skinęła głową w kierunku Mońka.

- Pan Monk uważa, że bardzo się pani przyda. Nie chciał, abyśmy cokolwiek mówili mu o tej sprawie pod pani nieobecność.

- Lubię, kiedy Natalie wie to samo, co ja wiem - Wyjaśnił Monk. - Czasami coś ujdzie mojej uwagi.

- Nic nigdy nie ujdzie twojej uwagi - powiedział Stottlemeyer. - Po prostu lubisz, jak ktoś ci usuwa przeszkody spod nóg.

- Jakie przeszkody? - Zaciekawiona Cahill zapytała Mońka, ale odpowiedział za niego Stottlemeyer.

- Ma ich długą listę. Kilka tomów, do których jest już sporządzony indeks. Kiedyś podarował mi taki zestaw na Boże Narodzenie.

- Na marginesie - wtrącił Monk. - Nie widziałem ich u ciebie w domu.

- Po rozwodzie przypadły mojej żonie - wyjaśnił kapitan. - Uwielbia je. Możemy się już skoncentrować na morderstwie?

Wzmianka o rozwodzie najwyraźniej zainteresowała policjantkę. Zmierzyła Stottlemeyera powłóczytym spojrzeniem, którego kapitan w ogóle nie zauważył. Mężczyźni to cymbały.

- Skąd pan wie, że to morderstwo, a nie samobójstwo? - zapytałam. - Clovis miał mnóstwo powodów, żeby odebrać sobie życie.

- Na przykład jakich? - zapytał Monk.

Cahill odwróciła się do niego.

- Pan nie wie, kim był Lincoln Clovis?

- Wiem już, że był księgowym Boba Sebesa - odpowiedział Monk. - Ale niczego więcej nie pozwoliłem kapitanowi powiedzieć przed przybyciem Natalie.

- Ja wiem, kim był Clovis, panie Monk - powiedziałam.

- Skąd?

- Bo jestem aktywnym członkiem społeczeństwa. Co dzień śledzę wiadomości i jestem dobrze poinformowana o sprawach, które mogą mieć wpływ na moje życie lub wzbogacić moją wiedzę o sobie i innych.

- To musi być strasznie męczące - orzekł Monk.

Cahill chrząknęła.

- Lincoln Clovis prowadził w galerii handlowej w San Mateo jednoosobowe biuro rachunkowe. Zanim trafił do niego Bob Sebes, żył z rozliczania podatku dochodowego każdemu, kto się do niego zgłosił.

- Nie wiem, w jaki sposób Sebes do niego trafił - odezwał się Stottlemeyer - ale wiem, że sfinansował Clovisowi zakup wysokiej jakości wyposażenia biurowego, a potem płacił mu dwieście tysięcy dolarów rocznie za fałszywe poświadczenia, że kontroluje księgi rachunkowe i nadzoruje inwestycje giełdowe.

- Czy Clovis wiedział, że ma do czynienia z piramidą w systemie argentyńskim? - dociekał Monk.

- Nie sądzę, aby Clovis kiedykolwiek zaglądał do ksiąg i dokumentów firmy, a jeśli zaglądał, to z pewnością nie. miał pojęcia, na co patrzy - stwierdził kapitan.

Monk przechylił głowę na bok.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ większość pieniędzy, które otrzymywał od Sebesa, inwestował w jego fundusz Reiniera, a nawet namawiał do tego krewnych i przyjaciół.

- Miał być rewidentem niezależnym - powiedziała Cahill. - Już więc sam fakt, że inwestował w fundusz i nakłaniał do tego innych, było naruszeniem prawa.

- Facet był imbecylem - podsumował krótko Stottlemeyer.

- Clovis nie tylko stracił wszystkie oszczędności - powiedziałam. - Ściągnął też na siebie perspektywę stu lat więzienia za współudział i krycie przestępczego procederu, którego sam padł ofiarą. To chyba wystarczający powód, żeby chcieć się powiesić, prawda?

- Nie powiesił się - stwierdził Monk.

- Skąd pan wie? - zapytała Cahill. - Lekarz sądowy jeszcze nie przyjechał, a technicy policyjni nie skończyli zbierać wszystkich śladów.

- Gdyby miał popełnić samobójstwo, stanąłby na balustradzie balkonu i skoczył w dół - wyjaśnił Monk. - Tymczasem w policzku i swetrze widać drobne drzazgi, świadczące o tym, że został przetoczony po balustradzie twarzą w dół.

Pani kapitan podeszła do zwłok i przyjrzała im się, mrużąc w skupieniu oczy.

- Niech mnie kule. Ma pan rację. Może sznur naprowadzi nas na trop?

- Nic z tego. Sznur pochodzi z jego łódki.

- Skąd pan wie? - zapytała Cahill.

- Ma dokładnie taką długość, jakiej potrzeba, aby przywiązać łodzie do knag na pomoście. - Monk uniósł rękę w kierunku wody. - A jego łódki nie ma.

- Jestem tu od chwili pana przybycia i nie widziałam, żeby pan mierzył odległość między knagami w łodzi i na pomoście. Skąd może pan wiedzieć, że długość jest taka sama?

- Przecież nie jestem ślepy.

- Mogę pani zagwarantować, pani kapitan, że pomiar dokonany gałką oczną Mońka jest równie precyzyjny jak ten dokonany miarą - zapewnił Stottle - meyer. - Co do centymetra.

- Nie pomyliłbym się aż o centymetr - zachnął się Monk. - Miej we mnie trochę wiary. Gestem ręki Cahill przywołała jednego z policjantów.

- Wyślijcie na lagunę łódź patrolową. Znajdźcie łódkę Clovisa, zabezpieczcie ją i niech ją obejrzy zespół techników.

Policjant skinął głową i odszedł. Cahill wbiła w Mońka długie spojrzenie, jakby był istotą pozaziemską. Odwróciłam się do Stottlemeyera.

- Kiedy pan do mnie dzwonił, twierdził pan, że Clovis został zamordowany, ale Monk dowiódł tego dopiero teraz. Dlaczego wyciągnął pan taki wniosek, nie mając żadnych dowodów?

- Wczoraj Clovis poszedł na ugodę i w zamian za łagodniejszy wyrok zgodził się zeznawać przeciwko Sebesowi. Miał dostać dziesięć lat w zakładzie o obniżonym rygorze. Poza tym to drugi świadek koronny w sprawie Sebesa, który stracił w tym tygodniu życie. Nie wydawało mi się, aby był to przypadek.

- Mnie też nie - stwierdziła Cahill. - Chętnie zdejmę to zabójstwo ze swojego biurka i zrzucę na pańskie.

- Dzięki... - mruknął Stottlemeyer.

- Nie chodzi o to, żeby nie obchodziła mnie śmierć jednego z obywateli miasta, ale budżet mamy okrojony, a zasoby ograniczone i wykorzystywane ponad miarę.

- Znam to uczucie - powiedział kapitan.

- Może moglibyśmy gdzieś razem ponarzekać na świat? - zapytała Cahill.

Taka sugestia najwyraźniej przestraszyła Stottlemeyera. Włożył ręce do kieszeni i zaczął się czemuś Przyglądać na wodzie.

- Dawno już nie narzekałem - stwierdził. - Jakoś me ma ku temu okazji.

- Na to również możemy ponarzekać - powiedziała Cahill.

Kiedy kapitan odwrócił do niej z powrotem głowę, na jego twarzy błąkał się uśmiech.

- Chętnie, pani kapitan.

- Proszę mówić do mnie Erin. - Wyciągnęła dłoń.

Wystawanie pod napuchniętym i purpurowym trupem kwadrans przed piątą rano, w towarzystwie techników i funkcjonariuszy policji, wydawało się mało romantyczną, a nawet dość niestosowną okolicznością na to, aby umawiać się na randkę. Ale może dlatego, że właśnie takie lub bardzo podobne okoliczności wypełniały niemal każdy ich dzień i noc, trudno im było znaleźć kogoś, z kim mogliby ponarzekać na świat. Wykonywali zawód samotników. Jeśli się dobrze zastanowić, to stał się on też moim zawodem, a ja również od bardzo dawna nie miałam z kim ponarzekać.

Monk niczego nie zauważył. Powoli obchodził teren, z palcami złożonymi w prostokąt obiektywu, wypatrując najmniejszej dysharmonii, a zarazem nie dostrzegając harmonii, jaką próbowali odnaleźć między sobą Stottlemeyer i Cahill.

- Clovis sam tu mieszkał? - zapytał Monk.

- Tak.

- Chciałbym zajrzeć do domu.

Policjantka poprowadziła nas ścieżką na front posiadłości. Kiedy podchodziliśmy do drzwi wejściowych, zaświtało mi w głowie pytanie.

- Skoro mieszka sam, kto znalazł ciało?

- Patrol. Sąsiedzi zadzwonili na policję, skarżąc się na nocne ujadanie psa, przez którego nie mogli zasnąć.

Weszliśmy do wnętrza domu, które przypominało starą, wyremontowaną restaurację z morskimi specjałami, z mnóstwem rybackich i żeglarskich atrybutów wiszących na ścianach. Monk zatrzymał się przy drzwiach i uważnie przyglądał się sterownikowi zabezpieczenia alarmowego.

- Alarm był włączony? - zapytał.

- Nie. Kiedy policja przyjechała, drzwi były otwarte.

- Zatem Clovis znał swojego zabójcę i nie czuł z jego strony zagrożenia - stwierdził Stottlemeyer. - Sam wpuścił go do środka.

- Ostatni głupi błąd - podsumowała Cahill.

Z obszernej sieni przechodziło się do otwartej kuchni i ogromnego pokoju dziennego z panoramicznymi oknami i wyjściem na okalającą dom werandę. Na podłodze leżał puszysty dywan, a przy ścianie stał masywny kamienny kominek, nad którym wisiał wypchany dwumetrowy miecznik. Nagle Monk zastygł i wydał z siebie krótki, pełen przerażenia pisk.

Powodem jego strachu był potężny dalmatyńczyk siedzący posłusznie na białej kanapie obok młodego policjanta, który trzymał go na smyczy i głaskał pieszczotliwie po łbie.

- Nie ma powodu do obaw - uspokoiła go pani kapitan. - Suczka jest bardzo łagodna. To ona siedziała na werandzie i ujadła, gdy nadjechał patrol. Kiedy policjanci do niej podeszli, podbiegła do nich, łąsała się i przyjaźnie ich lizała.

- Co z nimi? - zapytał Monk.

- Z kim?

- Z policjantami.

- Jeden z nich siedzi na kanapie - odpowiedziała

Cahill.

Policjant na kanapie pomachał ręką. Przystojny chłopak. Wydawało się, że nie ma dość lat, by wypić w knajpie drinka. Miałam ochotę ponarzekać z nim trochę na świat.

- Dlaczego nie pojechał do szpitala? - zapytał Monk.

- Nic mu nie jest. Nie jest ranny.

- Polizało go dzikie zwierzę. Policjant może czuć się całkiem dobrze, ale za parę dni, kiedy z pianą na ustach wybiegnie na ulice i zacznie strzelać do przechodniów, będzie pani gorzko żałować, że mnie nie posłuchała.

Monk podniósł dłonie i zaczął uważnie rozglądać się po pokoju, biorąc sobie głęboko do serca, by ani przez krótką chwilę nie ustawić się tyłem do psa.

- Lepiej niech pan pojedzie się przebadać - powiedziałam do policjanta. - Ja się zajmę psem.

Policjant rzucił niepewne spojrzenie w kierunku Cahill, która skinęła przyzwalająco głową.

- Tak jest, pani kapitan.

Policjant wstał i wyszedł z pokoju, a ja usiadłam obok psa i wzięłam do ręki smycz.

- Usuwanie przeszkód... - szepnął Stottlemeyer do Cahill.

- Zauważyłeś coś? - zapytał go Monk.

- Mówiłem tylko kapitan Cahill, że brak tu śladów walki. Wydaje się, że wszędzie panuje ład.

- Jest jeden wielki chaos. - Monk przykucnął przed kominkiem i uważnie obejrzał narzędzia do paleniska zrobione z kutego żelaza, z których każde wisiało osobno na specjalnym stojaku.

- Gdzie?

- Na kanapie. Zwierzaka trzeba będzie poddać eutanazji.

- Dlaczego?

- Proszę tylko spojrzeć - powiedział Monk. - To już agonia.

- Wydaje mi się, że jest w zupełnie dobrej formie - powiedziała pani kapitan.

- Jak można tak mówić? - Monk chodził po pokoju z wyciągniętymi dłońmi, raz po raz zerkając z obawą w stronę suczki. - To jeden wielki nieład, ona nie jest ani czarna, ani biała, pokrywa ją schizofreniczna powłoka. Proszę sobie wyobrazić, jak ona się czuje.

- Zabita będzie się czuła dużo gorzej - rzuciłam.

- Szczerze wątpię.

Cahill patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Nie może pan uspić psa tylko dlatego, że ma nieregularne plamki na sierści.

- Skrócenie temu stworzeniu cierpień będzie aktem miłosierdzia.

- To ty cierpisz, Monk - powiedział Stottleme - yer. - Nie pies.

Nagle Monk stanął jak wryty, jakby nastąpił na minę ładową.

- Niech nikt się nie rusza - rozkazał.

- Co się stało? - Zaniepokojona policjantka instynktownie sięgnęła do kabury.

- Mam na sobie psa - oznajmił Monk. - Wy prawdopodobnie też. Najważniejsze to nie wpadać w panikę.

Rzuciłam okiem na spodnie Mońka i zobaczyłam przylegające do nogawki, drobne włoski. Stottleme - yer spojrzął na swoje spodnie i odruchowo strzepnął Parę kłaczków.

- Co robisz?! - krzyknął przerażony Monk. - Czy ty straciłeś rozum? Chcesz, żebyśmy wszyscy umarli?

- W czym problem? - zapytał Stottlemeyer niewinnym głosem.

- Teraz włoski i pyłki sierści krążą w powietrzu.

- Pyłki sierści? - zdziwiła się Cahill.

- Są jak azbest - mówił Monk. - Tyle że z dodanym psem.

- Z dodanym psem? - zapytała znowu pani kapitan.

- Po prostu stójcie w miejscu i czekajcie na pomoc. I starajcie się nie oddychać.

Przez chwilę staliśmy wszyscy w bezruchu i głuchym milczeniu.

- Czy ktoś wreszcie wezwie pomoc? - zapytał Monk.

- Pod warunkiem, że nam powiesz, co się stało z Lincolnem Clovisem.

- Przy mówieniu konieczne jest oddychanie - zauważył Monk.

- Zakryjcie nos i usta dłonią - poradził mu kapitan.

Wszyscy zakryli nosy i usta, poza samym Stottle - meyerem.

- Oto, co się stało - zaczął Monk stłumionym głosem, z ręką na ustach. - Sebes uderzył Clovisa od tyłu w głowę szufelką do wybierania popiołu i zaciągnął go na werandę. Uwiązał linę do balustrady, zadzierzgnął pętlę na szyi Clovisa, wtaszczył go na balustradę, a potem sturlał ciało w dół. Nie zakrywasz nosa i ust, kapitanie.

- Mam sumiaste wąsy - powiedział Stottleme - yer. - Doskonale filtrują psie pyłki.

- Skąd pan wie, że to Bob Sebes? - zapytała Cahill.

- Nie wie - odpowiedział za Mońka Stottleme - yer. - Sebes znajduje się pod stałą obserwacją, a jego ruchy są monitorowane przez czujnik elektroniczny. Ten człowiek nie wychodzi w ogóle z domu.

- To był Bob Sebes - upierał się Monk.

- Obroza z systemem GPS zamontowana na nodze jest fabrycznie zabezpieczona przed otwarciem, przed willą stoją dziesiątki policjantów, a wokół koczują setki fotoreporterów. To nie mógł być Sebes.

- To był on.

- Skąd w ogóle wiesz, że Clovis został uderzony szufelką do wybierania popiołu? - zapytał Stottleme - yer, zmieniając nagle temat. - Nie widzę na niej śladów krwi.

- Ani kurzu - dodał Monk.

- Co ma do tego kurz? - zapytała Cahill.

- Clovis od wieków nie rozpałał w kominku - wyjaśnił Monk. - Na bierwionach w koszu i narzędziach do paleniska zalega warstwa kurzu, ale na szufelce nie.

- Niech mnie kule - powiedziała Cahill.

- Teraz wezwiecie pomoc? - jęknął boleściwie Monk. - Proszę.

Detektyw Monk i wspólna chwila

Z ratunkiem, bardzo zresztą opieszalym, przyszli Monkowi dwaj technicy policyjni uzbrojeni w pędzelki, którymi usunęli mu z nogawki psią sierść, i w rolkę folii, którą rozpostarli na dywanie, abyśmy mogli bezpiecznie przejść do wyjścia.

Monk się uparł, aby towarzyszyć Stottlemeyerowi w drodze powrotnej na posterunek w San Francisco, ponieważ osobiście chciał przejrzeć zapis monitoringu GPS z obroży Boba Sebesa. Kapitan jeszcze z drogi zatelefonował do policyjnego eksperta, zrywając go z łóżka i prosząc, aby przyjechał na posterunek i pomógł odczytać zapisane dane.

Na posterunku czekał już na nas porucznik Disher, jak na tę porę zaskakująco rażny i czujny, a wraz z nim Ingo Koenig, młody mężczyzna z rozczochranymi włosami, oczami zapuchniętymi od snu i szyją, która wydawała się zbyt krótka i wąska, aby podtrzymywać tak wielką głowę. Wyglądał jak Charlie Brown żywcem wyjęty z komiksu tyle że bez żółtej koszulki z zygzakowatym paskiem.

Siedzieli przy biurku Dishera pochyleni nad laptopem. Na monitorze otwartych było kilka okienek. Na jednym widać było mapę dzielnicy Pacific Heights, drugie pokazywało wielobarwny wykres przypominający zapis EKG, na następnym widziałam jakieś gołe statystyki, które kompletnie nic mi nie mówiły, a kolejne wydawało się odwzorowywać jakąś chronologiczną sekwencję zdarzeń.

Stottlemeyer przedstawił wszystkich, a potem poprosił Inga, aby opowiedział coś w paru słowach o urządzeniu monitorującym oraz elektronicznej obroży, którą Sebes miał na nodze.

- Sędzia z pewnością wsadziłby Sebesa za kratki, gdyby adwokat nie przekonał go, że Triax XG7 8210 jest najlepszą ze wszystkich, doskonale zabezpieczoną przed demontażem, technologią monitoringu tego typu - tłumaczył Ingo.

- Nic nigdy nie jest doskonale zabezpieczone - stwierdził Monk.

- Cóż, jak przypuszczam można owinąć obrożę folią aluminiową czy ołowianą, aby zakłócić wysyłanie z nadajnika sygnału radiowego. Zapewne można również przeciąć obrożę przegubowymi szczypcami tnącymi bądź palnikiem albo zwyczajnie zdjąć po otwarciu kluczykiem, jeżeli się go posiada.

- Jak więc może pan mówić, że obroża jest doskonale zabezpieczona? - zapytał Monk.

- Bo całe piękno modelu Triax XG7 8210 tkwi w tym, że nawet najmniejsza próba manipulowania przy nadajniku zostanie natychmiast wychwycona. Między nogą a urządzeniem działa podczerwień. Jeśli spróbuje pan cokolwiek wsunąć za obrozę lub w jakiś sposób oddalić ją fizycznie od nogi poza nadany z góry zakres, w ułamku sekundy będziemy zaalarmowani. Jeśli obroza zostanie przecięta, złamana lub otwarta kluczem, również zostaniemy zaalarmowani. Jeśli zakłócona zostanie transmisja sygnału, charakterystycznego dla jednego, konkretno egzemplarza, także będziemy zaalarmowani.

To jednak tylko cząstka niezwykłych właściwości modelu Triax XG7 8210...

Następnie, z pasją graniczącą z nabożnym uwielbieniem, Ingo zaczął wyjaśniać dalsze zalety Triaksa XG7 8210. Dowiedzieliśmy się na przykład, że urządzenie wykorzystuje technologię GPS nie tylko do śledzenia każdego ruchu monitorowanego przestępcy, ale również do egzekwowania stref nakazu i zakazu.

Jeśli na przykład dana osoba ma wyrok za molestowanie seksualne lub uporczywe nękanie i obowiązuje ją zakaz zbliżania się na odległość pięciuset metrów do szkoły, jakiegoś określonego domu czy siedziby firmy, urządzenie zaalarmuje stróżów prawa w sekundzie, w której monitorowany przestępca przekroczy granicę „strefy zakazu” lub tylko się do niej zbliży. Sebes jest przetrzymywany w areszcie domowym, zatem sygnał z jego obroży zaalarmuje policję w momencie, kiedy przekroczy granicę swojej posiadłości, czyli, jak nazwał to Ingo, granicę „strefy nakazu”.

Urządzenie potrafi też przeanalizować zmiany skórne i pot, aby odczytać zażycie przez monitorowanego przestępcę narkotyków czy alkoholu.

- Niektórzy zamawiają sobie takie cacka w sklepie wysyłkowym, aby kontrolować szczególnie niesforne dzieciaki lub niewiernych współmałżonków - powiedział Ingo.

Nietrudno było mi zrozumieć taką pokusę. Gdyby Julie miała na swojej nodze Triaksa XG7 8210, byłabym o nią o wiele spokojniejsza.

- Krótko mówiąc, gdyby Bob Sebes usiłował manipulować przy swojej obroży, wiedziałbyś o tym?” zapytał Stottlemeyer.

- Nie tylko ja, ale też pół tuzina formacji, które dzień i noc śledzą miejsce jego pobytu - odpowiedział Ingo. - Ale nawet gdybyśmy nie siedzieli przy monitorach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez okrągły tydzień, to urządzenie jest tak skonfigurowane, że w wypadku naruszenia protokołu danych system automatycznie telefonuje do mnie do domu.

- Mieliście już jakieś alarmy? - zapytał kapitan. - Sebes próbował w jakiś sposób manipulować obrożą?

- Dotychczas nie zarejestrowaliśmy nieprawidłowości. - Jakby dla potwierdzenia swoich słów Ingo wskazał ręką monitor laptopa.

Kapitan kiwnął lekko głową.

- Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Sebes wychodził z domu?

- Nie wychodził. Mogę wam dokładnie powiedzieć, w których pokojach przebywał w tym czasie.

Stottlemeyer odwrócił się do Monka z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

- Widzisz, Monk? Nie ma fizycznej możliwości, aby to Sebes był mordercą. Możesz przestać o nim myśleć i otworzyć wreszcie głowę na innych podejrzanych.

Monk przechylił głowę z boku na bok, a potem przysunął palec do ekranu monitora i wskazał jakieś załamanie na wydawałoby się równej linii wykresu.

- Co to za nagły spadek? - zapytał. - Mniej więcej o dziesiątej czterdzieści pięć wczoraj wieczorem?

- Sebes wypił drinka, może dwa - odpowiedział Ingo. - W systemie urządzenia zapomnieliśmy wyłączyć funkcję wykrywania alkoholu.

- Jaki to mógł być drink? - pytał dalej Monk.

- Sądząc po śladach etanolu wykrytych przez urządzenie, powiedziałbym, że mocne martini albo parę lampek wina.

Raptem na karku poczułam łaskotliwe mrowienie nagłego olśnienia, jakby ktoś za moimi plecami dmuchnął mi delikatnie na skórę na szyi.

- Co za różnica, czego się napił Sebes? - wtrącił się Disher. - Przecież nie trzymamy go za opilstwo.

Monk się uśmiechnął. I wszyscy w pokoju, może poza Koenigiem, dobrze wiedzieli, co ten uśmiech oznacza. Zwłaszcza ja, bo jakimś cudem, w tym samym momencie dokonałam tego samego skojarzenia co Monk.

- To dowodzi, że Bob Sebes nie przebywał o tej porze w domu - zawyrokował Monk. - I że zabił Lincolna Clovisa.

Stottlemeyerowi bardzo zależało, żeby cała nasza piątka złożyła wizytę Sebesowi, nie przyciągając uwagi reporterów koczujących pod jego willą, ale Monk to uniemożliwił.

Odmówił wejścia do wnętrza domu, o którym nie wyrażał się inaczej niż „wylęgarnia zarazków tinea pedis”, nie mając na sobie białego kombinezону ochronnego, gumowych rękawiczek, gogli i wysokich butów, czyli ubioru, jaki noszą technicy policyjni badający miejsce przestępstwa. Monk wypożyczył więc taki ubiór z laboratorium kryminalistycznego i miał go na sobie, kiedy przechodziliśmy przez bramę posesji.

Anna Sebes wychodziła akurat z domu, ale widząc naszą grupę i laboratoryjny strój Mońka, zmieniła plany. Trzeba jej oddać, że widok grupy policyjnych detektywów o smutnych twarzach, a wśród nich technika przygotowanego do zebrania dowodów rzeczowych na progu domu, istotnie nie mógł się kojarzyć z niczym dobrym. Najwyraźniej też nie spodobało się jej nagłe poruszenie wśród dziennikarzy, którzy zaczęli wykrzykiwać w naszą stronę jakieś pytania i przepychać się pod bramą w walce o jak najlepsze miejsce do zrobienia zdjęcia.

- Czy ten ubiór rzeczywiście jest niezbędny? - zapytała z powątpiewaniem pani Sebes.

- Można odnieść wrażenie, że doszło tu do Bóg wie jakiej zbrodni.

- Bo doszło - odpowiedział Monk.

- Mój mąż jest niewinny - oznajmiła Anna Sebes. - Nie jest ani oszustem, ani zabójcą.

- Pani mąż jest zarazą. Gdyby miała pani rozum, również włożyłaby pani na siebie taki kombinezon.

Z widoczną niechęcią wprowadziła nas do domu: kapitana Stottlemeyera, Dishera, Inga, Mońka i mnie.

Bob siedział na kanapie w pokoju wypoczynkowym. Oglądał na plazmowym ekranie teleturniej „Grasz czy nie grasz?” i trzymał bose stopy na stoliku przed sobą. W pokoju znajdowało się mnóstwo sportowych pamiątek i starych plakatów filmowych, którym Ingo zaczął się z zainteresowaniem przyglądać, jakby się znalazł w muzeum. Pod ścianą stał bufet z przekąskami, maszyna do prażenia popcornu, automat do zimnych napojów i szklana waza wypełniona słodyczami. Ten, kto twierdził, że przestępstwo nie popłaca, najwidoczniej nigdy nie poznał Boba Sebesa.

- Mam nadzieję, że nie jada pan prosto ze stołu. - Monk wyciągnął dłoń, aby przesłonić sobie widok bosych, chropowatych, pokrytych pęcherzami stóp Sebesa.

Bob wyłączył pilotem telewizor, ale nie wstał z kanapy.

- Czym mogę dzisiaj państwu służyć? - zapytał.

- Przyjechaliśmy w sprawie zabójstwa Lincolna Clovisa - wyjaśnił kapitan.

- Słyszałem o tym w porannych wiadomościach. Ktoś usilnie stara się zamknąć mnie w więzieniu.

Monk uniósł rękę.

- Zapewne chodzi o mnie.

- Mam na myśli tego, kto morduje tych ludzi. To oni są sprawcami przestępstw, o które jestem bezzasadnie oskarżany - poskarżył się Sebes. - Chodzi mu tylko o zatarcie własnych śladów i wrobienie mnie w zbrodnię.

- To pan zabił Russella Haxby'ego i Lincolna Clo - visa - stwierdził Monk.

- Jeśli się nie mylę, Haxby został zamordowany w okręgu Marina, Clovis w San Mateo, a ja siedzę tutaj w areszcie domowym. Niby jak miałbym któregokolwiek z nich zabić?

- Wczoraj wieczorem pana tu nie było - powiedział Monk.

- W ogóle stąd nie wychodzę. Ale nie musi mi pan wierzyć. Niech pan zapyta tego człowieka. - Bob wskazał palcem Inga, który stał do nas plecami i pochłonięty był oglądaniem baseballowej rękawicy oprawionej w grubą ramę.

Stottlemeyer klepnął Inga w ramię. Koenig obrócił się do nas na pięcie.

- Najmocniej przepraszam. Podziwiałem właśnie pańskie zbiory. Czy ta rękawica rzeczywiście należała do Williego Maysa?

- Zapomnij o rękawicy - upomniał go kapitan. - Sprawdź obrożę.

Ingo ruszył w kierunku Sebesa, gdy Monk wydał nagle z siebie przeraźliwy okrzyk.

- Nie!

Ingo zastygł.

- Co się stało?

- Chcesz zginąć? - zapytał Monk. - Nie możesz się zbliżyć do jego nóg bez stroju ochronnego. Ja mam na sobie kombinezon, ale i tak bym do nich nie podszedł.

Ingo westchnął.

- Właściwie stąd zupełnie dobrze widzę Triaksa XG7 8210. Nikt nie grzebał przy urządzeniu. Wiedziałem to już, zanim wyjechaliśmy z posterunku. Nie wiem, po co tu przyjeżdżaliśmy.

- Aresztować mordercę - powiedział Monk.

- Przecież słyszy pan, że nie wychodziłem z domu - zniecierpliwiał się Sebes.

- Usłyszałem tylko, że nikt nie manipulował przy obroży - odparł Monk. - To nie jest to samo.

- Właściwie to jest to samo - wtrącił Ingo.

- Wiem, że nie było tu pana wczoraj wieczorem - nie ustępował Monk. - Ponieważ jest pan tutaj teraz.

Stottlemeyer podrapał się po głowie.

- Monk, to, co mówisz, zdaje się kompletnie nie mieć sensu.

- Tak się cieszę, że pan to powiedział, kapitanie - odezwał się z ulgą w głosie Disher. - Pomyślałem zupełnie to samo.

- A ja rozumiem, o co chodzi panu Monkowi - odezwałam się.

- Rozumiesz? - zapytał Stottlemeyer.

- Owszem - przytaknęłam. - To proste. Bob Se - bes nie mógł tutaj być wczoraj wieczorem, a dowodzi tego właśnie ta elektroniczna obroża.

- Sama sobie przeczysz - powiedział Disher.

- Wcale nie. Niech im pan wyjaśni, panie Monk.

Wtedy Monk zrobił coś niezwykłego. Pokręcił głową i uśmiechnął się do mnie.

- Ty im powiedz, Natalie.

- Ale to pańska chwila.

- To nasza wspólna chwila. Rozumiesz moje myśli. Czy wiesz, od jak dawna pragnę, aby ktoś zrozumiał, skąd pochodzę? Do tej pory coś takiego zdarzyło się tylko raz w moim życiu i myślałem już, że nigdy więcej tego nie doświadczę.

Nie byłem pewna, czy Monk właśnie wyznał mi miłość. Prawdopodobnie tak, ale zupełnie inną niż ta, którą obdarzał swoją żonę Trudy lub którą ja darzyłam Mitcha.

Ale wiedziałam, o co mu chodziło. Ja również byłem przejęta tym, że po raz pierwszy wszystkie elementy ułożyły się w mojej w głowie w całość w tej samej chwili co Monkowi. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy ani mnie, ani nikomu innemu, w każdym razie od śmierci Trudy. Nigdy nie mieliśmy pojęcia, jak Monk dochodził do ostatecznego rozwiązania zagadki, dopóki on sam nie postanowił wyłożyć nam całego obrazu zdarzeń.

- Bardzo proszę, Natalie - powiedział. - Podziel się ze wszystkimi tym, o czym oboje myślimy.

- Och, na miłość boską - odezwała się Anna. - Doprawdy nikogo nie interesuje, o czym sobie myślicie.

- Mnie interesuje. - Stottlemeyer zerknął na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, który, jak sądzę, mógł być zwykłą zazdrością.

Spojrzałam na Annę Sebes.

- Wiedziała pani, że Triax XG7 8210, urządzenie założone na nodze pani męża, nie tylko przekazuje informacje na temat miejsca jego pobytu, ale również ilości wypitego alkoholu.

- Co mnie to obchodzi? - odpowiedziała burkliwie, ale bardzo ją to obchodziło, a ja wiedziałam dlaczego.

- Powinno to panią bardzo obchodzić, ponieważ wczoraj wieczorem Bob wypił drinka, a jego organizm alergicznie reaguje na alkohol. Wystarczy mały kieliszek, żeby doszło do wstrząsu anafilak - tycznego, jak to się przydarzyło państwu kilka lat temu na jachcie na pełnym morzu.

- Powinieneś nie żyć - powiedział Monk do Boba. - Skoro jednak żyjesz i nikt nie wzywał wczoraj karetki pogotowia, aby ratować ci życie, znaczy to po prostu, że nie ty piłeś tego drinka czy wino.

- Zaraz, zaraz - przerwał Disher. - Chce pan powiedzieć, że Bob Sebes jakimś sposobem zdjął z nogi elektroniczną obrozę, włożył ją na nogę komuś innemu, wyszedł z domu niezauważony przez policjantów i hordę reporterów, zamordował Lincolna Clovi - sa i bezpiecznie wślizgnął się z powrotem do domu?

- Mówię tylko, że wczoraj wieczorem nie było tu Boba Sebesa, bo w przeciwnym razie by nie żył - stwierdził Monk. - Nie wiem, jak dokonał dezaktywacji systemu monitorującego, i nie wiem, w jaki sposób wyszedł z domu, a potem do niego wrócił.

- Nie dokonał dezaktywacji. - Ingo stanowczo pokręcił głową, nie dopuszczając takiej myśli do głowy. - To niemożliwe.

- Może w domu jest tajny tunel? - zasugerował Disher.

- Nie ma żadnego tunelu - odpowiedział Stottle - meyer.

- Skąd pan wie, kapitanie? Wejście do tunelu może być ukryte za przesuwany panel w ścianie, a uruchomić go może dyskretne poprawienie obrazu, zdjęcie książki z półki czy po prostu przyciśnięcie czegoś w odpowiednim miejscu. - Porucznik Disher zaczął się przechadzać po pokoju i sprawdzać swoją śmiałą teorię, opukując, naciskając, poprawiając i ciągnąc, co tylko się dało.

- Zauważylibyśmy każdą próbę manipulowania przy XG7 8210, zanim pan Sebes zdążyłby zdjąć obrozę z nogi - powiedział Ingo, kręcąc z przekonaniem głową; zdawało się, że jeszcze trochę, a zacznie tupać. - Czegoś takiego nie można zdjąć sobie z nogi i założyć komuś innemu. To po prostu niemożliwe. Tajny tunel nie wchodzi w grę.

- Mimo wszystko chciałbym go znaleźć - powiedział Disher.

Jedna rzecz uderzyła mnie podczas całej tej dyskusji. To mianowicie, że Bob Sebes absolutnie nie wyglądał na człowieka, któremu właśnie zarzucono morderstwo. Wydawał się rozproszony, jakby myślami przebywał w zupełnie innym świecie.

Coś jednak nie grało w naszej hipotezie, coś tu bardzo, bardzo nie grało.

- To jest tak żalosne, Adrianie, że właściwie śmieszne - powiedział beznamiętnie Bob.

- Tak zapamiętałe pragniesz mnie aresztować za morderstwa, których nie popełniłem, że uszło twojej uwagi najprostsze, zenująco proste, wyjaśnienie tego, co się stało.

- Co to takiego? - zapytał Monk.

- Byłem tu wczoraj wieczorem i to ja piłem drinka.

- Zatem dlaczego nie jesteś martwy?

- Chciałem umrzeć - wyznał smutnym głosem - ~ Anna mnie uratowała.

- Pańskiej żony wczoraj tu nie było - powiedział Disher, opukując ścianę. - Wyszła po południu i wróciła dopiero po północy.

Sebes przytaknął.

- Kiedy Anna wyszła z domu, zacząłem się zastanawiać nad wszystkimi błędami, które popełniłem, jak moje wybujałe ego i niepoświęcanie należytej uwagi interesom firmy dały Haxby'emu, Clovisowi i innym możliwość dokonania tak wielkiego oszustwa pod moim nosem. Moje życie, moja reputacja legły w gruzach. Stracę wszystko, co mam. Ale najgorsze ze wszystkiego jest piekło, przez które musi przechodzić Anna, osoba całkowicie postronna, miłość mojego życia. Uznałem, że mogę przynajmniej tyle dla niej zrobić, zakończyć jej gehennę i zostawić ją na świecie z tym, czego prokuratorzy jeszcze nie zdołali mi zabrać, z moją polisą na życie. Gdyby plan się powiódł, nie żyłbym na długo przed jej powrotem, a cały ten koszmar już by się dla mnie skończył.

Anna podeszła do męża, usiadła przy nim na kanapie i wzięła w dłoń jego rękę.

- Dla mnie koszmar dopiero by się zaczął. Nie winię cię za nic i nie chcę cię stracić, Bob. Razem przez to przejdziemy, bez względu na to, co nas czeka.

- Więc twierdzisz, że wypicie alkoholu było próbą samobójczą - powiedział Monk.

Stwierdzał rzecz oczywistą, ale moim zdaniem Po prostu głośno myślał, wypowiadał myśl, aby ją usłyszeć, głębiej się nad nią zastanowić i sprawdzić, Czy gdzieś nie brakuje elementu, który przywróciłby Porządek i wyjaśnił zagadkę.

Po policzkach Anny Sebes popłynęły łzy.

- Poszłam wczoraj do kina na dwie głupie komedie, żeby oderwać się na chwilę od rzeczywistości. Gdybym wiedziała, co Bob zamierza zrobić. Kiedy przyszłam, leżał na podłodze z obrzękniętą twarzą, a na stoliczku stała pusta szklanka po martini. Byłam przerażona. Na szczęście zawsze noszę przy sobie zestaw EpiPens, tak na wszelki wypadek, choćby po to, gdyby jakiś głupiec dodał wina do sosu w restauracji. Wstrzyknęłam mu wszystkie naboje, jakie miałam w torebce, i Bob powoli doszedł do siebie.

Wiedziałam, co to jest EpiPens. Jedna z moich przyjaciółek była uczulona na użądlenie osy i zawsze miała przy sobie taki zestaw. Były to odmierzone dawki epinefryny w automatycznej strzykawce jednorazowego użytku, którą wystarczyło wbić sobie w udo, nawet przez dzinsy.

- Dlaczego nie wezwała pani pogotowia i nie zabrała męża do szpitala? - zapytałam. - Jego życie było poważnie zagrożone.

- Tego nam jeszcze było trzeba, żeby cały świat nas wyśmiewał, słysząc o próbie samobójczej Boba. Media zrobiłyby z tego przyznanie się do winy.

- Czuję się winny - powiedział jej mąż. - Ale nie zdefraudowania dwóch miliardów dolarów ani zamordowania dwóch osób. Nie zrobiłem tego. Moją zbrodnią były pycha i głupota.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i przechylił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Nie. To jednak ty zabiłeś.

Ja też w to wierzyłam, mimo że nie potrafiłam tego udowodnić.

- Wyjaśnienie Boba Sebesa wydaje się dużo bardziej logiczne niż pańskie - powiedział Ingo.

- Skończ już - powiedział do Inga kapitan Stottle - meyer.

- Ale on rzucił oszczerstwo na Triaksa XG7 8210. To nikomu nie może ująć płazem. To jest...

- Dostyc, wyjdź już stąd - przerwał mu Stottle - meyer. - I nikomu ani słowa o tym, co tu dzisiaj usłyszałeś, zwłaszcza dziennikarzom. Wyraziłem się dostatecznie jasno?

Ingo kiwnął głową i posłusznie wyszedł.

Stottlemeyer odwrócił się do Dishera.

- Możesz już przestać opukiwać ściany, Randy.

- Ale nie znalazłem jeszcze tajnego przejścia.

- Bo nie ma żadnego przejścia.

- Może jest w podłodze - zastanowił się porucznik i zaczął udeptywać podłogę.

Stottlemeyer chwycił go za ramię.

- Przestań. Stój i nie ruszaj się. Wyjmij z kieszeni swój notes z długopisem i rób to, co zawsze robisz, zwykłe notatki.

Disher zrobił, jak mu kazał kapitan.

Stottlemeyer wziął głęboki wdech i odwrócił się do Boba i Anny Sebesów.

- Znacie kogoś, komu mogło zależeć na śmierci Lincolna Clovisa?

- Jego. - Monk wymierzył palec w Boba Sebesa.

Stottlemeyer westchnął.

- Nie mówiłem do ciebie, Monk. Czas, żebyś też już sobie poszedł.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy.

- Ty skończyłeś. Spotkamy się na posterunku - Powiedział Stottlemeyer.

Monk nie chciał się kłócić. Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Jaostałam jeszcze chwilę, czekając, aż kapitan na mnie spojrzy, żeby posłać mu miażdżące spojrzenie. Ale Stottlemeyer nie uląkł się mojego spojrzenia. Jeżeli ktoś się tu bał, to tylko ja.

Detektyw Monk zostaje niedoceniony

Ponad godzinę czekaliśmy w gabinecie Stottleme - yera na jego powrót. Monk zajął się zmiataniem podłogi, odkurzaniem półek i porządkowaniem wszystkiego dookoła.

Kiedyś zastanawiałabym się, jak Monk może się tak poniżyć i sprzątać kapitanowi gabinet, gdy ten potraktował go w sposób tak bezduszny.

Ale znałam już Mońka wystarczająco dobrze, aby zrozumieć, że nie robił tego dla Stottlemeyera, lecz dla siebie. Była to dla niego chwila odprężenia, odpoczynku dla umysłu, okazja do stworzenia oazy ładu w panującym wokół niego świecie chaosu.

Ja nie miałam na podorędziu żadnych rytuałów ani czynności, które przyniosłyby mi ulgę i rozwiały niepokój, frustrację, złość i strach. Siedziałam więc na szpetnej winylowej kanapie i przeżuwałam wszystko w sobie.

Pomijając już mój dołek finansowy i niepewną przyszłość, nie umiałam się pogodzić z tym, że Bob Sebes mógłby uniknąć odpowiedzialności za morderstwo. Wiedziałam, że Monk się nie myli, a Sebes łże, opowiadając o swojej próbie samobójczej. Ale nie miałam pojęcia, w jaki sposób mógł przechytryć monitorujące urządzenie elektroniczne o tak zaawansowanej technologii ani jak wydostał się z domu niezauważony przez policję i tłum dziennikarzy. A widząc, z jaką zawziętością Monk sprząta gabinet kapitana, widziałam, że on również nie potrafi tego rozgryźć.

Byłam zresztą przekonana, że nie tylko morderstwa zajmowały myśli Mońka. Był teraz bankrutem, bezrobotnym i bezdomnym. I trudno się było spodziewać, aby Stottlemeyer pozwolił Monkowi dłużej u siebie mieszkać.

Nie miałam żadnych odpowiedzi, a pytania kłębiły się w mojej głowie i każde budziło we mnie jeszcze większy niepokój, jeszcze większą frustrację i jeszcze większy strach. Ale nie potrafiłam o nich nie myśleć. Domyślałam się, że właśnie tak czuł się Monk każdego dnia, w każdej minucie życia, tyle że na jeszcze większą skalę.

Być może nasze dusze rzeczywiście nadawały na tej samej częstotliwości, jak sam to kiedyś ujął, i to o wiele bardziej, niż skłonna byłabym to głośno przyznać.

Kiedy Stottlemeyer i Disher wrócili wreszcie na posterunek, kapitan omiół swój uporządkowany, lśniący czystością gabinet takim wzrokiem, jakby wywrócono w nim wszystko do góry nogami.

- To jest moja prywatna przestrzeń, Monk.

- To była twoja zabałaganiona prywatna przestrzeń.

- Prosiłem cię, żebyś zrobił porządek?

- Zrobiłem go przez grzeczność.

- Grzecznością byłoby, gdybyś niczego nie ruszał i zostawił wszystko na swoim miejscu - stwierdził Stottlemeyer. - Dotyczy to zarówno mojego gabinetu, jak i mieszkania.

- Och, naprawdę, słuchać tego nie można! - Miałam dosyć i wstałam z kanapy. - Nie po to siedzieliśmy tu przez bitą godzinę, by słuchać teraz pańskiego kwilenia.

Stottlemeyer odwrócił się w moją stronę.

- Co powiedziałaś?

- Dobrze pan słyszał. Kazał nam pan czekać w swoim gabinecie, a dobrze pan zna pana Mońka. Jeśli nie spodziewał się pan, że wyświadczy panu taką grzeczność, to marnie się pan zna na ludziach i może pan winić wyłącznie siebie samego. Czy możemy wreszcie przejść do meritum?

Gdybym wyciągnęła z torebki pistolet i zastrzeliła kapitana, Monk nie wyglądałby na bardziej zaskoczonego.

Disher zagwizdał, a w każdym razie próbował zagwizdać, bo zabrzmiało to raczej tak, jakby chciał wysmarkać nos.

- Ho, ho. Widzę, że ktoś dzisiaj wstał lewą nogą z łóżka - powiedział.

- Nie wiem, czy lewą, ale na pewno w środku nocy. O wpół do czwartej zostałam wezwana na miejsce przestępstwa przez kogoś, dla kogo nie pracuję i wobec kogo nie mam żadnych zobowiązań. Ale oczywiście poszłam, jak ostatnia kretyńka.

- Ma menstruację - wyjaśnił Monk.

Stottlemeyer i Disher pokiwali ze zrozumieniem głowami, jakby te słowa wszystko wyjaśniały. To rozżłościło mnie jeszcze bardziej, bo było seksistowskie, protekcyjne i kłamliwe.

- To nie ma z tym nic wspólnego, panie Monk. Po prostu nie chcę być traktowana jak śmieć i pan też nie powinien się dać tak traktować.

- Proszę, nie wypowiadaj więcej tego słowa na „ś” - powiedział Monk i jakby chciał przeprosić obecnych, dodał: - Ma menstruację.

Stottlemeyer i Disher znowu pokiwali głowami.

- Przestańcie! - wściekłam się. - Nie macie nawet pojęcia, jak to rani, a jeśli macie i mimo to dalej to robicie, to po prostu jesteście świniami.

- Przepraszam, jeśli podczas przesłuchania Se - besa obszedłem się dziś z wami zbyt obcesowo - powiedział Stottlemeyer. - Ale nie mogłem pozwolić, aby Monk bez końca wiódł nas na manowce.

- To on zabił.

- Proszę, właśnie o tym mówię, Monk. To nie on zabił. To niemożliwe. Mylisz się.

- Pan Monk nigdy się nie myli w kwestii morderstwa - stwierdziłam.

- Tym razem się myli - odparł Stottlemeyer. - Chyba że potrafi wyjaśnić, jak Sebes pozbył się elektronicznej obroży bez uruchamiania alarmu, jak udało mu się przełożyć ją na nogę innej osoby i wymknąć się z domu. No i jak przemycił do domu kogoś, choć nie wiem, kto, u diabła, miałby to być, komu włożył obrożę i zaserwował drinka, a potem jeszcze przemycił go z powrotem na ulicę.

- Wejścia i wyjścia tłumaczy tajny tunel - powiedział z powagą Disher. - Choć oczywiście nie wyjaśnia nam on kwestii zakłóconego monitoringu.

- Nie ma żadnego tajnego przejścia, Randy - powiedział Stottlemeyer.

- Tego nie wiemy. Gdybyśmy wiedzieli, nie byłoby już tajne.

- Jediną osobą, która wychodziła z domu, była Anna Sebes - stwierdził kapitan. - Wychodziła przez frontowe drzwi na oczach wszystkich.

- Może to ona zabiła - wyraził przypuszczenie Disher. - Kiedy Haxby zginął, też nie było jej w domu.

Monk pokręcił głową.

- Ze swoim artretyzmem nie byłaby w stanie zawiązać stryczka i unieść ciała Clovisa nad balustradę. Poza tym to wciąż nie wyjaśnia picia alkoholu przez Boba.

- Bob już to wyjaśnił, Monk - przypomniał Stottle - meyer. - Bardzo przekonująco.

- Mnie nie przekonał - stwierdził Monk.

- Właśnie dlatego musiałem cię wyprosić. Stałeś się zawadą w dochodzeniu. Są inni podejrzani.

- Na przykład kto? - zapytałam.

- Lincoln Clovis namówił do zainwestowania w fundusz Sebesa wielu krewnych i znajomych - odpowiedział kapitan. - Jak sądzisz, jak się poczuli, gdy dotarło do nich, że Clovis był trybikiem oszukańczego procederu?

- Powieszenie go na balustradzie mogło też być ostrzeżeniem dla innych osób zamieszanych w przestępstwo - wtrącił Disher.

- Jak to? - zaciekawiał się Stottlemeyer.

- W 1982 roku prezes pewnego prywatnego banku włoskiego, nazwany przez media „Bankierem Pana Boga”, bo przeprowadzał wiele transakcji z Watykanem, został powieszony na moście nad Tamizą w Londynie. Bank miał podobno miliard dolarów długu, a jego właścicielem była mafia. Wybuchła wielka afera. Uważano, że bankier został zamordowany przez mafię, żeby nie zaczął sypać, ale także chciano dać do zrozumienia wszystkim innym, aby trzymali gęby na kłódkę. I bankier, i Clovis zamieszani byli w aferę finansową, obaj zostali powieszani w pobliżu płynącej wody. Te symboliczne podobieństwa obu zabójstw mogą być zbiegiem okoliczności - Ale nie muszą.

Przez dłuższą chwilę Stottlemeyer przyglądał się Disherowi z namysłem.

- Skąd znasz tę historię o włoskim bankierze?

- Wydarzyła się, gdy byłem dzieckiem, i nigdy tego nie zapomnę.

- Nieźle. Dobry pomysł, choć z kapelusza. Może rzeczywiście wpadłeś na trop.

- Naprawdę?

- Uhm, pewnie. Weź paru chłopaków i zobaczcie, dokąd was ten wątek zaprowadzi.

- A co z tajnym przejściem? - zapytał z nadzieją porucznik.

- Lepiej nie wystawiać szczęścia na dwie ciężkie próby - skonstatował Stottlemeyer.

Disher przytaknął i pośpieszenie wyszedł z gabinetu, a Stottlemeyer znowu zwrócił na nas uwagę. Prawdę mówiąc nie wiem, po co tam jeszcze staliśmy. Kapitan jasno wyłożył swoje stanowisko. Staliśmy tak może z powodu jakiejś inercji, wewnętrznego wyczerpania, a może świadomości, że właściwie nie mamy dokąd pójść.

- Czasem Randy mnie zdumiewa - wyznał kapitan.

- Pan Monk również - powiedziała. - Nie po raz pierwszy wmawia mu pan, że osoba, którą podejrzewa o dokonanie zabójstwa, w żadnym razie nie jest winna.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- Wiem, wiem, wiem. Zaraz mi powiesz o alibi astronauty, który w chwili zabójstwa swojej dziewczyny przebywał w kosmosie.

- Mogę przytoczyć wiele innych przykładów.

- Więc co, przypomnisz mi, jak nie wierzyłem Mońkowi, gdy mówił, że zabójcą jest facet w śpiączce?

- Nie. Powiem o mordercy, który twierdzi, że ma alibi, bo w chwili morderstwa przebywał we własnym domu, pod nadzorem policji i mediów, mając na nodze zabezpieczoną przed demontażem obrożę elektroniczną, która monitoruje jego ruchy.

Stottlemeyer przeszedł za biurko i usiadł ciężko na krześle, jakby ważył pięć ton.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle z wami rozmawiam. Nie uczestniczycie w śledztwie.

- O wpół do czwartej w nocy uważał pan, że uczestniczymy.

- Nie mogłem zostawić Mońka samego w moim mieszkaniu - wyjaśnił kapitan.

- Dlaczego? - zapytał Monk.

- Dobrze wiesz dlaczego. Miałeś zamiar wyrzucić wszystko, co posiadam. Zabrałem cię do San Mateo, bo chciałem ci wyświadczyć pewną przysługę i trzymać cię z dala od kłopotów, Monk.

- Gdybyś rzeczywiście chciał mi wyświadczyć przysługę, pozwoliłbyś mi wyrzucić z domu wszystkie zakażone śmieci.

- Wiedziałem, że jesteś osobiście zainteresowany każdą sprawą, która hipotetycznie może mieć związek z twoim doradcą finansowym, Bobem Sebesem. Zabierając cię, chciałem ci tylko wyświadczyć grzeczność.

- Wykorzystał go pan - powiedziałam. - Znowu.

- Dostyc tej dyskusji. Mam dużo pracy. - Stottlemeyer sięgnął do kieszeni, wyjął klucze i rzucił je Monkowi. - Jedź do domu, odpocznij i powyciągaj wszystko z pudeł.

Monk odrzucił mu klucze.

- Nie mogę u ciebie zostać na kolejną noc - oświadczył.

- Z powodu sporu o Sebesa?

- Z powodu tego, jakie wiesz życie. Bez urazy, ale potrafię zrozumieć, dlaczego opuściła cię żona, a twoja partnerka stała się później psychopatyczną zabójczynią.

- Gdzie będziesz mieszkał?

Monk wzruszył ramionami.

- W mieście jest mnóstwo wiaduktów. Pod którymś z nich na pewno znajdzie się miejsce dla kolejnego bezdomnego włóczęgi.

Wyszedł, a ja wyszłam za nim. Byliśmy już przy schodach, kiedy dopędził nas Disher i poprosił, żebyśmy się na chwilę zatrzymali.

- Wiem, jakie macie kłopoty. Myślę, że mógłbym wam pomóc. Mam dla was pracę.

- Chcesz nas zatrudnić jako konsultantów? - zapytał Monk.

- To niestety nie jest możliwe. - Disher wyciągnął z kieszeni jakąś karteczkę. - Ale mam inną propozycję. Tu jest adres sklepu konfekcyjnego Fashion Frisson w galerii handlowej Bayview Mail. Szefowa ma u mnie mały dług, a tak się składa, że właśnie potrzebuje dwójki nowych sprzedawców.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

- Bo poprzednich sam aresztowałem - wyjaśnił. - Zainstalowali w przymierzalniach ukryte kamery i bawiąc się setnie, kręcili filmiki z nagimi klientkami. Udało mi się załatwić

całą sprawę po cichu, tak żeby media się o niczym nie dowiedziały. W przeciwnym razie przez dwóch popaprańców sklep splajtowałby jeszcze tego samego dnia, a przecież ta biedaczka nie była niczemu winna.

- Zrobiłeś dobry uczynek - pochwalił go Monk.

- Teraz robisz następny - dodałam. - Dzięki, Randy.

- Cóż, od czego są przyjaciele. Wszystko jest już umówione. Zaczynacie jutro o dziesiątej rano.

Przynajmniej jedno zmartwienie zostało mi zdjęte z serca, nawet jeśli była to praca, za którą płacono niewiele ponad stawkę minimalnego wynagrodzenia. Wciąż jednak głowiłam się nad tym, gdzie będzie spał Monk. Zapytałam go o to, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

- Ma pan upatrzony jakiś konkretny wiadukt, panie Monk?

- Nie mówiłem tego poważnie, Natalie.

- Och, naprawdę? - stwierdziłam z lekką drwiną. - To dla mnie szok. Zatem jaki ma pan plan?

- Zawieź mnie do piekła.

- Ma pan na myśli bar sałatkowy?

- Mam na myśli dom.

- Nie wejdzie pan do mieszkania - przypomniałam mu. - Chyba że się pan włamie.

- Nie chodzi mi o tamten dom - powiedział. - Chodzi mi o dom.

Detektyw Monk wraca do domu

Stary wiktoriański dom w Tewksbury, stojący w okręgu Marin za Golden Gate, nie zmienił się ani na jotę od czasów, gdy Monk dorastał w nim ze swoim starszym bratem Ambrose'em. Monkowie nie znoszą zmian.

Ambrose był równie genialny jak Monk i równie pokręcony. Zarabiał na życie, pisząc instrukcje obsługi, encyklopedie i podręczniki, które potrafił recytować z pamięci w dwunastu językach (w tym w języku Dratęhów, którym posługują się kosmici z nosami jak słoniowe trąby z kultowego serialu telewizyjnego science fiction). To czyniło go samo - zwańcym ekspertem właściwie w każdej dziedzinie, co chętnie demonstrował przy najmniejszej okazji.

Poza tym do wszystkiego miał złote ręce, potrafił się zająć instalacją elektryczną, wodociągową, kanalizacją czy ciesielką w swoim domu, jak również naprawić każde domowe urządzenie (w końcu sporządzał do nich instrukcje obsługi). Mnóstwo razy tłukłam się do Tewksbury tylko po to, żeby Ambrose naprawił mi zerwaną żaluzję, suszarkę do włosów, toster albo automatyczną sekretarkę.

Rozwinął w sobie te talenty z konieczności, ponieważ bał się wychodzić z domu. W ciągu trzydziestu lat wyszedł z niego tylko dwukrotnie. Oczywiście taka izolacja sprawiała, że rzadko stawał twarzą w twarz z innymi ludźmi. Mało kto go też odwiedzał. Komunikował się zwykle za pomocą telefonu albo komputera. Był więc bardzo niedoświadczony i nieporadny w kontaktach społecznych, a zwłaszcza w kontaktach z kobietami.

Jednak mimo tego nieprzystosowania pozostawał przemiłym, nadzwyczaj uprzejmym człowiekiem. Bardzo go lubiłam. Nieraz wydawał mi się bardziej zaradny od młodszego brata, którego szczerze podziwiał, widząc w nim śmiałego, podejmującego ryzyko i lubiącego dreszcz emocji rebelianta.

Tak, tak, wiem, że trudno w to uwierzyć.

Ambrose musiał słyszeć, jak podjeżdżamy pod dom, bo drzwi wejściowe były otwarte, a on sam stał w głębi ciemnego korytarza, jakby mógł zostać zassany przez świat za progiem i wyrzucony na ulicę.

Na sobie miał zwykłą koszulę flanelową z długimi rękawami, zapiętą pod szyję, kamizelkę w romby, sztruksowe spodnie i błyszczące buty „Hush Pup - pies” ze sznurowadłami zawiązanymi w ładne, idealne kokardki.

- Natalie, co za cudowna niespodzianka. Proszę, wejdź - powiedział Ambrose, stojąc w bezruchu, sztywno niczym żołnierz na baczność. - Ty także możesz wejść, Adrianie.

- Dziękuję ci, Ambrose - powiedział Monk i weszliśmy do środka.

Monk zerknął w głąb pokoju dziennego i zmarszczył czoło. Pod ścianami stały rzędy szafek biurowych, a wokół leżały w równiutkich, posegregowanych pryzmach czasopisma i gazety z ostatnich czterdziestu lat.

W szafkach, o czym od dawna wiedziałam, przechowywane były wszystkie przesyłki pocztowe, jakie kiedykolwiek nadeszły na adres domu, oraz notatki do rozmaitych książek Ambrose'a.

- Zawsze jesteś tu mile widziany, Adrianie. To również twój dom, choć chyba o tym nie wiesz, zważywszy na to, jak rzadko składasz mi wizytę.

- To już nie jest mój dom. To twój dom.

- To nasz dom - poprawił go Ambrose. - W testamencie mama zostawiła go nam obu.

- Ale ty tutaj mieszkasz.

- Nie mam wyboru.

- Oczywiście, że masz. W domu są drzwi. Wystarczy przez nie wyjść.

- Nie każdy jest tak nieustraszony jak ty.

Z daleka pchnął drzwi czubkiem buta. Gdy tylko się zamknęły, wszystkie mięśnie jego ciała nagle się rozluźniły, jakby w jednej chwili ustąpił stan zawieszenia wszelkich czynności życiowych.

- Zapraszam was na cukierki ślazowe.

- Nie, dziękuję bardzo - powiedziałam.

- Jesteś pewna? Dwa tysiące lat przed naszą erą były rarytasem zarezerwowanym wyłącznie dla podniebień faraonów. Dzisiaj każdy może po nie sięgnąć, jeśli tylko ma ochotę. Ja jednak trzymam je na szczególne okazje.

- To nie jest żadna szczególna okazja - powiedział Monk.

- Dla mnie jest. Nie co dzień przychodzą do mnie tak czarujący goście. - Ambrose uśmiechnął się do mnie, a potem spojrzał na brata. - I ty.

- Może miałbyś więcej gości, gdybyś wreszcie pozbył się śmietnika - powiedział Monk, wskazując ręką stosy gazet i szafki biurowe.

- Zapewne te same słowa wypowiedział Juliusz

Cezar, gdy kazał spalić Bibliotekę Aleksandryjską. Gdybyś znalazł sposób, opróżniłbyś nawet Instytut Smithsona. - Ambrose odwrócił się plecami do Mońka i całą uwagę skierował na mnie. - Co powiesz na szklaneczkę orzeźwiającej schłodzonej wody?

- Masz wodę? - zainteresował się Monk.

- Oczywiście, że mam - odpowiedział, wciąż nie chcąc stawać przodem do brata. - Nie mógłbym bez niej żyć. Nikt nie może bez niej żyć.

- Och, Boże. Ty nic nie wiesz. Obawiałem się tego.

- O czym ty mówisz? - zapytał Ambrose.

Monk zrobił głęboki wdech.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Wiadomość, którą mam ci do przekazania, jest wstrząsająca i zmieni twoje życie, więc postaraj się przygotować na najgorsze. Nie ma już Summit Creek. Zniknęła. Niebawem umrzemy.

Ambrose patrzył na brata przez dłuższą chwilę.

- Przyjechałeś taki kawał drogi tylko po to, żeby mi to powiedzieć? Już kilka miesięcy przed bankructwem Summit Creek wiedziałem, że firma ma coraz niższą sprzedaż i wkrótce splajtuje.

- Wiedziałaś?! - zdziwił się Monk. - Skąd?

- Mieszkam w domu, Adrianie. Nie w jaskini.

Ambrose znowu odwrócił się do brata plecami i przeszedł do kuchni. Monk pośpieszył za nim.

- Wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś?
- Jesteś światowym człowiekiem. Byłem pewny, że wiesz - powiedział Ambrose.
- Nie wiedziałem - wyznał Monk. - To było potworne zaskoczenie.

Ambrose wyjął z szafki trzy szklanki, dwie z nich postawił na kuchennym stole, a trzecią obok siebie na kontuarze.

- Nie oglądasz telewizji, nie czytasz gazet, nie przeglądasz Internetu?
- Nie mam tyle wolnego czasu co ty.
- Jeśli więc nie przyjechałeś ostrzec mnie w sprawie wody, to jaki jest cel twojej wizyty?

Monk usiadł przy stole i położył ręce na jego blacie, dłońmi do dołu. Usiadłam obok niego.

- Straciłem wodę, straciłem pracę, straciłem oszczędności życia i straciłem dom. Jak się w końcu okazało, wcale nie jestem człowiekiem, po którym można się wiele spodziewać. Nie mam wyuczonego zawodu i nie nadaję się do niczego. Wróciłem więc do miejsca, z którego wyszedłem w świat, do swojego prostego domku na bagnach, z pragnieniem posiadania dachu nad głową i czystego łóżka, na którym mógłbym złożyć głowę.

Prawda, że Monk przechodził tragedię życiową na miarę bohaterów Dickensowskich powieści, ale jak na moje wyczucie trochę przekoloryzował.

- Teraz wiesz, dlaczego nie wychodzę z domu - powiedział Ambrose. - Powinieneś się napić.

Ambrose otworzył lodówkę, wyjął z niej trzy butelki wody Fidzi i rozdzielił każdemu po butelce. Wciąż nie siadał z nami do stołu. Nie byłam pewna, czy z grzeczności wobec Mońka, czy też podobnie jak brat miał fobię na punkcie asymetrii i liczb nieparzystych, i uznał, że trzy osoby przy czteroosobowym stole zachwieją równowagą wszechświata.

Monk przyglądał się z uwagą butelce.

- Co to jest? - zapytał.
- Naturalny deszcz, który w 1515 roku spadł z dziewiczego błękitnego nieba na pierwotne skały górzystej wyspy Viti Levu i przesączał się z wolna przez warstwy krzemionki, bazaltu i piaskowca do studni artezyjskiej pod skorupą ziemi, gdzie pozostawał szczelnie zamknięty i nietknięty przez wieki, dopóki nie ujęto go w postaci wody i nie wpuszczono do butelki, którą trzymasz w rękach.

Monk podniósł butelkę do światła i oblizał wargi.

- Wygląda całkiem dobrze.

- Pij, ile chcesz. - Ambrose otworzył butelkę i nalał sobie wody do szklanki. - Mam zapas na dziesięć lat.

Napełniłam swoją szklankę i pociągnęłam łyk.

- Wyborna - powiedziałam. - Chyba lepsza od Summit Creek.

Szczerze mówiąc, smakowała jak zwykła woda z kranu. Ale może kranówka też liczy sobie pięćset lat.

- Spędziłem wiele tygodni na poszukiwaniach najlepszej zastępczyni Summit Creek i znalazłem wodę Fidzi.

Monk otworzył swoją butelkę, przymknął oczy i ostrożnie powąchał wodę.

- Ta woń przypomina mi mamę - powiedział.

Ambrose przytaknął.

- Mnie również. To był moment, w którym wiedziałem już, że znalazłem to, czego szukałem.

Powąchałam wodę, ale nie wyczułam żadnego zapachu.

Monk nalał trochę wody do szklanki. Zakręcił nią lekko, podniósł do światła, wypatrując śladów zanieczyszczeń, i upił mały łyk.

Potrzymał wodę w ustach, oplukując wszystkie zakamarki, a potem przełknął ciężko i głośno, jakby przełykał piłeczkę golfową, a nie łycalek wody - Zastygł na moment, spodziewając się jakiejś natychmiastowej okropnej reakcji organizmu. Kiedy jednak nic szczególnego nie nastąpiło, pociągnął jeszcze jeden łyk, tym razem większy, i uśmiechnął się do brata.

- Uratowałeś mi życie, Ambrose.

W oczach Monka pojawiły się łzy, odwrócił się w moją stronę, wskazał na swoje oczy i powiedział:

- To krople wody Fidzi.

Następnych parę godzin spędziliśmy, delektując się pięćsetletnią wodą i zagryzając cukierkami ślazowymi, jakbyśmy byli faraonami okręgu Marin.

Im więcej wody Monk pił, tym bardziej był odprężony, rozochocony i rozgadany. W szczegółach opowiedział Ambrose'owi o morderstwach Russella Haxby'ego i Lincolna Clovisa.

W miarę jak słuchałam jego opowieści, byłam coraz bardziej przekonana o winie Boba Sebesa i coraz bardziej przygnębiona, że nie byliśmy w stanie mu jej udowodnić, zwłaszcza teraz, gdy nie mieliśmy już żadnego dostępu do śledztwa. Nawet gdybyśmy zaczęli

węszyc na własną rękę, to prędzej czy później spotkalibyśmy się z niemiłą odprawą kapitana Stottlemeyera.

Monk zakończył opowieść, oznajmiając podniośle, że zabójcą jest Bob Sebes, a zapis o wypiciu alkoholu, dokonany przez Triaksa XG7 8210, jest tego dowodem.

Ambrose pokiwał z namysłem głową i wypił łyk wody.

- Jest w twojej hipotezie nieścisłość, Adrianie - rzekł.

- Jaka? - zapytał Monk.

- Bob Sebes nie mógł popełnić tych zbrodni.

Monk zbagatelizował słowa brata machnięciem ręki.

- Mówisz tak tylko dlatego, że Sebes ma na nodze obrożę z systemem GPS, a jego dom otaczają policjanci i tłumy dziennikarzy.

- Być może mógł się w jakiś sposób wydostać z domu - powiedział Ambrose. - Ale nie ma możliwości, aby dać sobie radę z XG7 8210.

- Skąd masz tę pewność?

- Ponieważ napisałem książkę na temat tego urządzenia - odparł Ambrose. - No, w każdym razie techniczną instrukcję obsługi. Model Triaksa mam u siebie na piętze.

- Był ci potrzebny do napisania instrukcji? - zapytałam.

Ambrose przytaknął.

- Tak, ale poza tym lubię go od czasu do czasu założyć.

W pierwszej chwili pomyślałam, że żartuje, ale jego twarz była śmiertelnie poważna.

- Dlaczego lubisz nosić obrożę elektroniczną? - zapytał zdziwiony Monk. - Chodzi ci o to, aby ludzie myśleli, że istnieje rzeczywisty powód, dla którego nie wolno ci wychodzić z domu?

- Wkładam ją, na wypadek gdybym przypadkowo wyszedł z domu.

- Nie wiem, jak miałyby do tego dojść - stwierdził Monk.

- Co będzie, jeśli któreś nocy zacznę lunatyko - wać, wyjdę na zewnątrz i obudzę się parę godzin później w... - Ambrose spojrział ukradkiem za okno i aż się wzdrygnął. - Tam...

- Masz czasem taki sen, Ambrose? - zapytała®-

- Mam taki koszmar senny.

Po tych słowach Ambrose odchylił głowę i wychylił duszkiem resztę wody ze swojej szklanki, jakby była to whisky.

Monk potrząsnął głową.

- To głupie. Niby kto ma cię ratować, jeśli twój Triax XG7 8120 wyśle sygnał, że wyszedłeś z domu?

- Ustawiłem system na numer telefonu Natalie.
- Dlaczego na mój?
- Ponieważ wiem, że na tobie mogę polegać.
- Na mnie nie możesz? - zapytał Monk. Ambrose spojrzał na brata.
- Potrafiłbyś wsiąść do samochodu, odnaleźć mnie i odwieźć bezpiecznie do domu?
- Oczywiście, że tak - stwierdził Monk. - Zadzwońiłbym do Natalie, podjechałaby po mnie i raz - >dwa bylibyśmy na miejscu.

| - Nie jestem waszą rodziną - zauważyłam. - Skąd ita pfewność, że możesz na mnie polegać, Ambrose?! - Ponieważ Adrian na tobie polega. I - Wcale na niej nie polegamy - zaproponował Monk. - a ją zatrudniam. To różnica.

- Wciąż ją zatrudniasz? Monk poprawił się na krześle.
- Tak i nie.
- Tak i nie? - zdziwił się Ambrose. - Co to może aczyć?
- Sama nie mogę się doczekać wyjaśnienia - po - edziałam.
- Natalie u mnie pracuje - powiedział Monk. - e jej nie płacę.
- W takim razie, jak sądzisz, dlaczego to robi, oro jej za to nie płacisz?
- Ponieważ to wyższe powołanie.

Ambrose pokręcił głową.

- Nie dlatego, Adrianie.

Być może nie doceniałam Ambrose'a. Być może rozumiał ludzi i relacje między nimi dużo lepiej, niż sądziłam. W każdym razie rozumiał je lepiej niż jego młodszy brat.

Ambrose popatrzył na mnie, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, spuścił nagle wzrok, zmieszany i niepewny siebie.

- Nieraz sobie wyobrażałem, jak by to było, gdybym wyszedł z domu we śnie, a ty byś mnie uratowała.

- To twój drugi koszmar senny, Ambrose? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że to można zakwalifikować po prostu jako sen.

Detektyw Monk ma swój styl

Tym razem bardzo chciałam przerwać naszą złą passę zwolnień w pierwszym dniu pracy, więc usiłowałam przewidzieć wszystkie zachowania Mońka, którymi mógłby obrazić, rozwścieczyć lub przerazić nowego pracodawcę.

Następnego dnia rano, gdy jechaliśmy do galerii handlowej Bayview Mail, uczuliłam Monka, żeby nie zaokrąglął żadnych kwot na kasie fiskalnej ani w górę, ani w dół, nie układał rzeczy na półkach według sobie tylko wiadomego porządku i nie krytykował gustu klientów.

- Pańskie zadanie jest proste - powiedziałam. - Uszczęśliwić klienta, a nie siebie.

- To nie będzie trudne. Ja nigdy nie jestem szczęśliwy.

- Miło mi to słyszeć.

- Jeśli ludzie chcą podejmować głupie decyzje, to ich sprawa, nie moja. Ja jestem już nawodniony.

- Pił pan całą noc?

Monk przytaknął.

- Imprezowaliśmy jak w szkolnych czasach. To było bardzo rozpięte.

- Rozpięte?

- Bracia Monkowie wcale nie są tacy pozapinani, J&k ci się wydaje.

Monk miał na sobie zapiętą koszulę po szyję, zapięte mankiety i wycierał tablicę rozdzielczą w moim samochodzie chusteczką nasączoną płynem dezynfekcyjnym. Doprawdy nie mógł być bardziej p o z a - pinany, w sensie dosłownym i w przenośni, nawet gdyby bardzo chciał.

- Szalone z was gagatki.

- Spalaszowaliśmy całe pudełko Cap'n Crunch - opowiadał Monk. - Z dodatkiem borówek Crunch Berries, które w tym zestawie są... syntetyczne.

- Uff, ależ jazda po bandzie.

- Nikomu nie mów, że w chwili słabości oddajemy się podjadaniu syntetycznych owoców. Nie chciałbym, żeby ludzie nabrali o nas fałszywego mniemania. Jestem pewien, że też masz nałogi.

- Jeden czy dwa... - odparłam.

Znalazłam miejsce na pierwszym piętrze wielopoziomowego parkingu i po chwili weszliśmy do głównego pasażu Bayview Mail, zaprojektowanego na wzór klasycznej ulicy San Francisco. Sklepowe witryny były typowymi dla tego miasta okiennymi wykuszami, a zdobiła je tradycyjna wiktoriańska ornamentyka. Jeździł tu nawet słynny tramwaj linowy, którego kręty tor kończył swój bieg w części restauracyjnej, będącej doskonałą imitacją Fisherman's Wharf, tyle że brakowało w niej żebraków, stad brudzących mew, sklepików z pamiątkami, przeżutych gum na chodnikach czy idącej od zatoki morskiej woni, będącej mocną mieszaniną zapachu słonej wody i spalin motorówek.

Monk wprost uwielbiał takie modelowe ulice. Były dokładnie takie, jak w jego mniemaniu powinien wyglądać cały świat - nienaturalnie czyste, dezynfekowane, wolne od śladów natury, z klimatem, nad którym człowiek potrafi panować.

O ile Mońka byłam w stanie zrozumieć, o tyle dziwiło mnie, dlaczego inni ludzie, zamiast spacerować po autentycznych ulicach urzekającego San Francisco, woleli chodzić po ich imitacjach w galerii handlowej. W taki sposób równie dobrze można było pospacerować po Owensboro w Kentucky albo po Walla Walla w stanie Washington.

Fashion Frisson był wąskim, długim sklepikiem z konfekcją, wciśniętym między jubilera i market RadioShack. Sklep sprzedawał współczesne fasony w jasnych kolorach, z lekkim tchnieniem retro z lat siedemdziesiątych.

Układ działów był prosty, z jednej strony znajdowała się odzież damska, a z przeciwnej męska. W przypadku Mońka ten niewyszukany podział idealnie odwoływał się do jego poczucia ładu, symetrii i odrębności płci.

Właścicielką Fashion Frisson była Kiana Claire, energiczna, obwieszona ozdobami brunetka o piskliwym głosie, który kazał mi się zastanowić, czy kobieta nie wdycha helu za każdym razem, gdy stoi do nas plecami.

Podalam jej nasze CV, ale Kiana nie była nimi zainteresowana.

- Rekomendacja Randy'ego w zupełności wystarczy - powiedziała. - Fantastycznie potrafi ocenić człowieka. Poza tym dzięki niemu nie muszę sprawdzać, czy macie za sobą jakąś kryminalną przeszłość, co od tej pory będzie u mnie standardową Procedurą przy zatrudnianiu nowych pracowników.

Nie każdy oszust czy zboczeniec jest od razu aresztowany i trafia do rejestrów, ale nie zamierzałam Jej o tym mówić. Nie miałam też zamiaru się przyznawać, że właściwie miałam za sobą kryminalną przeszłość, choć nie było to nic wielkiego, zwykle chodziło o jakieś małe nieposłuszeństwo obywatelskie. Monk natomiast był raz bezpodstawnie aresztowany pod zarzutem morderstwa, ale o tym, rzecz jasna, też nie zamierzałam wspominać.

- Skąd znasz Randy'ego? - zapytałam.

- To mój stary klient. Słyszałaś, jak śpiewa?

Niestety słyszałam. Randy napisał i wykonywał jedną jedyną piosenkę, w każdym razie o ile mi wiadomo.

- Och, tak. Nigdy w życiu nie słyszałam nic podobnego.

- Melodia wpada w ucho - powiedział Monk. - Ale nie ma porównania z 867-5309.

Monk lubił przebój Tommy'ego Tutone'a z 1982 roku, znany również pod tytułem Jenny, ponieważ tytułowe cyfry sumowały się w liczbę trzydzieści osiem.

- Ma poetycką głębię Boba Dylana i imprezową, nieokrzesaną seksualność pitbulla - powiedziała Kiana. - Wiecie, że we Francji Randy ma grupę wiernych fanek?

Wiedziałam. Grupkę stanowiło może dziesięć dziewcząt mających bzika na punkcie policjantów. Na własne oczy widziałam ich reakcje na występ Randy'ego i było to coś, co od tamtego czasu usilnie staram się wyrzucić z pamięci.

Monk podniósł rękę.

- Przepraszam, ale muszę się do czegoś przyznać...

- Nie, nie musi pan - przerwałam mu szybko.

Cokolwiek Monk miał do powiedzenia, nie mogło to być nic dobrego.

- Zupełnie nie mam wycucia mody - powiedział Monk, ignorując mój protest.

- Ależ oczywiście, że masz - zaproponowała z uśmiechem Kiana.

- Mam?

- Spójrz, jak jesteś ubrany. To jest oryginalne, bardzo świeże, oddaje twój charakter, zdradza u ciebie głęboką świadomość tego, do jakiego stopnia ubiór może wyrażać osobowość i poczucie tożsamości. Jestem w szoku, Adrianie. Po prostu masz swój styl.

Monk uśmiechnął się do mnie.

- Mam swój styl - powiedział.

- A ja? - zapytałam z zainteresowaniem. - Mam wycucie mody?

Kiana zawahała się na moment.

- Nad tobą jeszcze trochę popracujemy.

Kiana zaczęła objaśniać nasze obowiązki. Nie należały do zbyt skomplikowanych. Mieliśmy doradzać klientom w wyborze rzeczy, pomagać im przy przy - mierzalni, utrzymywać porządek, a w przypadku zakupu zarejestrować transakcję na kasie fiskalnej. Kiana powiedziała, że przez większą część dnia będzie w biurze na tyłach sklepu, gdzie musi porządkować faktury. W ogóle ma mnóstwo pracy papierkowej, której się nagromadziło od czasu zwolnienia dwójki sprzedawców przed dwoma tygodniami.

- Po tym, co się stało, bałam się już kogokolwiek zatrudnić - wyznała. - Ale wam ufam całkowicie. Dziewięćdziesiąt osiem procent pracy to umiejętność kontaktu z ludźmi, a widzę, że jesteście osobami bardzo towarzyskimi.

Monk zaczął podnosić rękę, żeby znowu się do czegoś przyznać, ale pacnęłam go po dłoni i przytrzymałam ją siłą, dopóki Kiana nie zniknęła w biurze.

Przed południem nie było wielkiego ruchu w skle - Pie, dzięki czemu Monk miał okazję sprawdzić, czy Wszystkie rzeczy na wieszakach skierowane są w tę samą stronę, mógł też poukładać je według rozmiaru, umyć szyby wystawowe i odkurzyć podłogę. Ja w tym

czasie zajmowałam się nielicznymi klientami. Z całą pewnością było to mniej stresujące zajęcie niż przebywanie na miejscu zbrodni i przepytywanie rozmaitych podejrzanych. Nie tęskniłam za oglądaniem co dzień trupów, choć trudno powiedzieć, żebym ostatnio miała możliwość od tego odpocząć.

- Uwielbiam tę pracę - powiedział Monk.
- Jeszcze nie obsłużył pan ani jednego klienta.
- Mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Ja również, ponieważ zasadniczo zmniejszało to prawdopodobieństwo, że Monk zrobi coś, co spowoduje nasze zwolnienie. Jednak w porze lunchu ruch w sklepie znacznie się zwiększył. Na szczęście większość przychodzących stanowiły panie, które z prośbą o pomoc zwracały się do mnie, więc Monk stał przez ten czas przy kasie. Prawdę mówiąc, niewiele wiedziałam na temat mody, ale potrafiłam umiejętnie schlebiać. Niezależnie od tego, co wkładały na siebie, niezmiennie twierdziłam, że to fantastycznie na nich leży, niesamowicie je wyszczupla i cudownie podkreśla ich kształty.

Kupowały wszystko, co przymierzały, co nie tylko podnosiło sprzedaż, ale również, o czym miałam się niebawem przekonać, odsuwało w czasie nadciągającą katastrofę.

Za każdym razem, gdy ktoś skorzystał z przy - mierzalni, Monk natychmiast czyścił ją i dezynfekował, co już powinno było zwrócić moją uwagę i ostrzec przed kłopotami. Jak na razie nie obraził żadnej klientki, ponieważ nie zaczynał czyszczenia przymierzalni, dopóki kobieta nie stała przy kasie, odwrócona do niego plecami, płacąc za wybrany towar.

Problem zaczął się przy pierwszej klientce, która po przymiarce nie zdecydowała się na zakup. Na domiar złego była to także pierwsza klientka Mońka; niska, nieco korpulentna pani, która ubierała się zbyt młodzieżowo jak na swój wiek, zapewne ku zażenowaniu własnych dzieci. (Gdy tylko sformułowałam w głowie taką myśl, zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest ona projekcją moich własnych rozterek). Kobieta zwróciła Monkowi trzy bluzki, marszcząc brwi z niezadowolenia.

- Może pan to zabrać - powiedziała do Mońka.
- Nie kupuje ich pani?
- Nie. Pogrubiają mnie.
- Powinna była pani pomyśleć o tym, zanim je pani włożyła - stwierdził, wrzucając bluzki do kosza na śmieci.
- Słucham?
- Nie może pani tak po prostu włożyć bluzki, a potem jej nie kupić.

- Nie ma obowiązku kupowania przymierzonej rzeczy - oświadczyła zdziwiona kobieta.

- Oczywiście, że jest.

- W jaki sposób mam sprawdzić, czy dobrze na mnie leży?

- Wystarczy użyć wyobraźni. Tych bluzek nie możemy już ponownie wywiesić. Są skażone.

- Są jakie?

Przeprosiłam na moment moją klientkę i podbiegłam do przymierzalni, zmuszając się do uśmiechu.

- Proszę na niego nie zwracać uwagi, proszę pani. On ma takie dziwne poczucie humoru - powiedziałam i wesoło klepnęłam Mońka po ramieniu. - To, że są tu zasłony, nie oznacza, że można tu błaznować.

- Te rzeczy będą musiały być spalone - upierał się Monk.

Kobieta się roześmiała.

- Przez chwilę już myślałam, że jest pan stuknięty.

- Nie chciałyby pani jeszcze czegoś przymierzyć? - zapytałam.

- Myślałam jeszcze o tamtym sweterku z wycięciem w serek - powiedziała, wskazując wystawę w przedniej części sklepu.

- Ten pan z miłą chęcią znajdzie dla pani odpowiedni rozmiar - powiedziałam.

- Kiedy pani się ostatnio kąpała? - zapytał Monk.

Kobieta znowu się roześmiała.

- Jest naprawdę zabawny - powiedziała do mnie wesoło.

- To kawalarz pierwszej wody - rzuciłam, znowu przymuszając się do śmiechu.

Delikatnie wypchnęłam Mońka. - Przynieś pani sweterek, Leno.

Monk odszedł, a ja przeprosiłam kobietę jeszcze raz i wróciłam do klientki, którą zostawiłam samą

Kiedy Monk wracał do przymierzalni, zatrzymałam go na moment.

- Niech pan nie mówi do tej kobiety ani słowa więcej poza dziękuję lub do widzenia - szepnęłam.

- Masz rację - odparł. - To psychopatka. Nie wiadomo, do czego jest zdolna.

Na szczęście tęga klientka poprzestała na kupnie swetra. Gdy wychodziła ze sklepu, Kiana wyszła ze swojego biura i zapytała, jak nam idzie.

- Szło świetnie, dopóki nie weszła ta kobieta - powiedział Monk, wskazując klientkę.

- Dlaczego? Co się stało? - zaniepokoiła się Kiana-

- Nic - wtrąciłam. - Po prostu kupiła sweter z wycięciem w serek.
- I zapłamała trzy bluzki, które włożyła i których potem nie kupiła - dodał Monk.
- Zapłamała?

Monk przytaknął i skrzywił się ze wstrętem.

- Gdzie jest piec do spalania nieczystości?
- Dlaczego miałabym w sklepie mieć piec do spalania nieczystości? - zdziwiła się Kiana.

- To tylko żarty - wyjaśniłam.

- Czarna śmierć to nie żarty - zaproponował Monk. - Kto wie, ile zarazków pływa teraz w pocie, którym nasyciły się te trzy bluzki.

- Czarną śmierć przenoszą szczury, a nie ludzie przymierzający ubrania - powiedziałam.

- Szczury, które uwiły sobie legowiska w przepoconych bluzkach i zjadły pizzę.

Kiana parsknęła śmiechem i klepnęła Mońka po ramieniu.

- Masz swój styl i masz poczucie humoru. Nic dziwnego, że tworzycie z Randym parę takich dobrych kumpli. Możecie teraz iść na lunch. Polecam bary na końcu pasażu. Pracownicy galerii mają tam dwudziestoprocentowy upust.

- Świetnie - powiedziałam. - Dzięki za radę.

Kiedy wyszliśmy, Monk zaczął sobie rozcierać ramię.

- Dlaczego kobiety mnie biją?
- Ponieważ nie myśli pan, zanim pan coś powie.
- Może powinienem sobie sprawić podkładki na ramiona?
- Może powinien pan złożyć ślub milczenia.

Detektyw Monk się odwdzięcza

W części restauracyjnej Bayview Mall znajdował się typowy dla takich miejsc melanz franczyzowych barów szybkiej obsługi, ale także mniejsze wersje znanych restauracji serwujących swoje sztandarowe dania tym razem w barach samoobsługowych. Na przykład bar z chińskim jedzeniem nie należał tutaj do sieci Panda Express, lecz do jednej z głównych restauracji w Chinatown. Musiałam ze szczerym uznaniem spojrzeć na wysiłek właścicieli galerii, próbujących nadać temu miejscu lokalny koloryt. Oznaczało to również, że wychodząc na lunch, naprawdę mieliśmy z czego wybierać.

- Gdzie najlepiej zjeść tosta? - zapytał Monk.

- To wszystko, co zamierza pan zjeść na lunch, panie Monk? - zapytałam. - Niech się pan rozejrzy. Jest tyle rzeczy do wyboru.

- Za dużo.

- Może hot doga na patyku? - zaproponowałam.

- Mniemam, ślinka leci. Jelito nadziane nie wiadomo czym, wbite na drewniany palik i usmażone w głębokim tłuszczu. Może na deser zamówię ośle jądra z rusztu podane na kamieniu? Czy ja wygte” dam na neandertalczyka, Natalie?

- Nie sądzę, aby jaskiniowcy odżywiali się kukurydzianym hot dogiem.

- Jestem człowiekiem cywilizowanym. Nie jadam rzeczy na patyku. Używam sztuców.

- Technicznie rzecz biorąc, w tym przypadku patyk zastępuje sztuciec.

- Mówisz, jakbyś była dzikusiem przemieszkującym w ciemnej grocie, zabłoconej chacie albo mieszkaniu kapitana Stottlemeyera. Ludzie współcześni używają widelca, noża i łyżki. Powinnyście z Julie spróbować tego wynalazku. Mogę was nauczyć, jak się posługiwać sztucami.

- Może jeszcze pokaże nam pan, jak krzesać ogień? - zapytałam.

Poprowadziłam Mońka do baru Yang Chow, gdzie dwie młode Chinki z promiennym uśmiechem na twarzy proponowały klientom małe próbki dań na wykałaczkach. Kiedy Monk to zobaczył, zmarszczył brwi.

- Co pan powie na miskę ryżu i pierś kurczaka teriyaki? - zapytałam. - Wszystkie ziarna ryżu są tego samego kształtu i koloru, i może pan poprosić, aby kurczaka pocięto w małe kwadraty.

- Brzmi obiecująco - stwierdził.

- Niech pan spojrzy. Na dodatek mają tu w sprzedaży wodę Fidzi.

To przypieczętowało decyzję. Każde miejsce, gdzie sprzedawano wodę Fidzi, musiało być dobre.

- Tylko niech pan nie przesadzi z piciem - ostrzegłam go. - Przed nami jeszcze pół dnia pracy.

Monk poszedł zamówić posiłek, a ja przeszłam do stoiska słynnej piekarni Boudin, gdzie kupiłam dla siebie sandwicza z indykiem i serem Havarti na świeżutkim, najlepszym w San Francisco, chlebie na zakwasie.

Monk znalazł wolny dwuosobowy stolik, który tonął w świetle promieni słonecznych, wpadających przez ogromny świetlik dachowy. Można stąd było oglądać wszystkie sklepy na parterze i ludzi robiących zakupy. Mieliśmy wrażenie, że siedzimy w punkcie widokowym.

Recesja uderzyła w Bay view Mall z równą siłą jak w całym kraju. Jubiler pod nami zachęcał do kupna niektórych pierścionków z czterdziestoprocentową zniżką. Po lewej stronie

jubilera sklep z ubrankami dla dzieci organizował wyprzedaż za pół ceny, a sklep z prawej strony był już zamknięty - witryna była zabita drewnianą dyktą, na której powierzchni ciągnęło się obiecująco brzmiące ogłoszenie: CZEKAJ NA EKSCYTUJĄCE ZMIANY, KTÓRE TWOJĄ PRZYGODĘ Z ZAKUPAMI UCZYNIĄ JESZCZE WSPANIALSZĄ!

Jedyną zmianą, która uczyniłaby moje zakupy jeszcze wspanialszymi, byłaby wygrana na loterii albo lepiej płatna praca, ale w moim przypadku jedno i drugie wydawało się mało prawdopodobne.

Przed tymi trzema sklepami, na środku szerokiego pasażu imitującego ulicę, stał straganik na kółkach sprzedający kolorowe parasolki; jeden z wielu podobnych straganów w galerii, w których można było kupić Tshirty z osobistymi napisami, wypchane zwierzątka, telefony komórkowe czy zwykły popcorn.

Do straganiku z parasolkami podszedł leniwym krokiem ochroniarz i wdał się w pogawędkę z młodziutką sprzedawczynią. Po chwili pokazał ręką sklepy dookoła i pomógł jej przepchnąć stragan o jakiś metr w jedną stronę.

Domyśliłam się, że stoisko z parasolami przeszkadzało w ruchu pieszych, stało zbyt blisko innego straganu albo blokowało wejście do jednego ze sklepów. W sumie mało mnie to obchodziło, ale Monk bardzo się zainteresował tym, co się dzieje na dole.

- Ochroniarz ma brudne spodnie - powiedział.

- Och, natychmiast musimy to zgłosić dyrekcji Bayview Mail - rzuciłam z ironią.

- Zgadzam się - odpowiedział Monk i wstał od stołu.

Chwyciłam go za rękaw.

- Żartowałam, panie Monk. Proszę siadać. Brudne spodnie ochroniarza to nie nasza sprawa.

- To źle o nim świadczy jako o stróżu prawa.

- To nie jest policjant. My zresztą też nie jesteśmy policjantami.

Monk usiadł i sądziłam już, że sprawa ochroniarza została zamknięta. Ale się myliłam. Po lunchu przeszliśmy się jeszcze trochę po centrum. W pewnej chwili Monk się zatrzymał, spojrzał w górę, w kierunku jednej z kamer przemysłowych i pomachał jej palcem, jakby groził niesfornemu brzdącowi.

- Panie Monk, co tak naprawdę pan chce osiągnąć?

- Daję tylko znak, że wszystko mam na oku - odpowiedział.

- Jestem pewna, że cholernie ich to obchodzi.

Zjechaliśmy ruchomymi schodami na parter i ruszyliśmy z powrotem do naszego sklepiku. Po drodze r°biłam w myślach wielkie zakupy, zatrzymując się raz po raz przed

wystawami sklepowymi, obejrzałam też z bliska urocze, kolorowe parasolki w straganiku na kółkach. Wydawało mi się, że bardziej Pełnią funkcję dekoracyjną niż praktyczną. Tak czy Slak, nie wyobrażałam sobie, aby w dobie kryzysu ekonomicznego ktokolwiek wydał na taki zbytek aż 3999 dolara.

Monk wychylił zza straganu głowę w kierunku kolejnej kamery przemysłowej i pogroził palcem do obiektywu.

Wróciliśmy do Fashion Frisson. Kiana znowu znikła w biurze na tyłach sklepu, a my obsługiwaliśmy klientów. Przez całe popołudnie utrzymywał się spory ruch i przez większość czasu Monk musiał się mieć na baczności.

Do sklepu wchodziły głównie panie. Pojawilo się paru mężczyzn, ale obejrzelili tylko parę rzeczy i nic nie kupili. Jak sądzę, płoszył ich Monk, który chodził za nimi jak cień i wszystko, co brali do ręki, składał natychmiast, aby odłożyć z powrotem na półkę.

Po pewnym czasie wszedł do sklepu mocno owłosiony mężczyzna w sportowym podkoszulku i szortach, który z zainteresowaniem zaczął się przyglądać koszulom z krótkim rękawem. Zdjął jedną z nich z wieszaka i odwrócił się do Mońka, który stał tuż za nim, nie spuszczać go z oka.

- Mógłbym ją przymierzyć?

- Nie.

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony mężczyzna.

- Przymierzalnie są zamknięte.

- Widzę, że są otwarte.

- Tylko dla pań - zakomunikował Monk.

- Cóż, trudno - powiedział mężczyzna. - W takim razie przymierzę ją tutaj.

Podniósł ręce, aby włożyć zapiętą koszulę przez głowę, pokazując światu, że ma pod pachami więcej włosów niż ja na głowie.

Monk rozszerzył oczy i czym prędzej wyrwał mu koszulę z rąk.

- Nie wolno.

- Dlaczego?

- To złamanie kodeksu zachowania higieny i zdrowia. Moglibyśmy stracić licencję handlową, gdybyśmy pozwalali klientom przymierzać rzeczy poza przymierzalnią.

- Od kiedy odbierają za coś takiego licencję? - zdziwił się mężczyzna.

- Od dzisiaj.

- Od dzisiaj?

- Każdy sklep konfekcyjny działa już według nowego prawa, więc gdziekolwiek pan pójdzie, proszę niczego nie przymierzać poza przymierzalnią.

- To są nowe przepisy obowiązujące w San Francisco?

- Na całym świecie. Również na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyszedł ze sklepu. Monk odetchnął z ulgą, a potem spojrzał na mnie wyczekująco.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Czekam na reprimendę za to, że nie pozwoliłem małpie przymierzyć koszuli w naszym sklepie.

- Dobrze pan zrobił, panie Monk.

- Wcześniej to cię nie powstrzymało przed zbesztaniem mnie.

Moglibyśmy godzinami debatować na ten temat, gdyby nie to, że do sklepu weszli ochroniarz i kolejny klient.

Nie był to ten sam ochroniarz, którego widzieliśmy w czasie lunchu przy straganie z parasolkami. Ten był młodszy, lepiej zbudowany i czarował uwodzicielskim uśmiechem, od którego zabiło mi serce. Był muskularny, a pierś miał szeroką jak Superman. Zaczęłam myśleć ze strachem, czy nie jest to wynajęty przez kogoś striptizer, który w urodzinowym prezencie ma się przede mną publicznie rozebrać. A może było to tylko moje skrywane, ciche życzenie? Do urodzin brakowało mi jeszcze kilku miesięcy.

- Aha, widzę nową twarz. - Ochroniarz wyciągnął do mnie rękę. - Mam na imię Mike.

Uścisnęłam jego dłoń. Była silna, sucha i szorstka. Pomyślałam, że przyjemnie byłoby wcierać w tę dłoń balsam nawilżający, choć zdawałam sobie sprawę, jak idiotyczna może się wydawać taka myśl. Jednak od dnia mojej ostatniej randki minęło tyle czasu, że wyobraźnia z naddatkiem wypełniała tę próżnię.

- Natalie - przedstawiłam się. - Zapisujesz w ka - jeciku każdą nową sprzedawczynię w Bay view Mall?

- Muszę mieć wszystko na oku, to moja praca.

Podszedł do nas Monk.

- Gdyby była to prawda, zauważyłbyś, że masz brudne spodnie na kolanach, Mike - powiedział. - Czy twoja praca wymaga chodzenia na czworakach?

- Jednej z klientek spadły pod samochód kluczyki, więc pomogłem je wydostać - wyjaśnił Mike.

- Sądząc po niechlujnych spodniach ochroniarzy, musi to się zdarzać wyjątkowo często - stwierdził Monk.

- Kobiety często mają ręce zajęte torbami albo mnóstwem dzieciaków - tłumaczył się zaskoczony Mike. - Zawsze chętnie służę pomocą.

- Nie ma pan czasem klienta, panie Monk? - przerwałam tę dyskusję, wskazując dyskretnie mężczyznę, który przebierał wśród damskich bluzek.

Monk podszedł do niego, a ja odwróciłam się z powrotem do ochroniarza.

- Służyłeś już pomocą wszystkim kobietom w galerii? - zapytałam.

Roześmiał się.

- Niezupełnie. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jeśli będzie ci potrzebna ochrona albo eskorta do samochodu, jestem pod ręką.

Spojrzałam ponad ramieniem Mike'a i zobaczyłam, jak Monk podchodzi do klienta, młodego, ostrzyżonego na jeża mężczyzny, w wieku około dwudziestu lat. Miał podkreślone kredką oczy, kolczyki w uszach i kwiecisty szal luźno owinięty wokół szyi. Przykładał sobie właśnie różową bluzkę do piersi i wpatrywał się w lustro.

- Jest pan w złym dziale. Męska konfekcja znajduje się po przeciwnej stronie - poinformował go Monk.

- Jestem dokładnie tam, gdzie chcę - odparł mężczyzna.

- Kupuje pan coś dla znajomej?

- Kupuję dla siebie, mój słodki. Do twarzy mi w tym?

- Zdecydowanie nie.

- Róż do mnie nie pasuje?

- To jest bluzka, rodzaj koszuli, którą noszą kobiety. Pan jest natomiast mężczyzną. Koszule męskie mamy w dziale męskim. - Monk zrobił gest w kierunku drugiej strony sklepu.

- Tam mężczyźni kupują koszule, które noszą mężczyźni.

Już widziałam konflikt, która lada moment miał wybuchnąć między Monkiem i jego klientem, toteż musiałam przerwać niewinny flirt z przystojnym ochroniarzem.

- Gdzie cię znaleźć w wypadku nagłej potrzeby? - zapytałam.

- Z telefonu w sklepie wybierz wewnętrzny 0336. - Mike wyciągnął wizytówkę z kieszeni na piersi. - Albo zadzwoń bezpośrednio do mnie na komórkę.

- Zadzwonię - obiecałam.

- Wolę kupować w dziale damskim - tłumaczył tymczasem młody mężczyzna Monkowi. - W męskich koszulach wyglądam jak utuczona lesba.

- Rzeczy dla kobiet wolno nosić wyłącznie kobietom.

- Skąd takie niemądre pomysły? Mieszkamy w San Francisco, mój słodki. W tym mieście połowa mężczyzn nosi biustonosze i stringi.

Mike przeszedł do wyjścia, mijając po drodze Mońka i jego klienta, który otaksował przystojnego ochroniarza zainteresowanym spojrzeniem.

- Czy i ja dostanę wizytówkę? - odezwał się zalotnym głosem. - Ja też mogę potrzebować pomocy.

Mike uśmiechnął się do niego uprzejmie.

- Wygląda pan na kogoś, kto świetnie potrafi o siebie zadbać.

- Mogę też zadbać o ciebie, słonko. Tylko daj mi szansę.

Mike nie zwolnił nawet kroku, udając, że nie słyszy. Młody człowiek odprowadził go tęsknym wzrokiem i spostrzegł, że robię dokładnie to samo.

- Zdecydowanie rzucam dziś kluczyki pod samochód - powiedział do mnie. - A ty, kiciu?

Postanowiłam puścić pytanie mimo uszu.

- Mogę w czymś doradzić? - zapytałam.

- On kupuje rzeczy w złym dziale - nie ustępował Monk.

Mężczyzna położył jedną rękę na biodrze i wygi^ł się pretensjonalnie, a palcem drugiej ręki pogroził Monkowi.

- Hola, hola, czy pan czasem nie jest homofobem?

Monk zaprzeczył ruchem głowy.

- Jestem totalfobem.

Pobiliśmy rekord. Skończyliśmy dzień i nikt nas nie wyrzucił z pracy. Miałam ochotę to uczcić.

Kusiło mnie, żeby zatelefonować do Mike'a i poprosić o odprowadzenie mnie do samochodu, ochronę przed rabusiami, gwałcicielami i malkontentami, a potem może jeszcze o zaproszenie na obiad. Jednak z nieopuszczającym mnie na krok Monkiem proślenie Mike'a o ochronę wydawałoby się bardziej absurdalne niż sam pretekst do tego, by się z nim zobaczyć.

Pomyślałam sobie, że może jednak wrzucę pod samochód kluczyki. Monk na pewno się tam nie wczułga, żeby je odzyskać, ani też nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym zatelefonowała po kogoś, kto mógłby to zrobić.

Roztrząsając w myślach taką możliwość, minęłam straganik z parasolami.

Jakiś sprzątaczk ustawiał za nim swój kontener i zaczął opróżniać do niego zawartość koszyków na śmieci.

- Jest brudny - stwierdził Monk.

- To sprzątaczu, panie Monk. Jeśli już ktoś się brudzi, to właśnie sprzątaczu. Cały dzień sprząta i czyści.

- Chodził na czworakach.

- Sądziłam, że docenia pan ludzi, którzy są staranni przy wykonywaniu swojej pracy.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami, zadarł głowę i spojrzał zza straganu w stronę kamery przemysłowej na piętrze.

- Powinnaś zadzwonić do Randy'ego - oznajmił.

- Dobry pomysł, panie Monk. Na pewno będzie mu miło, jeśli zadzwonimy do niego i powiemy, jak świetnie poszedł nam pierwszy dzień w pracy. Sporo mu zawdzięczamy.

- Dziś wieczorem będziemy mieli okazję mu się odwdziaczyć.

- W jaki sposób?

- Będzie mógł dokonać wielkiego aresztowania.

- Boże. - Zatrzymałam się i spojrzałam na niego z napięciem. - Domyślił się pan, w jaki sposób Bobowi Sebesowi udało się dokonać morderstw!

- Niestety nie. Ale pracuję nad tym.

- W takim razie o czym pan mówi?

- Oczywiście o skoku na jubilera - odpowiedział Monk.

- Jakim skoku?

- Mike i jego kompani z ochrony włamią się dziś w nocy do sklepu z biżuterią - oświadczył Monk, kiwając głową w kierunku jubilera, którego właśnie mijaliśmy.

Obejrzałam się, spojrzałam na sklep jubilerski, a potem z powrotem na Mońka. Byłam oszołomiona.

- Dlaczego pan tak uważa? - zapytałam.

- Wcale tak nie uważam. Ja to wiem. Nie widziałaś ich spodni?

- Nie każdy, kto ma brudne spodnie, automatycznie staje się przestępcą, panie Monk.

- Brud na zewnątrz oznacza brud wewnątrz. Poza tym obaj ochroniarze mieli brudne spodnie na wysokości kolan i obaj mieli suche ręce.

- Zauważył pan, że Mike ma suche dłonie? - zadziwiłam się.

- Również u sprzątacza zauważyłem brudne kolana i suche ręce.

- Wciąż nie rozumiem, jak to wszystko może prowadzić do skoku na jubilera.

- Nocą cała galeria handlowa należy do Mike'a

1 jego kohorty. Już od jakiegoś czasu przekopują do jubilera tunel z nieczynnego sklepu po prawej stronie. Tunel jest tak wąski, że można w nim chodzić tylko na czworakach, dlatego mają suche dłonie i brudne kolana.

- Skąd pan wie, że włamanie ma nastąpić dzisiaj w nocy?

- Ponieważ ochroniarz, którego widzieliśmy w czasie lunchu, przesunął stragan o metr, zasłaniając nieczynny sklep przed polem widzenia kamery przemysłowej. Nie myślałby o tym, gdyby skoku nie zaplanowano właśnie na dzisiejszą noc.

Monk wyłożył szczegóły planu złodziejskiej szajki. Ochroniarze mieli obrabować w nocy sklep, rotacyjnie chodząc po pasażu, aby każdy pojawiał się co jakiś czas w kamerze w różnych miejscach galerii podczas dyżuru. W czasie obchodu ich twarze miały być lekko przesłonięte czapkami lub starannie poustawianymi wcześniej przedmiotami, na przykład donicami z roślinnością lub straganami.

Gdy ochroniarz będzie przechodził pod zasłoniętą kamerą obok nieczynnego sklepu, niepostrzeżenie wślizgnie się do środka i zamieni się miejscami z czekającym tam na niego drugim ochroniarzem, który będzie kontynuował obchód, tworząc wrażenie, że ochrona jest stale na posterunku.

- Ale na końcu jeden z nich zostanie w pustym sklepie - powiedziałam. - Jak się stamtąd wydostanie niezauważony?

- Wymknie się w miejscu zasłoniętym przed kamerą straganem z parasolkami i ukryje się w podstawionym przez sprzątacza kontenerze na śmieci. Sprzątacz wróci potem i zabierze pojemnik wraz

2 ukrywającą się w środku kohortą.

- Och, to będzie wielka kohorta - rzuciłam z przekąsem.

- To będzie wielki skok - powiedział Monk. - Kiedy jubiler odkryje rano włamanie do sklepu, wszystkie ślady każą policji myśleć, że rabusie ukrywali się w pustym sklepie przez całą noc, niezauważeni przez patrolujących galerię ochroniarzy, a wymknęli się z niego dopiero po otwarciu sklepów, niepostrzeżenie wtapiając się w gęstniejący tłum.

- Ale czy starsze zapisy z kamery przemysłowej nad straganem nie wykażą, jak w ostatnich tygodniach ochroniarze wchodzi do pustego sklepu i wychodzą z niego?

- Jestem pewny, że na starych nagraniach z kamer zapisali nowe i umieścili je w systemie z odpowiednią datą. Dam głowę, że jeśli dokładnie porównamy taśmy z nagraniami, to dostrzeżemy drobne niezgodności, na które nikt nie zwrócił uwagi.

Monk je zapewne dostrzeże, ale wątpiałam, aby dostrzegł je ktokolwiek inny, chyba że zostałby wcześniej uprzedzony, czego szukać.

- Domyślił się pan tego dzięki zabrudzonym spodniom, suchym dłoniom i facetowi, który o metr przesunął stragan z kolorowymi parasolkami?

- To było praktycznie przyznanie się do winy. Jeśli Randy obstawi dzisiaj w nocy Bayview Mail, przyłapie szajkę na gorącym uczynku.

Wyjęłam z kieszeni wizytówkę Mike'a, przedarłam ją na pół i wyrzuciłam do dużego pojemnika na śmieci.

Kompletnie nie znam się na mężczyznach.

Detektyw Monk i przełom

Zadzwoiłam do Dishera, ale nie miał czasu ze mną rozmawiać, ponieważ przebywał na miejscu popełnienia przestępstwa w parku Golden Gate. Monk naturalnie zaproponował, żebyśmy zatrzymali się po drodze w parku i osobiście przekazali Randy'emu dobrą nowinę.

Gdy dojechalśmy na miejsce, zapadał już zmierzch. Zaparkowałam na terenie parku pod jakimś rozłożystym drzewem i po chwili, długą ścieżką dla miłośników joggingu, przeszliśmy pod gęsty zagajnik ogrodzony żółtą taśmą. Między drzewkami i krzewami krążyli technicy policyjni szukający śladów, a inni policjanci instalowali silne reflektory studyjne, które miały oświetlić tonące w mroku miejsce.

Ludzie biegali, jeździli na rowerach i przejeżdżali obok samochodem, zupełnie nie zwracając uwagi na żółtą taśmę. Zapewne byli już znużeni podobnymi scenami, mając na co dzień w telewizji trzy wersje Kryminalnych zagadek, a do tego Agentów NCIS i jeszcze Prawo i porządek. Na szklanym ekranie widzieli już mnóstwo miejsc zbrodni, jeszcze lepiej oświetlonych i jeszcze lepiej wyekwipowanych.

Podeszliśmy do żółtej taśmy i czekaliśmy, aż ktoś nas zauważy. Stottlemeyer, Disher i lekarz medycyny sądowej klęczeli przy ciele jakiegoś mężczyzny w jasnoniebieskim stroju do joggingu, leżącym w zaroślach tuż przy ścieżce.

Wydawali się zajęci pracą, a ja się bardzo śpieszyłam. Na wieczór umówiłam Monkowi wizytę u doktora Bella i nie chciałam, aby Monk się spóźnił. Włożyłam palce do ust i zagwizdałam najgłośniejszym, jak potrafiłam. Zabrzmiało to trochę tak, jakby wypróżniło się jakieś duże ptaszysko.

Twarz Stottlemeyera stężała w wyjątkowo gniewnym wyrazie i kapitan podszedł do nas szybkim krokiem, nie kryjąc rozdrażnienia.

- Mówiłem, że wykluczam was ze sprawy Sebesa, i nie żartowałem!

- To morderstwo ma coś wspólnego ze sprawą Sebesa? - zainteresował się Monk.

Dołączył do nas Disher.

- To moja wina - powiedział.

Stottlemeyer spojrział na niego spode łba.

- Zadzwoiłeś po Mońka?

- Nie. Natalie dzwoniła do mnie. Powiedziałem, że nie mogę rozmawiać, bo jestem zajęty na miejscu morderstwa w parku Golden Gate - przyznał porucznik, ale natychmiast się zarzekł: - Ale nie powiedziałem, że zamordowanym jest Duncan Dern.

Znałam to nazwisko. Czytałam o nim w „San Francisco Chronicle”. Nic dziwnego, że nasza obecność tak zirytowała kapitana Stottlemeyera.

- Zabili Derna? Duncana Derna? - zapytałam zaskoczona.

- Spróbuj powtórzyć to szybko trzy razy bez zająknięcia - powiedział Disher. - Ktoś w rękawiczkach rzucił się na niego podczas porannego joggingu i udusił go i zaciągnął ciało w krzaki.

- Dlaczego przygodnym cywilom opowiadasz szczegóły śledztwa? - zapytał kapitan, pocierając skronie. - To nie ich interes.

- Przepraszam - zmitygował się Disher. - Siła przyzwyczajenia.

- Kim jest Duncan Dern? - zapytał Monk.

- Duncan Dern zarządzał największym funduszem powiązany z Reiniera. To rodzaj funduszu, który miał przyciągać kolejnych inwestorów do piramidy Sebesa - wyjaśniłam. - Na samych prowizjach zarabiał miliony, a jego klienci stracili wszystkie oszczędności.

Monk przechylił głowę na bok.

- Dlaczego został uduszony?

- Może dlatego, że ktoś chciał go zabić - zasugerował Disher. - Ale to tylko domysł.

- Ale dlaczego nie został zastrzelony, zakłuty nożem albo pobity tępym narzędziem, choćby kamieniem, kijem baseballowym, łomem? Duszenie wydaje się okropnie czasochłonną i bardzo osobistą metodą zabijania.

- Koniec rozmowy, Monk - powiedział Stottle - meyer. - Jeżeli nie Dern cię tu sprowadza, to co? Jak widzisz, nie mamy wiele wolnego czasu.

- Chcieliśmy podziękować Randy'emu za to, że nas polecił - odezwałam się. - I powiedzieć mu, jak świetnie poszedł nam pierwszy dzień pracy.

Stottlemeyer podniósł brwi i spojrzał zaskoczony na Dishera.

- Załatwiłeś im pracę?

Porucznik wzruszył ramionami.

- Drobiazg.

- Nie dla nas - powiedziałam.

Stottlemeyer pokiwał głową z uznaniem.

- Bomba. Miło z twojej strony, Randy. Co to za praca?

- Pracujemy w branży mody - wyjaśniłam.

- Mam swój styl - dodał Monk.

- W to nie wątpię - stwierdził Stottlemeyer. - Przepraszam, że tyle zrzędziłem. Nic nie wiedziałem o waszym nowym zajęciu. Gratuluję.

- Nie szkodzi. W pracy masz nieustanny stres, a twoje życie domowe to istne piekło - powiedział Monk.

- Prawdę mówiąc, Monk, w domu sprawy mają się już dużo lepiej. Zostawię was na chwilę z Ran - dym. - Kapitan nachylił się do ucha Dishera i szepnął: - Ani słowa więcej o sprawie.

Kapitan wrócił do ciała ofiary.

- Nie chcieliśmy przysparzać ci kłopotu - zwróciłam się do porucznika.

- Bez obaw. Pod presją osiągam najlepsze wyniki. Jak poszło we Frisson Fashion?

- Naprawdę nieźle.

- Jeśli nie liczyć owłosionego faceta - dodał Monk. - I mężczyzny, który kupował sobie damską bluzkę.

- Czyż Kiana nie jest wspaniała? - zapytał Di - sher. - Niewiarygodnie czuje muzykę.

Z uprzejmości postanowiłam nie pastwić się nad nim.

- Przyjechaliśmy do ciebie, ponieważ pan Monk bardzo chciał się odwdzińczyć za twoją nieocenioną przysługę i niespodziewany prezent.

- To miło z pana strony - stwierdził Disher. - Ale wacików Qtips wystarczy mi do końca życia.

- Wacików Qtips nigdy nie jest za dużo. Ale tym razem chodzi o coś innego. O skok na sklep jubilera Monk opowiedział wszystko w szczegółach, a Di - sher zaczął notować w notesiku z wielkim zapalem.

- To gigantyczna sprawa. Stokrotne dzięki - powiedział Disher.

Monk wzruszył ramionami.

- Drobiazg.

- Dla pana drobiazg, panie Monk, ale nikt inny nie byłby w stanie dostrzec tych wszystkich szczegółów i złożyć ich potem w całość. Nikt też nie przyszedłby z takim aresztowaniem do mnie.

- Ja nie jestem funkcjonariuszem policji, a ty tak.

- To jest dużo lepsze niż prezent, który mi pan podarował na urodziny, o tyle lepsze, że właśnie to potraktuję jako prezent urodzinowy.

- Coś nie tak z wacikami do uszu Qtips? - zaniepokoił się Monk.

- Nie, nie. Są fantastyczne - odpowiedział szybko Disher. - Ale aresztowanie tych drabów może dla mnie oznaczać awans.

- Mam nadzieję - powiedziałam. - Wówczas będziesz mógł nas u siebie zatrudnić.

Odeszliśmy. Ruszyliśmy w stronę samochodu. Uszliśmy zaledwie kilka kroków, kiedy Monk powiedział do mnie szeptem:

- To Bob Sebes.

- Wiem, panie Monk. Mam tylko nadzieję, że będzie umiał pan tego dowieść, zanim znowu ktoś zostanie zamordowany.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zaraz ich Pożałowałam.

- Czyli dopóki nie rozwikłam sprawy, będę odpowiadał za każde zabójstwo, które Sebes zamierza Jeszcze popełnić, tak? Tego mi jeszcze trzeba, nowej Porcji stresu i zdrowej dawki poczucia winy. Dziękuję ci serdecznie, Natalie. Za mało byłem załamany i sfrustrowany, prawda?

- Przepraszam, panie Monk. Nie to chciałam powiedzieć. Wiem, że robi pan wszystko, co w pana mocy.

Również tych słów natychmiast pożałowałam.

- Właśnie nie robię wszystkiego, co w mojej mocy. Zamiast prowadzić śledztwo w sprawie trzech morderstw, przyrządzam pizzę albo sprzedaję bluzki.

Postanowiłam trzymać język za zębami, ponieważ wszystko, co mówiłam, obracało się przeciwko mnie. Chciałam powiedzieć, że to wcale nie jego wina, że przeszkodą jest kryzys gospodarczy. Ze gdyby nadal był konsultantem policji, miałby dostęp do miejsc zbrodni, do dowodów, do podejrzanych i łatwiej byłoby mu dowieść, że to Bob Sebes, nawet będąc pod obserwacją i w areszcie domowym, winien jest trzech zabójstw.

Ale teraz, kiedy stał się bankrutem, nie miał dachu nad głową, chwycił się dorywczych prac i został całkowicie odsunięty od sprawy, nie miał szans udowodnić, że niemożliwe jest możliwe.

To oczywiście nie mogło go powstrzymać od prób. Monk nie potrafił przestać, nawet gdyby chciał. Wiedziałałam, że jego mózg mozolnie przemiela wszystkie detale z widzianych miejsc zbrodni, wszystko, co usłyszał i zobaczył, a co każdy inny z nas prawdopodobnie by przeoczył.

Monk zatrzymał się parę kroków przed moim samochodem, którego dach zabrudzony był ptasimi odchodami i lepkiem sokiem z owoców rosnącego obok drzewa.

- Jedź sama - powiedział. - Ja pojedę do doktora Bella taksówką.

- Nie stać pana na taksówkę. Niech pan wsiada do samochodu.

- Nie mogę. Pójdę pieszo.

- Gabinet doktora Bella znajduje się na drugim końcu miasta. Pieszo będzie pan szedł godzinami. Nie zdąży pan na spotkanie.

- Dobrze. W takim razie zaczekam tutaj, aż kupisz nowy samochód.

- Nie mam na to pieniędzy, panie Monk. Samochód jest na zewnątrz brudny, ale w środku jest czysty.

- Coś takiego nie jest w ogóle możliwe. Nie mogę wejść do tego samochodu. To byłoby samobójstwo.

Wyjęłam z torebki telefon komórkowy i zadzwoniłam do Randy'ego, choć stał zaledwie kilkanaście kroków za nami. Nie chciałam znowu denerwować Stottlemeyera, a Randy był mi bardzo potrzebny. Opisałam mu całą sytuację i przypomniałam, jaką wielką przysługę wyświadczył mi przed chwilą pan Monk. Randy zgodził się, aby do doktora Bella zawiózł Mońka policyjny radiowóz.

Podczas gdy Monk czekał na wezwany radiowóz, podjechałam szybko do pobliskiej samoobsługowej stacji benzynowej z automatyczną myjnią, a po umyciu auta ruszyłam do McDonalda nieopodal gabinetu doktora Bella, gdzie miałam zamiar usiąść z gazetą Przy filiżance taniej kawy McCheapo.

Już miałam wchodzić do baru, gdy zadzwoniła komórka. Telefonował doktor Bell, prosząc, abym Jak najszybciej przyszła do gabinetu.

Początkowo sądziłam, że Monk doznał całkowitego załamania nerwowego i doktor Bell potrzebuje mojej pomocy. Kiedy jednak weszłam do gabinetu, zobaczyłam, że obaj siedzą w swoich skórzanych fotelach, jak najbardziej zrelaksowani i wyraźnie zadowoleni.

Doktor Bell wskazał mi kanapę naprzeciwko siebie.

- Proszę, usiądź, Natalie.

Poczułam się, jakbym wylądowała na dywaniku u dyrektora.

- Co się stało? - zapytałam zaniepokojona.

- Nic - odpowiedział doktor Bell.

- Jeśli nie liczyć zwolnienia z pracy, utraty oszczędności życia, eksmisji z domu i śmierci z pragnienia, której cudem uniknąłem - wyliczył Monk.

- To prawda, Adrianie, ale spójrz teraz na korzyści, jakie płyną z tych porażek, strat i wyzwań.

- Nie widzę żadnych korzyści. Widzę same niekorzyści.

- Tu akurat się z panem zgodzę, panie Monk - powiedziałam.

- O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać - rzekł doktor Bell. - Adrian wspomniał, że w kwestii błędu, który popełnił Bob Sebes, oboje nadajecie na tej samej częstotliwości. To wielki sukces.

- Bob Sebes jest wciąż na wolności - powiedział Monk.

- Ale to, co się wydarzyło między tobą a Natalie, jest wielkim przełomem, nie tylko w twojej relacji z Natalie, ale też z innymi ludźmi. Doświadczyłeś silnej, intymnej więzi międzyludzkiej.

- Absolutnie nie łączy mnie z Natalie intymna więź. I nigdy nie będzie łączyć - zaproponował Monk.

- Zdecydowanie zgadzam się z panem Monkiem-

- Oczywiście, być może słowa intymnej użyłem nieco na wyrost, ale sami wiecie, że zdarzyło się między wami coś wyjątkowego. Natalie wiedziała, o czym myślałeś, Adrianie, a ty wiedziałeś, że Natalie wie. Sam mi powiedziałeś, że takiej więzi nie czuleś od czasu, gdy zabito Trudy.

Monk powiedział mi wtedy to samo, ale świadomie omijaliśmy potem ten temat w rozmowach. Doktor Bell nie pozwolił nam od niego uciec.

- Co pan sądzi o mężczyznach, którzy wkładają damskie rzeczy? - zapytał Monk. - Tak nie powinno być, prawda?

- Nie próbuj zmieniać tematu - odpowiedział doktor Bell. - Chyba że chcesz mi powiedzieć, że sam zacząłeś nosić damskie ubrania.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie skupmy się na czymś innym, dobrze? Nie możesz pozwolić, aby ta chwila przemknęła obok ciebie, nie dostrzegając jej znaczenia, nie doceniając, jak bardzo możesz się na niej podbudować.

- Robi pan z igły widły. Lepiej porozmawiajmy o tym, jak człowiekowi może wpaść do głowy, żeby jeść pizzę rękami. Albo jak człowiek może dopuścić, aby czarna zaraza zżerała mu stopy.

- Wiem, że w rozmowach o intymności czujesz się niepewnie, Adrianie, ale nie pozwolę ci od niej uciec. Otworzyłeś się przed inną osobą, a ta osoba otworzyła się przed tobą, macie więc okazję, by podobnie myśleć i szukać wzajemnego kontaktu na głębszym poziomie. Taka więź nie tylko umacnia relację między dwojgiem ludzi, ale w chwilach zwątpienia i szczególnego stresu może dać nieocenione wsparcie emocjonalne, a przez takie chwile właśnie Przechodzicie. Miło nadawać z kimś na tej samej Częstotliwości, prawda?

Monk poprawił się w fotelu, nie potrafiąc jednak znaleźć wygodnej pozycji.

- To ucina wszelkie dalsze wyjaśnienia z mojej strony - stwierdził.

- Przecież pan lubi wyjaśniać - powiedziałam.

- Lubię być zrozumiany - powiedział, znowu się poprawiając. - To jest różnica.

- Wreszcie dokądś zmierzamy. - Doktor Bell zatarł dłonie. - Więc jakie to uczucie, Adrianie, gdy ktoś cię rozumie?

- Czuję się tak, jakbym nie był sam.

- Ale pan wcale nie jest sam - stwierdziłam. - Ma pan mnie, kapitana Stottlemeyera, porucznika Dishera, Ambrose'a.

- Mógłbyś mieć w życiu więcej takich osób, jeśli tylko wykorzystasz to, czego nauczyło cię ostatnie doświadczenie - tłumaczył doktor Bell. - Przyjaźń buduje się na wzajemnym zainteresowaniu i intymnej wspólności.

Monk zeszywniał.

- Źle mnie rozumiesz, Adrianie. Nie mówię o fizycznej intymności, mówię o dzieleniu się osobistymi spostrzeżeniami na swój temat, na temat swojej przeszłości, swoich nadziei i lęków.

- O moich lękach może poczytać każdy zainteresowany. Zostały opisane w dziesięciu tomach, nie licząc indeksu. Każdemu z przyjaciół podarowałem egzemplarz.

- To dobry sposób, oczywiście. Sugerowałbym jednak podejście bardziej osobiste. Jeśli zdobędziesz się na to, aby wobec innych ludzi być tak samo otwarty jak wobec Natalie, to odkryjesz, że Natalie nie jest jedyną osobą, z którą nadajesz na tej samej częstotliwości.

Monk nagle drgnął, jakby poraził go prąd elektryczny. Przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, poruszył niezgrabnie ramionami i usiadł w fotelu wyprostowany jak struna, wpatrując się w nic i we wszystko.

Spojrzałam na doktora.

- Co to mogło być? - zapytałam.

- To jakaś gwałtowna reakcja, ale nie wiem na co - odpowiedział doktor Bell.

- Ja wiem.

Wiedziałam, że oznaczało to, iż wszystko zmieni się teraz na lepsze.

- Widzisz, Adrianie. Oto kolejny dowód na intymną więź między wami. - Doktor Bell uśmiechnął się szeroko, zadowolony z kierunku, w jakim zmierza rozmowa. - Natalie, powiedz, co mówi jego język ciała?

- Pan Monk właśnie się domyślił, w jaki sposób Bob Sebes wydostał się z domu, aby zamordować Russella Haxby'ego, Lincolna Clovisa i Duncana Derna.

Bell spojrzał na Monka.

- To prawda?

Monk przytaknął.

- To on zabił i potrafię to udowodnić.

- Ha! - Doktor klasnął w dłonie. - Jak sądzę, można to uznać za jeszcze jeden przełom.

Co za cudowna sesja terapeutyczna.

- Skoro tak pana cieszy, nie rozumiem, dlaczego miałbym za nią płacić - stwierdził Monk. - Powinna być gratisowa.

- Skąd taki pomysł? - zapytał doktor Bell.

- Ponieważ jeśli ja za nią płacę, to jedyną osobą, która dobrze się podczas niej bawi, powinienem być ja, a wcale tak nie jest.

Detektyw Monk zawiera umowę

To, co mówił doktor Bell, nie było do końca prawdą. Potrafiłam zinterpretować reakcję Monka, ale tym razem nie nadawaliśmy na tej samej częstotliwości. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Bob Sebes zdołał się wymknąć z domu i zamordować tych ludzi, nie zdejmując obroży elektronicznej i nie będąc dostrzeżonym przez dziennikarzy czy policjantów na ulicy.

Monk nie zamierzał się dzielić swoimi przemyśleniami.

- Co panu szkodzi mi powiedzieć? - zapytałam, kiedy byliśmy w samochodzie. - Jesteśmy sami, we dwoje.

- Mam system, który między innymi polega na tym, aby nie ujawniać, co się stało, dopóki nie nadejdzie decydująca chwila z udziałem podejrzanych. Nigdy nie odstępuję od swoich zasad. Zresztą parę rzeczy muszę jeszcze dla pewności sprawdzić. Możesz mnie zawieźć do domu?

Kiedy wiozłam go do Ambrose'a, pomyślałam sobie, że to właściwie bardzo dobrze, iż Monk nie chciał mi nic zdradzić.

- Proszę mi obiecać, że bez konsultacji ze mną, nie powie pan ani słowa o tej sprawie kapitanowi Stottlemeyerowi ani porucznikowi Disherowi.

- Dlaczego?

- Bo czasem jest pan naszym najgorszym wrogiem i nie chcę, żeby zmarnował pan taką okazję.

- Jaką okazję?

- Naszego ocalenia.

Zaraz po wejściu do domu Monk zapytał Ambrose'a, czy może przejrzeć wydania „San Francisco Chronicle” z ostatnich paru miesięcy.

- Oczywiście, że możesz. - To ostatnie dwie przyzmy na końcu ósmej alejki. Tylko, proszę, nie pomieszaj mi numerów.

Monk ruszył w kierunku salonu.

- Czy ja kiedykolwiek coś pomieszałem?

Ambrose poszedł za nim.

- Muszę powiedzieć, że twoja wczorajsza sugestia, abym spalił ten zbiór gazet, brzmi dzisiaj ironicznie.

- Do zobaczenia jutro o ósmej rano, panie Monk - krzyknęłam za nim. - Niech pan się z nikim nie kontaktuje do tego czasu.

Wymknęłam się z domu, ale wracając do samochodu, nadłożyłam drogi. Zatrzymałam się przy puszcze telefonicznej pod kuchennym oknem i rozłączyłam przewody. Nie jest to trudniejsze niż wyłączenie lampy z gniazdka. Możecie zapytać, skąd wiedziałam, jak to zrobić. Dam wam radę: czasami warto podpatrzeć, co robi fachowiec, gdy przyjdzie coś naprawić w waszym domu.

Przejeżdżając przez Golden Gate, zadzwoniłam do Stottlemeyera.

- Jest pan jeszcze w parku Golden Gate?

- Wróciłem już na posterunek. Dlaczego?

- Chciałabym, żeby zrobił pan sobie przerwę i spotkał się ze mną w Starbucksie koło mojego domu.

- Jestem zajęty, Natalie. Może nie zauważyłaś, ale ciężko pracuję nad trzema morderstwami, a burmistrz jeździ na mnie jak na łysej kobyle.

- Właśnie o tym chciałam z panem porozmawiać.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- Nie mamy o czym rozmawiać. Mamy kryzys finansowy. Nie stać nas na Mońka i nie chcemy, żeby nam pomagał. Nie wiem, ile razy mam ci to jeszcze powtarzać.

- Pan Monk rozwiązał zagadkę trzech morderstw, zabójcą jest Bob Sebes. Pan Monk już wie, w jaki sposób Sebes wyszedł niezauważony z domu, i potrafi to udowodnić. Jeżeli jest pan zainteresowany, to wysłuchanie naszych warunków będzie pana kosztowało filiżankę Frappuccino z białą czekoladą i ciastko.

- Wysłuchanie czego?

Rozłączyłam się i pojechałam prosto do Starbucksa.

Stottlemeyer musiał chyba pędzić na syrenie, bo w umówionym miejscu zjawiliśmy się w tej samej chwili. Udawał jednak, że nie jest specjalnie podekscytowany moim

widokiem. Ta jego pewność siebie tylko dodała mi otuchy. Miałam przygotowaną broń i nie wahałam się jej użyć.

- Nie podoba mi się, że wyciągasz mnie z posterunku tylko po to, żebyście mogli z Monkiem rozegrać jakąś swoją grę.

- Wyciągnęłam pana z posterunku, ponieważ nie stać mnie na kawę w Starbucksie, a dość już mam McCheapo. Gra się jeszcze nie zaczęła, ale pomy - siałam, że będzie mniej bolesna, jeśli pociągnie pan parę łyków mocnej kawy.

Zamówiliśmy kawę, czekoladowe ciastka brownie i nie odezwaliliśmy się słowem, dopóki nie otrzymaliśmy zamówienia i nie rozsiedliśmy się w fotelach w stylu księżnej Anny, z bocznymi skrzydełkami pod głowę, w jedynym narożniku sali nieoświetlonym przez neon MacPowerBooks.

Kapitan pociągnął łyk kawy, zostawiając na wąsach białą smugę śmietanki. Trudno było w takich okolicznościach prowadzić poważną rozmowę.

- Monk rzeczywiście wyjaśnił sprawę morderstwa? - zapytał.

- Tak.

- Chodzi o tę wczorajszą rozmowę?

Potrząsnęłam głową.

- Już mówiłam. Pan Monk wie, jak Sebes oszukał system monitorujący obrozę i jak wymknął się z domu przez nikogo niezauważony. Monk ma go w garści.

- - W takim razie dlaczego pijemy kawę w Star - bucksie, a nie siedzimy w domu Boba Sebesa, słuchając Monkowego podsumowania?

- Ponieważ, jak raczył pan szorstko zauważyć, pan Monk u was nie pracuje. Dał pan też jasno do zrozumienia, że nie ma takiej możliwości, aby Sebes mógł dokonać morderstw, a udział pana Mońka w śledztwie jest niepożądany.

- Kiedy będę zakładał Sebesowi kajdanki, nie omieszkać Mońka przeprosić i serdecznie mu podziękować. - Kapitan otarł chusteczką wąsy i jednym kęsem odgryzł połowę ciastka.

- Och, w to nie wątpię. Jednak nie dojdzie do tego, jeśli nie spełni pan naszych warunków.

- Warunków? Chyba żartujesz.

- Żądamy pisemnej umowy podpisanej przez burmistrza i komendanta policji, która zapewni panu Monkowi trzyletni kontrakt na konsultacje z gwarantowanym wynagrodzeniem w dotychczasowej wysokości. Tylko na podstawie takiej umowy pan Monk ujawni, w jaki sposób Bob Sebes zdołał dokonać zabójstw. Umowa zostanie automatycznie unieważniona,

jeśli pan Monk nie doprowadzi do aresztowania Sebesa oraz do postawienia mu przed sądem zarzutu potrójnego morderstwa na podstawie dowodów, które zbierzecie dzięki przekazanych przez niego informacjom. Aha, chcielibyśmy również, aby prokurator okręgowy wszczął postępowanie przeciwko właścicielowi kamienicy w sprawie przeprowadzenia niezgodnej z prawem eksmisji.

Stottlemeyer się roześmiał.

- Czy teraz w Starbucksie dolewają do kawy wódki? Nie ma mowy, żeby burmistrz czy komendant przystali na takie warunki.

Niewzruszona wypłam parę łyków kawy.

- Myślę, że przystaną.

- To tylko dowodzi, jak mało wiesz o polityce. Budżet miasta padł. Podpisanie z Monkiem trzyletniego kontraktu z gwarancją wynagrodzenia wywołałoby burzę nie tylko w policyjnym związku zawodowym, ale wzburzyłoby również opinię publiczną. Poza tym dla społeczeństwa byłby to czytelny komunikat, że policja nie potrafi samodzielnie się uporać z takimi morderstwami.

- Co jest prawdą - stwierdziłam.

- Złapiemy zabójcę. Śledztwo jest w początkowej fazie.

- Bądźmy szczerzy, kapitanie. Jesteście w ślepych zaułku i nie macie pojęcia, co dalej robić. Nie macie podejrzanych, nie macie dowodów, nie ma nawet sprawy. Miotacie się we wszystkie strony jak pies na łańcuchu, a świadkowie potrzebni do wniesienia aktu oskarżenia giną w tym czasie jeden po drugim. Sebes wychodzący z sądu jako wolny człowiek to też czytelny komunikat dla społeczeństwa, prawda?

Stottlemeyer dopił kawę.

- Ładnie powiedziane, Natalie. Jako przyjaciel Mońka naprawdę doceniam, co starasz się dla niego zrobić. Spotkało go cholerne szczęście, że ma przy sobie kogoś takiego. Ale nie mam zamiaru iść wyżej z twoimi warunkami, bo mnie wyśmieją. Może nawet zdegradują za głupotę, że z czymś takim przychodzę.

- Pan Monk może panu dać na patelni Sebesa nie tylko za morderstwa, ale również za oszustwo finansowe.

- Idziesz za daleko, Natalie. - Stottlemeyer spałaszował drugą połowę ciastka.

- Czyżby? Mając na gardle potrójny zarzut morderstwa, Sebes wyśpiewa, co zrobił z każdym ukradzionym centem, byle nie dać się wpakować do komory gazowej. Dla miasta będzie to świetna reklama, wobec której szum wywołany kontraktem w nagrodę za obywatelską postawę pana Mońka okaże się naprawdę niczym.

- Wcale nie jestem przekonany, czy Monk rozwikłał sprawę - powiedział kapitan. - Urządzenie monitorujące jest zabezpieczone pod każdym względem i nie ma możliwości, aby Bob Sebes niepostrzeżenie wyszedł z domu. Nie wolno mi też zapominać, że w minionym tygodniu Mońka spotkało parę ciosów, co w znacznym stopniu utrudnia mu racjonalne myślenie i zdolność oceny.

- Rozumiem. Cóż, jeżeli odrzuca pan propozycję ugody, to dla nas żaden problem. Przyszedłem z tym najpierw do pana ze względu na naszą znajomość, kapitanie. Ale teraz pójdę do federalnych, od których zażadam dla pana Mońka honorarium w postaci prowizji od sumy odzyskanych kwot. Prawdę powiedziawszy, taki układ może być bardziej lukratywny niż trzyletni kontrakt.

Przez parę chwil raczyłam się browniem i popijałam ze smakiem kawę, a kapitan, zmrużywszy oczy, roztrząsał w głowie wszystko, co powiedziałam. Staralam się wyglądać na przekonaną o swojej racji, zupełnie zrelaksowaną i zadowoloną z siebie, jakby moje problemy zostały już rozwiązane.

- Twój scenariusz ma jedną poważną wadę, Natalie - przerwał ciszę Stottlemeyer. - Jeżeli Monk rzeczywiście rozwikłał sprawę, nie będzie w stanie zachować tego dla siebie. Opowie mi wszystko za friko.

Potrząsnęłam głową i przybrałam najlepszą pokerową minę, na jaką było mnie stać.

- Nie tym razem - stwierdziłam obojętnym głosem. - Zbyt wiele w życiu stracił i za bardzo czuje się urażony pańskim brakiem wiary w jego umiejętności.

- To najlepszy detektyw, jakiego znałem w życiu, ale nawet on musi się czasem pomylić.

- Na pewno nie teraz.

- Powiedzmy, że masz rację. Oboje wiemy, że Monk desperacko chce przyskrzynieć Sebesa. Naprawdę nie muszę nic robić. Monk nie potrafiłby siedzieć z założonymi rękami, czekać na kontrakt i ryzykować, że w międzyczasie facet znowu kogoś zabije. Nie mógłby żyć, mając kogoś na sumieniu.

- To prawda. Właśnie dlatego moja propozycja wygasa jutro w południe. Jeśli do tej pory pan do nas nie zadzwoni, aresztowania dokonają federalni, a pan, kapitanie, burmistrz i komendant zostaniecie obrzuceni jajkami przez opinię publiczną. - Wstałam i strzepnęłam ze spodni okruchy ciasta. - Pan Monk nigdy się nie pomylił w sprawie morderstwa. Powinien pan się nad tym zastanowić. Pańscy szefowie również. Dziękuję za wyborną kawę.

Wysłałam. Nie miałam więcej nic do powiedzenia, a poza tym nie byłam pewna, jak długo udałoby mi się utrzymywać twarz pokerzysty pod przeszywającym spojrzeniem kapitana, było nie było, doświadczonego detektywa.

Teraz gra toczyła się nie tylko o morderstwa. Szło o mój dom, jedzenie na stole, studia mojej córki i przyszłość finansową Mońka.

Nasze zbawienie zależało od tego, czy Monko - wi uda się udowodnić, że niemożliwe jest możliwe, a także od tego, czy komendant, burmistrz i kapitan są na tyle wystraszeni i zdesperowani, że uwierzą w zdolności Mońka.

Miałam nadzieję, że nie prosiłam o zbyt wiele.

Detektyw Monk zostaje umyty

W nocy prawie nie spałam. Za bardzo byłam rozgorączkowana myślami o ostatecznej rozgrywce, do której miało dojść przed południem. Bez względu na to, co się stanie, Bob Sebes skończy za kratkami. Pod znakiem zapytania pozostawało tylko jedno: czy będziemy potrafili wykorzystać sytuację i zapewnić sobie ocalenie.

Wszystko zależało od tego, co zrobi Monk. Albo czego nie zrobi.

Czy będę potrafiła przekonać Mońka, żeby trzymał język za zębami, dopóki będzie to nam na rękę? Wcale nie byłam tego pewna.

Pragnienie przyszpilenia Sebesa i opowiedzenia o rozwiązaniu zagadki kryminalnej mogło zatriumfować nad jego interesem... i moim.

Sprawa morderstwa Duncana Derna zajmowała całą pierwszą stronę porannego wydania „San Francisco Chronicle”. Jeden z artykułów koncentrował się na kwestii wpływu, jaki najnowsze zabójstwo mogło mieć na przebieg procesu Boba Sebesa w sprawie piramidy finansowej. Paru cytowanych ekspertów wyrażało opinię, że sprawa Sebesa może upaść, zanim w ogóle trafi na wokandę.

Bardzo mnie to ucieszyło. Nie dlatego, żebym chciała, aby Boba Sebesa ominęła ręka sprawiedliwości, ale dlatego, że artykuły wywierały jeszcze większą presję na policję, by zaakceptować moją propozycję, zanim sytuacja się pogorszy.

W drodze do Tewksbury zadzwoniłam do Kiany z Fashion Frisson, tłumacząc jej, że z ważnych powodów osobistych nie możemy dzisiaj przyjść z panem Monkiem do pracy i że jeśli będzie musiała zwolnić nas za taki postępek, to w pełni ją zrozumiem. Jednak Kiana przyjęła wiadomość z dziwną obojętnością.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Galeria i tak jest zamknięta i nie wiem, kiedy policja pozwoli ją otworzyć.

- Policja? Co się stało? - zapytałam niewinnym głosem.

- Nasza własna ochrona próbowała w nocy obrabować sklep jubilerski, ale Randy złapał szajkę na gorącym uczynku. Doszło do strzelaniny, była niezła jatka.

- Nic się nie stało Randy'emu?

- Nie. Randy jest wspaniały. To prawdziwy bohater akcji.

- Jestem pewna, że miło mu będzie to usłyszeć.

- Już wie. Sam mi to powiedział.

Cieszyłam się, że wszystko poszło po myśli Dishera, a my z Monkiem, w wypadku gdyby nie wypalił mój misterny plan, wciąż mogliśmy wrócić do pracy w sklepie.

Kilka minut przed ósmą zajechałam przed dom Ambrose'a i chyląc głowę, podkrađłam się do puszdki telefonicznej. Kiedy podłączyłam z powrotem kable, wyczułam, że ktoś mi się przygląda. Zrobiłam krok w tył i zobaczyłam, jak z kuchennego okna patrzy na mnie z dezaprobatą Ambrose.

Niedobrze.

Frontowe drzwi były otwarte. Kiedy podchodziłam do wejścia, Ambrose czekał już na mnie w korytarzu.

- Dlaczego rozłączyłaś telefon?

- Chciałam mieć pewność, że pan Monk nie zadzwoni do kapitana Stottlemeyera.

- Najpierw mogłaś o tym porozmawiać ze mną.

- Wiem, ale pomysł, żeby wyłączyć telefon, wpadł mi do głowy, kiedy byłam już przy samochodzie. Niezręcznie było mi cofać się i wyjaśniać całą sytuację.

- Ale dokonać aktu wandalizmu w moim domu nie było ci niezręcznie, tak?

- Przepraszam cię, Ambrose. Postąpiłam nieładnie. Nie powinnam była tak robić. W każdym razie telefon jest już w porządku.

- Nadużyłaś mojego zaufania i mojej gościnności. Nic nie jest w porządku.

- Zrobiłam to dla pana Mońka. Próbuję odzyskać dla niego pracę.

- I dla siebie.

- Tak.

- Więc aktu wandalizmu dokonałaś we własnym interesie.

- W interesie pana Mońka, moim i mojej córki. Wydaje mi się jednak, że nazywanie tego aktem wandalizmu jest oceną zbyt surową. To był właściwie mały figiel.

- Od czterdziestu lat ludzie płatają mi figle, rzucają w dom jajkami, owijają rośliny papierem toaletowym, podrzucają na ganek psie kupki. Wiedzą, że nie mogę nic z tym zrobić. Sądzą, że dokuczanie staremu dziwakowi, który nigdy nie wychodzi z domu, jest dowcipne i bezkarne. Nie wiedziałem, że jesteś jedną z tych paskudnych osób.

- Wiesz, że nie jestem jedną z nich, Ambrose. To, co zrobiłam, nie było żartem ani aktem wandalizmu, nie było też chamskie ani obraźliwe, nie mogłam wyrządzić żadnej szkody.

- Czyżby? A gdyby Adrian poślizgnął się na schodach i złamał kręgosłup? Jak wezwalibyśmy pomoc?

- Mógłbyś wołać przez okno.

- Mój dom mógłby stanąć w płomieniach, a żaden sąsiad mi nie pomoże. Dobrze o tym wiesz.

Była to prawda. Kiedyś rzeczywiście wybuchł pożar w domu Ambrose'a, a sąsiedzi nie kiwnęli palcem. Oczywiście ogień wzniecił jeden z nich, ale to już inna historia.

- Masz rację, Ambrose. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Przepraszam. Jak mogę ci to wynagrodzić?

Wzruszył ramionami.

- Co powiesz na to, jeśli odwiedzę cię w najbliższą sobotę, przygotuję wafelki i razem obejrzymy Kevin sam w domu? - zaproponowałam.

Ambrose się uśmiechnął.

- Na dobry początek, dlaczego nie.

Z piętra zszedł Monk, niosąc gruby pęk starych gazet.

- Już myślałem, że nie przyjedziesz. Musisz zadzwonić do kapitana Stottlemeyera i powiedzieć mu, że rozwikłałem sprawę Boba Sebesa.

- Już to zrobiłam.

- Świetnie. Będzie na nas czekał w domu Sebesa?

- Jeszcze nie teraz, ale wkrótce.

- Nie rozumiem.

- Wyjaśnię panu w samochodzie.

Monk wyszedł, a Ambrose krzyknął za nim:

- Te gazety chcę mieć z powrotem, Adrianie! W stanie nienaruszonym.

Monk zatrzymał się i rzucił bratu groźne spojrzenie.

- Zapominasz, z kim rozmawiasz? To ja cię nauczyłem prasować gazety.

- Nie podoba mi się, kiedy moje rzeczy opuszczają dom. Co będzie, jeśli nie wrócą?

- Wróć, wróć - uspokoił go Monk. - Do tego domu wrócił nawet ojciec.
- Ale ja nie chcę czekać na gazety trzydzieści lat.
- Przywiozę je wcześniej.

Weszliśmy do samochodu i w drodze do San Francisco, stając co chwilę w korkach porannego szczytu, wytłumaczyłam Monkowi, na czym polegała propozycja, którą złożyłam kapitanowi Stottlemeyerowi.

Monk wysłuchał mnie cierpliwie, a kiedy skończyłam, pokiwał zgodliwie głową.

- Świetnie. Zatem kapitan czeka na nas w domu Sebesa?

- Już raz mnie pan o to pytał. Kapitan jeszcze nie przyjął naszych warunków. Śmiem twierdzić, że to zrobi, ale dałam mu czas do południa. Jeżeli nie odpowie nam do dwunastej, zgłaszamy sprawę federalnym.

Monk poprawił się niepewnie w fotelu.

- Nie najlepiej się z tym czuję.

- Pan ze wszystkim się nie najlepiej czuje.

- Do Sebesa musimy pojechać teraz.

- Sebes nie wpuści nas do domu, a nawet jeśli, to rozmowa z nim bez policji na nic się panu nie zda.

- Mogę dokonać obywatelskiego aresztowania.

- Skończy się tylko na tym, że zdradzi mu pan swój trop i da mu szansę pozacierać ślady. Ma pan w tej chwili przewagę nad władzami miasta, aby wymusić na nich przywrócenie swojego kontraktu. Naprawdę chce pan pracować w Fashion Frisson i mieszkać u brata?

- Nie mogę pozwolić, żeby Bob Sebes zamordował kolejnego biedaka, podczas gdy burmistrz i komendant policji dumają sobie nad spełnieniem twoich żądań.

- W takim razie dopilnujemy, żeby już nikogo nie zamordował - powiedziałam, choć nie miałam pojęcia, w jaki sposób mielibyśmy mieć oko na Sebesa, skoro był pod stałą obserwacją policji i dziennikarzy

Monk jednak pokiwał głową.

- W porządku. Przypilnujemy Sebesa.

Znalazłam świetne miejsce do obserwacji, w czerwonej strefie zakazu parkowania, za szeregiem radiowozów, furgonetek stacji telewizyjnych i wozów transmisyjnych, jakieś sto metrów od willi Sebesów po drugiej stronie ulicy. Widzieliśmy stamtąd dużą część domu i bramę, co zdawało się wystarczać Monkowi, choć nie czuł się dobrze ze świadomością, że w tym celu „z taką zuchwałością złamaliśmy przepisy drogowe”.

Nie wyłączyłam silnika i zapewniłam Mońka, że jeżeli pozostaniemy w samochodzie, nie będzie można tego uznać za parkowanie. Wyjaśniłam, że zaparkowanie samochodu oznacza jego zatrzymanie, wyłączenie silnika i pozostawienie na ulicy bez kierowcy.

Monk nie wydawał się przekonany. Powiedziałam mu, że jeszcze nigdy nie dostałam mandatu za zatrzymanie się w czerwonej strefie bez wyłączania silnika. Raz czy drugi jakiś policjant polecił mi odjechać, ale objechałam kwartał, poczekałam, aż policjant odejdzie, i zaparkowałam znowu w tym samym miejscu.

Zresztą nie bardzo wiedziałam, co miałyby ujść naszej uwagi. Jeśli Bob Sebes wyjdzie z domu, dziennikarze zauważą go przed nami. Obok naszego samochodu zobaczyłam włącz do kanału pod ulicą i zaczęłam się zastanawiać, czy Disher jednak nie był na dobrym tropie, mówiąc o tajnym tunelu pod ziemią.

Zerknęłam na gazety, które zabrał ze sobą Monk. Na pierwszych stronach każdego numeru znajdowały się zdjęcia Sebesa, jego żony albo ich obojga. Ciekawiło mnie, czy Monk miał zamiar posłużyć się tymi gazetami przed sądem jako materiałem dowodowym, a jeśli tak, to dlaczego.

Mogłam go o to wszystko zapytać, ale wiedziałam, że pod nieobecność zabójcy nie usłyszę żadnej odpowiedzi.

Monk żył dla tych finalnych podsumowań sprawy, był to ten jedyny moment w życiu, w którym absolutnie panował nad wszystkim i kiedy czuł, że wszechświat odzyskuje idealną równowagę. Z pewnością nie miał zamiaru umniejszać sobie tej chwili szczęścia z mojego powodu.

Nagle Monk zeszywniał.

- Ruszaj - powiedział.

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, jak otwiera się brama posiadłości Sebesa i wyjeżdża z niej czarny mercedes. Ponieważ fotoreporterzy i dziennikarze nie rzucili się do wyjeżdżającego auta, domyśliłam się, że była to Anna Sebes.

- To tylko jego żona - powiedziałam.

Po chwili mercedes nas minął, a Monk zaczął mnie trącać łokciem.

- Szybciej, szybciej, bo stracimy ją z oczu.

Zawróciłam na ulicy i pojechałam za panią Sebes.

- Sądziłam, że według pana to Bob Sebes jest mordercą.

- Tak. Mordercą jest Bob.

- W takim razie dlaczego mamy jechać za jego żoną?

Monk nie odpowiedział. Pochylił się tylko do przodu, oparł ręce na desce rozdzielczej i wbił wzrok w jadącego przed nami mercedesa. Staralam się utrzymywać między nami jeden czy dwa samochody, aby Anna Sebes się nie zorientowała, że ktoś ją śledzi.

Jechała na północ Pierce Street, a potem skręciła w prawo, w długie, szerokie pasmo Lombard Street, na której mijaliśmy podrzędne motele, bary, sklepy żelazne i parkingi. Ta część ulicy nie należała do najbardziej malowniczych zakątków San Francisco.

Między nami a panią Sebes jechały saab i mazda miata, ale widziałam ją doskonale. Ułatwiała mi zadanie, ponieważ konsekwentnie trzymała się prawego pasa i sumiennie używała kierunkowskazu, z dużym wyprzedzeniem informując o swoich zamiarach.

- O Boże! - powiedział nagle Monk.

- Co się stało?

Wskazał małą boczną alejkę daleko przed nami.

- Sądzę, że ona jedzie na stację benzynową, gdzie jest automatyczna myjnia.

- Cóż z tego?

- Ma brudny samochód!

- Zapewne uważa pan, że powinna dokładnie umyć auto.

- Nie możemy jej pozwolić umyć samochodu!

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Dobrze się pan czuje? Od kiedy się pan sprzeciwia, aby coś umyć?

- Ten brud to dowód w sprawie - wyjaśnił. - Mercedes jest upstrzony ptasimi ekskrementami.

Kiedy Anna Sebes nas minęła przed domem, rzeczywiście zobaczyłam na bagażniku jej auta białawe ptasie odchody i jakieś lepkie plamy po soku owocowym, ale nie sądzą, aby jej mercedes był brudniejszy niż mój samochód.

W parku Golden Gate...

...gdzie zamordowano Duncana Dema.

Nagle jadący przed nami saab niespodziewanie przyhamował, a ja byłam tak zatopiona w myślach, że musiałam z całych sił przycisnąć pedał hamulca, aby nie wpakować się w jego bagażnik. Jego kierowca zatrzymał się, aby poczekać, aż ktoś przed nim zaparkuje przy krawężniku, na jedynym wolnym miejscu na całej ulicy. Z daleka widziałam, jak Anna Sebes skręca w alejkę prowadzącą do stacji benzynowej.

Parkowanie się przeciągało. Chciałam ominąć stojący przede mną wóz, ale pasem z lewej strony sunął strumień samochodów i nikt nie zamierzał mnie wpuścić. Byliśmy unieruchomieni.

Monk warknął w złości i wyskoczył z samochodu. Podczas gdy czekałam, aż droga przede mną będzie wolna, Monk puścił się biegiem w kierunku stacji i po chwili zniknął mi z oczu.

Po kilkunastu sekundach, które zdawały się trwać w nieskończoność, wypatrzyłam małą lukę na lewym pasie i wjechałam w nią błyskawicznie, o mały włos nie ocierając się o przód nadjeżdżającego volvo. Objechałam szybko saaba i wjechałam na stację benzynową w chwili, gdy samochód Anny Sebes wjeżdżał do myjni, a obok niego truchtał Monk, pukając w szybę od strony kierowcy.

Anna Sebes nie chciała się zatrzymać i wjechała na środek myjni.

Kiedy potężna machina myjąca drgnęła i automatycznie potoczyła się naprzód, Monk wskoczył na maskę samochodu i rozłożył ręce i nogi, jakby chciał osłonić jak największą powierzchnię karoserii. Trzymał się, z całych sił przyciskając twarz do szyby, a spryskiwacze pod ciśnieniem plunęły zewsząd strugami wody, niemal zdzierając z niego ubranie.

Objechałam myjnię i zablokowałam z drugiej strony wyjazd. Potem mogłam jedynie wsiąść i przypatrywać się bezradnie, jak myjąca brama przesuwa się nad samochodem raz w jedną, raz w drugą stronę, najpierw spryskując karoserię i Mońka wodą z detergentem, a potem okładając go bezlitośnie setkami wąskich pasków z twardej tkaniny, wirujących na gigantycznych szczotkach cylindrycznych. To musiało boleć.

Zadzwoił mój telefon. To był Stottlemeyer.

- Zgoda - powiedział. - Umowa stoi. Spotkamy się w domu Sebesa.

Tymczasem maszyna myjąca weszła w kolejny cykl i zaczęła spłukiwać z Mońka i karoserii gęstą pianę. Monk trzymał się mocno. Dostrzegłam już za szybą Annę Sebes, która patrzyła na Mońka z przerażeniem w oczach i gestykulując, rozmawiała z kimś przez telefon komórkowy.

- Wspaniale, kapitanie - powiedziałam. - Ale nastąpiła mała zmiana planu. Mógłby się pan z nami spotkać w myjni samochodowej Sav Mor Gas & Wash przy Lombard Street? Niech pan koniecznie przywiezie ekipę techników policyjnych i jakieś suche rzeczy na zmianę dla pana Mońka.

Rozłączyłam się, zanim kapitan zdążył mi zadać jakieś pytanie.

Gdy tylko zakończył się cykl suszenia, Anna Sebes przycisnęła gaz do podłogi i wystrzeliła z myjni, jadąc prosto na mój samochód.

Instynktownie rzuciłam się na ziemię, a mercedes wpakował się w bok mojego buicka, spychając go na słup telefoniczny.

Impet uderzenia wyrzucił w powietrze Mońka, który z głuchym pacnięciem spadł na maskę mojego zgruchotanego auta. Anna Sebes wycofała parę metrów i już miała objechać mój samochód i uciec, kiedy z Lombard Street wjechał z piskiem opon policyjny radiowóz i zablokował jej wyjazd. Pani Sebes już nigdzie nie pojedzie.

Podniosłam się z ziemi i podbiegłam do Mońka. Był przemoczony do suchej nitki i kwilił cicho. Przęd jego ubrania był zabrudzony ptasimi odchodami i plamkami lepkiego soku z owoców, ale na masce mercedesa pozostało mnóstwo brudu.

- Nic panu nie jest, panie Monk?

Podniósł się na łokciach i plunął na bok mydlaną pianą.

- Błagam, niech ktoś mnie zabije i skróci moje cierpienia.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że Anna Sebes właśnie próbowała to zrobić.

- Możesz ją poprosić, żeby spróbowała jeszcze raz?

Detektyw Monk obala alibi doskonale

Kapitan Stottlemeyer wyglądał, jakby wszystko go bolało. Krzywił się niemiłosiernie, stękał i bez przerwy pocierał skronie.

Myjnię zamknięto, policjanci spisywali zeznania przygodnych świadków, a technicy policyjni, którzy zabrali już ubranie Mońka, dokonywali szczegółowych oględzin mercedesa oraz tego, co zostało z mojego auta, które przypominało teraz ładnie zawiązaną kokardkę.

Monk miał na sobie szary dres z emblematem SFPD, którego początkowo nie chciał włożyć, ponieważ Stottlemeyer, znając jego opory przed nowymi rzeczami, podał mu dres z zapewnieniem, że doskonale utrzymuje temperaturę i wchłania pot. Z trudem udało się potem przekonać go, że dresu nikt nie nosił i nie ma w nim ani jednej kropelki potu. W końcu Monk przebrał się w sterylnie czystej furgonetce medycyny sądowej.

Disher rozmawiał z Anną Sebes, zapisując wszystko w notesiku z dziką prędkością, próbując nadążyć za potokiem słów i miotanych przekleństw.

- Dlaczego nie zakuliście jej w kajdanki? - zapytał Monk.

- Ponieważ nie jestem pewny, kto tu zawinił - rzekł Stottlemeyer.

- Próbowała nas zabić - powiedziałam.

- To było działanie w samoobronie - wtrąciła ostro Anna Sebes i ruszyła w naszą stronę, a Disher pośpieszył za nią.

- Pani raczy żartować - powiedziałam. - Nie groziło pani żadne niebezpieczeństwo.

- Nie groziło, ciekawe! - sarknęła Anna Sebes, wyciągając w kierunku Mońka kościsty palec w białej rękawiczce. - Ten szaleniec jechał za mną od mojego domu. Kiedy się zatrzymałam przed myjnią, doskoczył do mojego samochodu, zaczął walić pięścią w okno i

krzyżeć, żebym wysiadła. W strachu wjechałam do myjni, żeby się go pozbyć, ale ten psychopata rzucił się na maskę, przylgnął twarzą do szyby i patrzył na mnie przez cały czas tym swoim dzikim, obłąkanym spojrzeniem seryjnego zabójcy.

- Znam to spojrzenie - powiedział Disher. - To wygląda mniej więcej tak.

Natężył się, zmarszczył brwi, rozszerzył ścianki nosa i zacharczał z głębi trzewi. Jego mina bardziej skojarzyła mi się z bolesnym zaparciem niż emana - cją czystego zła.

- Kiedy jego współpracowniczka zablokowała samochodem wyjazd z myjni - mówiła dalej Anna Sebes, wskazując tym razem na mnie - byłam pewna, że to pułapka i że znalazłam się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zadzwoiłam więc na policję.

- Sprytne posunięcie, żeby zdjąć z siebie podejrzenie - orzekł Monk. - Niestety, niewiele pani pomoże.

- Jakie podejrzenie? - zapytała Anna Sebes.

- Chyba nie zaprzeczy pani, że przyjechała tu umyć brudny samochód?

- Oczywiście, że nie zaprzeczę. Przyjechałam do myjni umyć brudny samochód. Czyż nie po to są myjnie, żeby myć w nich brudne samochody? Nie miałam pojęcia, że to przestępstwo.

- Przestępstwo, jeśli brud stanowi dowód rzeczowy. Policijni eksperci potwierdzą w laboratorium, że ptasie odchody i plamy po owocach na pani samochodzie są jednodniowe i pochodzą z drzewa w parku Golden Gate, gdzie wczoraj uduszono Duncana Derna. To dowód, że pani tam była.

- Nieraz tam jestem, podobnie jak tysiące innych mieszkańców San Francisco, ale to nie ja zabiłam Duncana Derna. - Anna Sebes zdjęła rękawiczki i pokazała swoje słabe, wykrzywione od artretyzmu dłonie. - Gdybym tymi rękami mogła kogoś udusić, to pana pierwszego bym udusiła.

Stottlemeyer robił wrażenie, jakby walczył z podobną pokusą.

- Czy to prawda, Monk? Przyjechałeś tutaj za panią Sebes, stuknąłeś w jej okno i wskoczyłeś na maskę jej samochodu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Żeby uchronić brud przed zmyciem.

Stottlemeyer patrzył na niego osłupiały.

- Czyja się nie przesłyszałem? Powiedziałeś przed chwilą, że chciałeś „uchronić brud przed zmyciem”?

- Brud dowodzi, że mercedes Anny Sebes znajdował się wczoraj w parku Golden Gate. Jestem pewien, że w samochodzie znajdziesz sierść dalma - tyńczyka i sosnowe igły, co znaczy, że pani Sebes była w domu Lincolna Clovisa i ogródka Russella Haxby'ego.

- Oczywiście, że byłam, szalony człowieku. Obaj od lat pracowali z moim mężem i byli naszymi przyjaciółmi. W każdym razie tak nam się wydawało, dopóki nas nie okpili, nie okradli klientów Boba i nie zrobili go we własne przestępstwa.

Stottlemeyer wziął głęboki oddech i odwrócił się do mnie z wyrazem twarzy dziwnie przypominającym minę, którą demonstrował przed chwilą Disher.

- Możemy porozmawiać przez chwilę na osobności?

Wyczułam, że nie jest to prośba, lecz rozkaz. Poszłam za nim pod myjnię, wystarczająco daleko, aby Monk, Disher i Anna Sebes nie mogli nas usłyszeć.

- Adrian Monk rzucił się na zaświniony samochód, aby nie można go było umyć - powiedział. - Jeśli taki czyn do ciebie nie przemawia, jeżeli nie widzisz, że on kompletnie postradał zmysły, to nic już ci nie otworzy oczu.

- Pan Monk wie, co robi. To część jego planu.

- Zapominasz, z kim rozmawiasz, Natalie. Znam Mońka dłużej od ciebie. Nie masz pojęcia, co on teraz robi. I co gorsza, on również nie.

- Prowadzi śledztwo.

- Nie ma żadnego śledztwa. Zrywam umowę.

- Nie może mu pan tego zrobić. On rozwikłał tę zagadkę.

- Po czymś takim nie mogę za niego ręczyć. Każdy normalny człowiek na miejscu Anny Sebes zareagowałby tak samo.

- Przecież pan Monk wyjaśnił, dlaczego musiał skoczyć na maskę samochodu.

- Właśnie to jest wariactwo - powiedział Stottlemeyer. - Ptasia kupka na karoserii i psia sierść w samochodzie nie dowodzą absolutnie niczego. Monk stracił u nas resztki zaufania, u federalnych zresztą również.

- Dobrze, zapomnijmy o naszym układzie, ale niech pan chociaż zawiezie pana Mońka do Sebesów, żeby doprowadził do końca swoją sprawę.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ jeśli Monk ma rację, to Bob Sebes zamordował trzy osoby i praktycznie już się wam z tego wywinął. Jeśli natomiast Monk się myli, raz na zawsze odsunie go pan od sprawy i zamknie przed nim możliwość dalszej współpracy, nie mając przy tym cienia wątpliwości ani żadnego poczucia winy.

- Dlaczego sądzisz, że mam takie poczucie?

- Ponieważ dobrze pan wie, że powołaniem pana Mońka jest rozwiązywanie zagadek kryminalnych, a w kwestii morderstwa nigdy się jeszcze nie pomylił. Wiem, że dzisiaj wygląda, jakby mu odbiło, ale koniec końców, zawsze wszystko układa się w logiczny ciąg.

- To może być ten jedyny raz, kiedy się nie ułoży.

- Może. Ale nie będziemy tego wiedzieli, dopóki nie przeprowadzi sprawy do końca. Łatwo będzie panu żyć z taką niewiedzą?

Monk znowu uparł się, że nie wejdzie do domu Sebesa bez kombinezonu ochronnego, gumowych rękawiczek i wysokich butów. Wziął też ze sobą gazety z domu Ambrose'a, ale najpierw dokładnie posprzątał odłamki szkła z rozbitych przed myjnią szyb samochodowych.

Wsiedliśmy z Monkiem do wozu Stottlemeyera, a Disher zabrał Annę Sebes, która nie chciała jechać z nami jednym samochodem, co zupełnie mi nie przeszkadzało. Ja też nie miałam ochoty na jej towarzystwo. Powoli docierało do mnie, że roztrzaskała mi buickę, i zaczynałam sobie uświadamiać, ile mnie to będzie kosztowało.

Do willi Sebesów dotarliśmy wszyscy razem, wywołując żywe zainteresowanie wśród fotoreporterów.

Bob otworzył nam drzwi w koszulce polo, szortach i skórzanych klapkach, wymownie eksponując przed mediami swoją elektroniczną obrożę XG7 8210. Małżonkowie objęli się w dramatycznym geście, jakby przeżyli coś potwornego i nie widzieli się od bardzo dawna. Cudowne przedstawienie.

Gdy tylko weszliśmy do środka, Sebes zatrzasnął z hukiem drzwi i od razu zwrócił się do Stottlemeyera.

- Jak może pan sprowadzać tego człowieka do mojego domu po takiej brutalnej napaści na żonę. Ledwie uszła z życiem. Dlaczego Monk jeszcze nie siedzi za kratkami? Tam jest jego miejsce.

- Ciekawe, dlaczego pana jeszcze tam nie ma? - rzuciłam.

- Domagam się wyjaśnień. - Sebes zignorował moją uwagę.

Stottlemeyer spojrzał w kierunku Mońka.

- To twoja sprawa.

- To ty zabiłeś Russella Haxby'ego, Lincolna Clo - visa i Duncana Derna - powiedział Monk. - Potrafię to udowodnić.

- Boże, znowu te brednie. Jestem zamknięty w areszcie domowym. Na nodze mam obrozę, a mój dom jest dzień i noc otoczony przez hordę reporterów. Dlaczego pan wciąż słucha bełkotu tego szaleńca?

Bob Sebes odwrócił się od nas i ciężkim krokiem wszedł do salonu z panoramicznymi oknami i wspaniałym widokiem na zatokę. Byłam przekonana, że zasłony są odsunięte ze względu na koczujących na zewnątrz fotoreporterów. Ten człowiek zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wykorzystać w mediach incydent w myjni i przedstawić siebie i żonę jako niewinne ofiary.

- W niczym się nie mylisz, oczywiście poza bełkotem szaleńca - stwierdził Monk, wchodząc za Bobem do salonu. - Urządzenie monitorujące jest zabezpieczone, a ty nie możesz wyjść z domu niezauważony.

- W takim razie jak to zrobiłem, Monk? - zapytał Bob. - Teleportacja? Projekcja astralna? A może po prostu tak bardzo pragnąłem ich śmierci, że w końcu zmarli?

- Kluczem do rozwiązania tej zagadki było dla mnie przyjęcie dwóch oczywistych faktów; pierwszy, że monitorująca obroża na twojej nodze jest zabezpieczona przed demontażem, i drugi, że twoja żona nie byłaby fizycznie zdolna do dokonania tych morderstw. To wszystko wyjaśnia.

- Wyjaśnia? - zapytał zdziwiony Disher.

- Jak sądzisz, dlaczego Bob Sebes ciągle ma na sobie szorty i stale demonstruje obrożę przed panoramicznymi oknami niczym modelka na wybiegu?

Porucznik wzruszył ramionami.

- Aby nieustannie wszystkim przypominać, że na nodze ma zabezpieczoną obrożę monitorującą - wyjaśnił Monk. - Jak sądzisz, dlaczego Lincoln Clovis został powieszony, a Duncan Dern uduszony, choć było wiele innych, łatwiejszych sposobów na ich zamordowanie?

Disher znowu wzruszył ramionami.

- Aby żona Sebesa była wolna od wszelkich podejrzeń. Jednak arogancja okazała się błędem.

- Co za dyrdymały - wtrącił Sebes. - Ale czego się spodziewać po wariacie.

Anna podeszła z boku do męża i objęła go w pasie.

- Czy rzeczywiście musimy słuchać tych niestworzonych bzdur? - zapytała kapitana Stottlemeyera.

- Nie zaszkodzi wysłuchać go do końca. Ale byłoby miło, Monk, gdybyś przeszedł do sedna sprawy.

- Oto, co się stało...

W chwili, kiedy Monk wypowiedział te magiczne słowa, serce zabiło mi gwałtownie, a na mojej twarzy bezwiednie pojawił się uśmiech. Wypowiedział je z takim przekonaniem i

takim zadowoleniem, że nie miałam już najmniejszej wątpliwości, że za moment wszystko się do wszystkiego dopasuje, równowaga zostanie przywrócona, a nasze kłopoty się skończą.

Jak wyjaśnił Monk, Bob Sebes zdawał sobie sprawę, że jego piramida argentyńska zaczyna się chwiać i zaledwie tygodnie, a może nawet dni, dzielą go od odkrycia oszustwa, ponieważ ludzie w panice wypłacali pieniądze i gwałtownie zaczynało brakować gotówki na wypłaty. Sebes wiedział również, że jeśli Haxby, Clovis albo Dern zdecydują się na rolę koronnego świadka, będzie skończony. Jedyłą jego nadzieją na wolność lub niższy wyrok była pewność, że ta trójka nie puści pary z ust, a nie mógł jej uzyskać, czekając na proces w areszcie.

- Wobec tego przed procesem poleciłeś adwokatowi walczyć o zamianę celi więziennej na areszt domowy. Obrońcy udało się przekonać sędzinę, że nie masz zamiaru uciekać, a z założonym na nodze urządzeniem monitorującym Triax XG7 8210, najlepszym tego typu aparatem na świecie, samodzielnie nie będziesz mógł zrobić kroku - tłumaczył Monk. - Sędzina się zgodziła i była tak przekonana argumentacją obrońcy, że zaleciła zastosowanie wskazanego Triaksa XG7 8210. Nie wiedziała tylko jednego, mianowicie tego, że twój adwokat walczył z taką pasją o ten konkretny model, ponieważ parę tygodni wcześniej sam go sobie kupiłeś.

- Po co Bob Sebes miałby sobie kupować drugą obrozę? - zapytał Stottlemeyer. - To my dostarczyliśmy ten egzemplarz i nasi eksperci założyli mu go na nogę. Nie ma mowy, aby mógł coś takiego niepostrzeżenie podmienić.

- Dodatkowy egzemplarz nie był dla niego - wyjaśnił Monk. - Przeznaczony był dla jego żony. Bob skalibrował model w taki sposób, aby emitował taki sam sygnał jak obroza na jego nodze.

Wreszcie wiedziałam, dlaczego Monk odkrył całą prawdę podczas sesji terapeutycznej u doktora Bella.

- Oba urządzenia nadawały na tej samej częstotliwości - powiedziałam.

- Właśnie. Za każdym razem, kiedy Bob chciał wyjść z domu, jego żona przypinała sobie paskiem do nogi drugą obrozę i ją uaktywniała. Dzięki temu Bob - mógł w dowolny sposób zablokować sygnał w swojej obroży, nie wzbudzając podejrzeń u monitorujących jego ruchy policjantów.

- Zatem to Anna Sebes piła w domu martini, a jej mąż w tym czasie wyszedł, aby zamordować Lincolna Clovisa - ciągnęłam. - Nie wiedzieli, że Triax XG7 8210 potrafi wykryć spożycie alkoholu. Ten błąd o mały włos by go zdradził.

- Właśnie to go zdradziło - powiedział Monk. - Tyle tylko, że domyślenie się wszystkiego zajęło mi więcej czasu, niżbym sobie tego życzył.

Spojrzałam na Sebesów. Obejmowali się jakby mocniej, a ich twarze lekko pobladły. Cóż, też bym zbladła, gdybym się dowiedziała, że grozi mi kara śmierci. Stuletni wyrok odsiadki za oszustwa finansowe wyglądał przy niej bardzo atrakcyjnie.

- To jeszcze nie wyjaśnia, w jaki sposób pan Se - bes był w stanie wyjść z domu tak, że nikt go nie zauważył - powiedział Disher. - Jednak znalazł pan tajny tunel?

- Tunel nie był mu potrzebny Wyszedł po prostu przez główne drzwi.

- Przecież wszyscy by go widzieli - stwierdził Stottlemeyer.

- Oczywiście, wszyscy go widzieli. - Monk podniósł gazetę, na której widać było zdjęcie Anny Sebes wychodzącej z domu w olbrzymim kapeluszu, okularach przeciwsłonecznych i rękawiczkach. - Bob Sebes przebrał się za żonę.

Monk wyjaśnił, że Anna Sebes codziennie wychodziła z domu właśnie po to, aby te wyjścia stały się rutyną, do której dziennikarze przywykną, a w końcu przestaną ją pytać, dokąd się udaje, i jeździć za nią.

- Pęcherze na zadżumionych stopach Boba nie są skutkiem szalejącej epidemii grzybicy, lecz tego, że wkładał damskie buty - powiedział Monk. - Albo wkładał buty żony, albo ona kupiła mu drugą parę, identyczną, ale o numer większą.

- Niczego nie jesteś w stanie udowodnić - stwierdził Bob Sebes.

- Jesteś nieznacznie wyższy od Anny, ale kiedy wkładasz wysokie obcasy, różnica wzrostu staje się wyraźniejsza. - Monk rozłożył na stole kilka gazet. - Na każdym z tych zdjęć widać, jak twoja żona wychodzi z domu o różnej porze dnia. Na każdym z trzech zdjęć ma na nogach te same buty, ale tylko na dwóch zdjęciach sięga głową do widocznych w tle okien. - Monk wskazał palcem jedno ze zdjęć. - Na tej fotografii jest dużo wyższa. Jak to możliwe, skoro ma na sobie te same buty?

- To z pewnością złudzenie optyczne spowodowane kątem ustawienia obiektywu - wyjaśniła Anna Sebes.

- Być może jest to złudzenie, ale nakaz przeszukania, o który wystąpię do sądu, na pewno złudzeniem nie będzie - stwierdził kapitan Stottlemeyer. - Dam też głowę, że dodatkowy model Triaksa XG7 8210 i dodatkowa para damskich butów w waszym domu również nie będą złudzeniem.

Monk zrobił krok w kierunku Sebesa i spojrzał mu prosto w oczy.

- Jesteś skończony, Bob. Jediną korzyścią twojego tragicznego upadku będzie ostrzeżenie dla następnych pokoleń: oto, co czeka człowieka, który nie dba o prawidłową higienę stóp.

Podczas gdy Disher dokonywał aresztowania Anny i Boba Sebesów, zakuwając ich w kajdanki i odczytując im ich prawa, Stottlemeyer zatelefonował do sędziego z prośbą o nakaz rewizji, wyjaśnił sytuację i natychmiast otrzymał upoważnienie do kontynuowania wszelkich niezbędnych czynności śledczych.

Słyszając to, Bob i Anna zażądali spotkania z adwokatem. Wiedzieli, że to koniec. Jestem pewna, że Bob rozpatrywał już wszystkie plusy i minusy grzybicy mózgu jako linii obrony przed sądem. Nic innego mu nie pozostało.

Kapitan wezwał techników policyjnych, którzy mieli przeprowadzić rewizję w domu Sebesów, odebrał jeszcze jakąś krótką rozmowę telefoniczną, a potem przywołał nas do siebie machnięciem ręki.

- Mam na Sebesa trzy morderstwa i facet zdaje sobie z tego sprawę. Myślę, że dalej sprawa potoczy się tak, jak przewidywała Natalie. Sebes przyzna się do winy i podejmie próbę oddania ukrytych pieniędzy w zamian za obietnicę odstąpienia od kary śmierci i orzeczenia łagodnego wyroku dla żony.

- Mam nadzieję - powiedział Monk. - Rozpaczliwie potrzebuję choćby odrobiny swoich oszczędności.

- Myślę, że mogę choć trochę poprawić twoją sytuację finansową, Monk. - Kapitan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożoną kartkę i podał ją Monkowi. - Oto twój nowy kontrakt. Podpisany przez komendanta policji i burmistrza miasta.

- Mimo wszystko uznaje pan naszą umowę? - zapytałam.

- Monk jej dotrzymał, więc i my jej dotrzymamy. Trzyletni kontrakt dla konsultanta z gwarancją wynagrodzenia wchodzi w życie ze wsteczną datą od dnia wypowiedzenia poprzedniego kontraktu. Ponadto prokurator znajdzie coś na właściciela kamienicy i będzie naciskał na niego, żeby odstąpił od eksmisji. Jestem nawet gotów umieścić w raporcie policyjnym incydent w myjni, który przedstawisz firmie ubezpieczeniowej, i nie będziesz musiała odpowiadać za żadne szkody.

- Hura, cudownie! Dziękuję, kapitanie.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Stottlemeyer wyciągnął do Monka rękę. - Przepraszam za wszystko. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Nie ma za co przepraszać, kapitanie. Wykonywałeś tylko swoją pracę.

- Powinienem ci bardziej ufać - przyznał Stottle - meyer. - Jak Natalie.

- Natalie musi. Pracuje dla mnie.

- Jestem twoim przyjacielem, Monk. Przyjaciele trwają przy sobie na dobre i na złe, bez względu na wszystko.

- Byłeś przy mnie.

Stottlemeyer pokręcił głową.

- Nie traktowałem cię poważnie i nie potrafiłem cię wesprzeć, czego bardzo potrzebowałeś. Pracę postawiłem ponad przyjaźń, a to nie jest w porządku.

- Kiedy zamordowano Trudy, mój świat runął. Zwolniono mnie ze służby. Nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Tylko ty się nie odwróciłeś. Nigdy nie przestałeś we mnie wierzyć. Płaciłeś mi gotówką za każdą moją pomoc, a potem walczyłeś do upadłego, żeby departament zatrudnił mnie jako konsultanta. Ocaliłeś mnie, Leland.

- Tym razem nie walczyłem.

Monk wzruszył ramionami.

- Będziesz walczył następnym razem.

- Obiecuję - przyrzekł Stottlemeyer i odwrócił się, aby odejść, ale nagle stanął, jakby coś sobie przypomniał. - Aha, tak na marginesie, przed chwilą telefonował do mnie prokurator okręgowy. Ława przysięgłych podjęła już decyzję w procesie Moggridge'a.

- Tak szybko? - zapytałam.

- Przysięgli deliberowali trzydzieści minut, jeśli nie liczyć godziny, którą spędzili na sutym lunchu na koszt miasta. Uznali drania winnym zarzucanych mu czynów. Tak więc dla wszystkich ludzi o dobrych sercach nastał dzisiaj dzień zwycięstwa.

- Oczywiście. - Byłam zadowolona.

- To dobrze wróży na przyszłość - stwierdził zadowolony kapitan Stottlemeyer.

- Nigdy nic nie wróży dobrze na przyszłość - sprzeciwił się Monk. - Człowiek zawsze może być pewny, że czeka go rozczarowanie i rozpacz.

- Miło cię widzieć w starym dobrym nastroju. - Kapitan przyjaźnie klepnął Monka po plecach i wrócił do Dishera.

- Jestem z pana dumna, panie Monk - oznajmiłam, gdy zostaliśmy sami.

- Dlaczego?

- Dlatego, że był pan wspaniałomyślny i wybaczył kapitanowi Stottlemeyerowi. Po wszystkim, przez co pan w tym tygodniu przeszedł, to nie mogło być łatwe.

- Stottlemeyer jest moim szefem. To się po prostu nazywa podlizywanie - stwierdził sucho Monk. - Też powinnaś tego czasem spróbować.

Uśmiechnęłam się do niego.

- A jak pan myśli, co ja teraz robię?

KONIEC